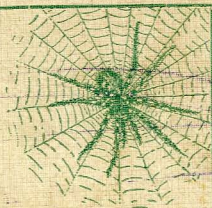






Cecylia Walewska.



PODSŁUCHANE.

Nowelle.

PRZYJACIOŁKI.

PO TYFUSIE.

SPIRYTYSTKA

TRZECI ROBER.

PODSŁUCHANE.

PESSYMISTKA.

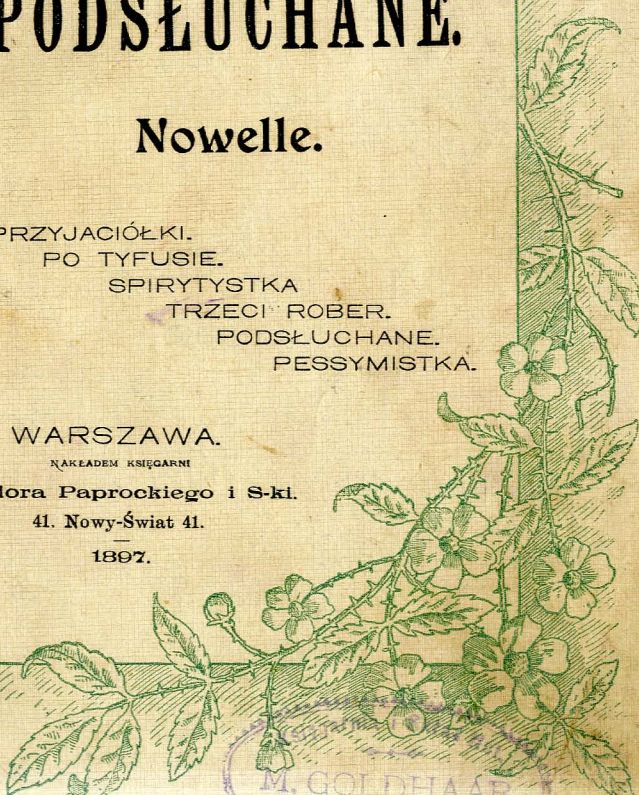
WARSZAWA.

WYDAWCA KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Świat 41.

1897.



M. GOLDHAAR

w Kielcach

PODSŁUCHANE.



Wł. H. Górnowska

Cecylia Walewska.

Podstuchane.

NOWELLE.

Przyjaciółki.

Po tyfusie.

Spirytystka.

Trzeci rober.

Podstuchane.

Pessimistka.

WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki

41. Nowy-Świat 41.

1897

Zbiory specjalne



86 311

12960

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава, 15 Октября 1896 года.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



F U W 0 1 7 6 4 6 5

Druk. Artyst. Saturnina Sikorskiego, Nowy-Świat 47.

K-202/77/86311

Pola od obiadu była sama w mieszkaniu. Dzieci zabrała babka do siebie, miały wrócić dopiero wieczorem. Męża, który pojechał na pogrzeb jej przyjaciółki, nie spodziewała się wcześniej, jak około dwunastej w nocy.

Pociąg przychodził późno. Kilka godzin jeszcze należało czekać.

Niewiedziała, co robić? Tak było pusto dokoła niej, że aż się bała!...

Czemu nie wyszła z dziećmi razem do matki?

Cóż z tego, że ją trochę bolało gardło? Przejsie przez kilka ulic nie byłoby jej zaszkodziło, a nie czułaby się przynajmniej tak osamotnioną, jak w tej chwili.

Z nudów, kręcąc się po mieszkaniu, zajrzała do dzieciennego pokoju. Po kątach, na środku podłogi, leżało tam mnóstwo rozrzuconych w nieładzie zabawek. Zebrała je

w fartuszek i usiadła pod ścianą, w rogu przeznaczonym na muzeum Kazika i Mańki.

Poustawiała szeregi blaszanych żołnierzy Kazika i pociąg z wagonami. Dwie lalki Mańki: Antosię i Józję, umieściła w wyplatanych fotelach przed okrągłym stolikiem, nakrytym serwetką. Pozamykała szufladę malej komódki i poprzylepiała wiszące nad nią zwykle, chwilowo zdarte, obrazki.

Uśmiechała się przytem sama do siebie...

Tak jej to przypominało codzienną zabawę z dziećmi!...

Razem z Kazikiem i Mańką siadywała tu godzinami całemi, mówiąc do lalek, musztrując żołnierzy, gwizdząc na odchodzący pociąg...

Gdy skończyła porządkowanie, twarz jej przybrała wyraz przykrego zniechęcenia.

Jakieś żałobne wspomnienie musiało zamajaczyć w jej umyśle.

Zmarszczywszy brwi, zwiesiwszy głowę na piersi, zakryła oczy rękoma.

— Ksawera umarła trzy dni temu; a ja—śmieję się sama do siebie, jak gdybym nie czuła bólu i smutku po stracie jedynej przyjaciółki—pomyslała z goryczą.

Wstała po chwili. W głowie jej przesunął się szereg pytań.

— Czy Witold zdążył na pogrzeb Ksawery? Czy aby dziś wróci? Co będzie opowiadał?...

Chodząc po pokoju i, to przesuwając krzesła z miejsca na miejsce, to poprawiając serwetę na stole, rozważała, kombinowała odpowiedzi.

Wreszcie stanęła w miejscu i, po raz setny, zagadnęła sama siebie:

— Co ja też będę robiła dziś do wieczora?

Zwykle bawiła się z dziećmi, lub szyla dla nich sukienki, haftowała fartuszki.

— Dziś—nie miała ochoty ani szyć, ani haftować.

Poczyta trochę: tak dawno nie czytała!...

Ale co?...

Coś smutnego.

Myśli jej krążyły ciągle około zmarłej przed trzema dniami Ksawery, którą po swojemu bardzo kochała!...

Twarz nieboszczki przesuwiała się przed oczyma jej tak, jak gdyby ją ktoś na niteczce zawiesił w powietrzu i ciągle to w dół spuszczał, to w górę pociągał...

Mógł ją zniecierpliwic i zmęczyć ten obraz, ale przecież kochała Ksawerę!...

Jeżeli rodzina zmarłej nie postawi oporu, weźmie do siebie jej córeczkę, biedne, niedołężne, chore maleństwo...

Pola w zamyśleniu przeszła do saloniku; w zamyśleniu poprawiała to kosze z kwiatami, to wachlarze, rozrzucone na małych stolikach. Końcem fartuszka ścierała pyłki, pozostałe po rannem sprzątaniu.

Miała czytać...

Stała przed stolikiem, zarzuconym piśmami i książkami. Wzięła jedną z nich.

Był to tom noweli Guy de Maupassant'a, przyniesiony jej przez męża jeszcze przed miesiacem.

Nie przejrzała go dotąd: tak mało mogła czytać; tyle czasu zajmowały jej dzieci!...

Gdy patrzyła na nie, jak się bawią, nie mogła nie bawić się z niemi. Opanowywała ją taka wesołość, że musiała pośmiać się, poskakać i pośpiewać z Kazikiem i Mańką.

Coby życie znaczyło, gdyby ich nie było na świecie?...

Przypominając sobie różne figle malców, znowu zaczęła uśmiechać się sama do siebie i znowu — w oburzeniu na swą wesołość—

marszczyła brwi, przybierała ponury wyraz twarzy.

Przysunawszy sobie wreszcie fotel do kominka, na którym dogasał ogień, zasiadła wygodnie i otworzyła książkę.

Oczy jej padły na napis:

„Nieboszczka.“

— To dobrze—pomyślała—przynajmniej nie znajdę tu nic wesołego. Jeszczebym się śmiała...

Zasiadła głębiej w fotelu i zaczęła czytać.

Kochanek oplakiwał zmarłą przed paroma dniami, a pogrzebaną wczoraj kochankę. Z bólu, smutku, rozpaczcy poszedł późno w nocy na cmentarz. Zasnął tam i we śnie miał widzenie.

W najodleglejszym zakątku cmentarza, jedna z mogił poruszyła się. Nieboszczyk, pochowany w niej, wstał i przewrócił kamień, na którym było napisane:

„Najlepszemu z ojców, najzaczniejszemu z mężów!...“

Własną dłonią wyrył na odwrotnej stronie:

„Złemu ojcu, niegodziwemu mężowi...“

I zeszedł napowrót do grobu.

Powoli wszystkie mogiły zaczęły się poruszać. Trupy wstawały i zmieniały napisy.

Na przewróconym kamieniu zmarłej przed trzema dniami kochanki, ręka szkieletu napisała:

„Zdradziła tego, który ją kochał. Umarła, zaziębiwszy się na schadzce z innym...!

Pola była sama w mieszkaniu. Deszcz bił o szyby. Zmrok jesienny zapadał...

Dreszcz wstrząsnął nią gdy skończyła czytać.

Złożyła książkę i przymknęła oczy.

Nagle wydało się jej, że jest na cmentarzu, że otoczyły ją powstające z grobów szkielety, że słyszy chrzęst suchych palców, którymi każdy z nich wypisuje na kamieniu czarną historię swego życia.

Bała się ruszyć. Przerzązał ją szelest własnej sukni. Wstrzymywała oddech, zbyt głośny...

Za ścianami coś jakby chrobotало. Po dłoga ugiwała się: może kto niewidzialny po niej stapał....?

Drzwi do jadalnego pokoju były otwarte. Wysokie, dookoła stołu ustawione, rzeźbione krzesła wyglądały, jak zwarty szereg

nieboszczyków. Grzbiety ich wydłużały się w miarę, im mrok większy zapadał.

Pozapalano latarnie na ulicach. Słabo drgający żółtawy blask wpadł przez szyby okien, a za nim—w bok od oświetlonych przedmiotów—wpełzły cicho długie, ukośne cienie.

Wtulona w głąb fotelu, Pola drżała, jak w febrze.

Bała się ruszyć. Oczy mimowoli śledziły cienie, powstające w miarę zapalania latarni. W końcu—powieki jej, dosyć długo wyteżone, opadły.

Uczuła łagodne ciepło snu, ogarniającego ją powoli, tulącego i pieszczącego drżące ciało.

Zasnęła ze strachu, jak kochanek, o którym czytała w powiastce Maupassant'a, z bólu, smutku i rozpacz.

Z początku — w majaczeniach jej snuły się duchy i cienie, z którymi razem błędziła po cmentarzu.

Podnosząc tak, jak one, ciężkie, stare płyty kamienne, padała ze znużenia. Nogi jej się plątały. Chwilami, nie mogąc dźwignąć wierzchu mogiły, zagrzebywała się w ziemię, która jej zasypywała usta, nos, oczy, wstrzymując oddech...

Spała siedząc, z rękoma przyciśniętymi do piersi, z twarzą zakrytą fartuszkim, który w strachu zarzuciła sobie na głowę.

We śnie bezwiednie wstała i, przeszedłszy na kanapę, wyciągnęła się na niej wygodnie.

Niespokojne majaczenie ustąpiły miejsca obrazom, przesuwającym się szybko, jak chińskie cienie.

Śniły się Poli dawne, bardzo dawne czasy. Śniło się jej, że jest na pensyi i chodzi pod rękę z Ksawerą po dużej sali rekreacyjnej, powtarzając lekcye, których w żaden sposób obie nie mogą sobie przypomnieć.

Dzwonek woła do klasy. W klasie pusto. Niby one są tylko we dwie, ale już wyszły. Wagner, nauczyciel historii, chodzi po korytarzu z kilkoma tomami książek w rękę.

Potem — znów są w dużej sali. Gromada koleżanek je obstępuje. Pola porywa Ksawerę i kręci się z nią w młynka, aż do zawrotu głowy. Padają obie. Ksawera znika. Pola chce schwycić nie ją, lecz cień odchodzący, nie może. Wyciąga ręce na próżno.

Z wysiłkiem otworzyła oczy i obudziła się.

W pokoju było już zupełnie ciemno. Migał tylko odblask latarni po ścianach i suficie.

Pola nie bała się. Mrok ją otulił. Zdało jej się, że ona tylko i ta ciemność, jaką miała dookoła siebie, są jedynie na świecie.

Leżąc na wznak z otwartymi oczyma, zaczęła przypominać sobie lata swoje dzieciinne i przyjaźń z Ksawerą.

*

*

*

Były koleżankami od wstępnej klasy.

Z początku Pola niecierpiała Ksawery. Uczucie to dzieliła zresztą z innemi koleżankami, które nie lubiły jej również. Nazywano ją „hipokrytką, faryzeuszem, nieużytkiem.“

Ksawera żadnej z nich wprawdzie nie zrobiła nigdy nic złego, ale też — niczem nie usiłowała zasłużyć na przyjaźń ich i uznanie.

Najpilniejsza ze wszystkich, prymuska od pierwszej chwili wstąpienia na pensję, nigdy nie pomagała słabszym od siebie, nigdy nie dzieliła się z niemi wiedzą swoją, Co umiała, umiała dla siebie. Pytania koleżanek i prośby o wskazówki zbywała krótkiem:

— Nie wiem, radźcie sobie same... Pierw-

sza zawsze rozwiązywała zadania arytmetyczne, pierwsza kończyła pisane podczas lekcji wypracowania, pierwsza rzucała odpowiedzi na zadawane przez nauczycieli w klasie pytania.

Żadna z koleżanek jednak, choćby w niewiem jakim była kłopotcie, nie usłyszała ani jednego podpowiedzianego przez nią słowa, żadna—choćby miano zawiesić jej promocję, nie wskorała u niej nawet dorywczej rady i objaśnienia.

Zimna, sztywna, chodziła po klasie, jak automat. Nic na świecie nie obchodziło jej, prócz książek i lekcji; niczem nie przejmowała się; nikt nigdy nie widział jej ani płaczącej, ani śmiejącej się.

Słońce mogło zagasnąć, ziemia mogła zmienić kierunek orbity: ona byłaby nie zauważyła tego, lub zauważywszy—ruszając ramionami, powiedziałyby, że jej to obojętne.

Wszystko, prócz książek i lekcji, było dla niej dzieciństwem, niepotrzebną farsą świata, bańką mydlaną, sztucznie wzdętym balonem, który nie ma siły wznieść się nad poziom.

Nauczycielki kazały wszystkim pannom w klasie brać z niej przykład: być taką po-

ważną i pilną, jak ona, odpowiadać tak grzecznie profesorom.

Pola, jako najniesforniejsza ze wszystkich, najczęściej miała stawianą sobie za wzór Ksawerę, to też — słusznie — największy ze wszystkich w klasie miała żal do niej za wygórowaną jej cnotę.

Ilekoć stała w kącie, albo klęczała, za to, że, tupiąc nogą, i wygrażając pięściami, wołała na cały głos w klasie do Ksawery: „Niecierpię ciebie, nienawidzę, wołałabym, żebyś umarła...” Ksawera nie skarżyła na nią, ale też i nie broniła jej, gdy ją karano.

Z czasem — nienawiść Poli do Ksawery zaczęła mięknąć.

Pola tak dalece przywykła do słów przełożonej i nauczycielek, które mówiły po kilka razy dziennie: „Zapatruj się na Ksawerę, bądź taką, jak ona...” iż przestały działać na nią: ani ją drażniły, ani pobudzały do nadsładownictwa; nie słyszała ich zgoła. Patrząc na poważną koleżankę, myślała natomiast:

— Może ona jest tylko misterną lalką paryską, która udaje, że chodzi, mówi, uczy się lekcji i pisze wypracowania, może, na-
prawdę, gdyby tak zajrzeć wewnątrz niej,



nie znalazłoby się nic, prócz sztucznej sprężyny automatu.

Ksawera zaczęła zaciekawiać ją, jak zaciekawia dziesięcio, jedenasto, a nawet niekiedy jeszcze i dwunastoletnią dziewczynkę woskowe „bébé,” mówiące „mama i tata“, wypchany niedźwiedź, słon pokazujący sztuki, tresowana koza i owca, a wreszcie — kudłaty lew z masy papierowej, ryczący za lada pociśnięciem sprężyny.

Na razie nieśmiało, potem coraz odważniej i coraz częściej, Pola przystępowała do Ksawery, badając ją, aż wreszcie powoli, nieznacznie, żyły się sobą.

Ksawera przybrała względem Poli rolę moralizatorki.

Pola znosiła cierpliwie uwagi i narzuconą sobie dobrowolnie opiekę poważnej koleżanki, znosiła cierpliwie, gdyż nie zważała na nie najczęściej.

— Brzęcz sobie jaknajdłużej, stara dewotko, bo i tak nikt ciebie nie słucha — odpowiadała Ksawerze, jeżeli ta zbyt długo nudziła ją moralami.

W drugiej klasie, przy końcu roku szkolnego, poprzysięgły sobie przed ołtarzem pensyonarskiej kapliczki przyjaźń dożgonną.

Wprawdzie w kwadrans po owej przysiedze, Pola, skacząc po klasie, wyśmiewała się z niej, zawsze jednak pociągało ją coś do Ksawery: najlepiej z nią lubiła rozmawiać i chodzić podczas pauzy po dużej sali rekreacyjnej.

Koleżanki mówiły o Ksawerze, że była taktowną nawet wtedy, kiedy miała jeszcze ser w ustach i ssła własny palec. Pola wyśmiewała się z niej, ona, wzamian, musztrowała ją ciągle, bez końca.

— Co ty robisz! — wołała, gdy Pola ściągala z nóg buciki siedzącej obok koleżance, którą nauczyciel miał za chwilę wywołać do tablicy.

— Co ty robisz? — wołała, gdy przed lekcją niemieckiego Pola smarowała pulpit pierwszej ławki z brzegu atramentem, wiedząc, iż stary Müller na samym wstępie oprze się o niego wszystkimi dziesięcioma palcami.

Prawiła jej morały za urządzanie w czasie wykładów choralnego mruczenia przez nos z zamkniętymi ustami, naśladującego do złudzenia wycie wiatru.

— Dałabyś pokój tym głupim trylom: co ci z nich przyjdzie? — powtarzała zawsze.

Pola, za każdym morałem, wyciągała Ksawerę podczas pauzy na środek klasy, za-

kręcała nią młynka i rzucała ją na ziemię, a sama z głośnym śmiechem wybiegała na korytarz.

Ksawera obrażała się czasem i wtedy przez trzy dni nie chciała z nią rozmawiać. Pola na przeprosiny pisała wiersze i kazała je posłańcowi pod adresem Ksawery przynosić na pensję.

W trzeciej klasie próbowały uczyć się razem, po tygodniu jednak dały pokój.

Ksawera była systematyczna, rozkładała sobie odrabianie ćwiczeń według planu; zdawało się jej, że nic nie zrobi, jeżeli zmieni porządek.

Pola nie znosiła planu, systemu, porządku. Nieraz we czwartek przychodziła z lekcją, wyuczona na piątek. Gdy ją wywołano, z dobrą miną odpowiadała:

— Zaszła mała pomyłka, ale to nic nie szkodzi: jutro nauczę się za dzisiaj. Dzień nie stanowi różnicy...

Patrzyła nauczycielom tak prosto w oczy i mówiła tak szczerze, że żaden nie mógł odważyć się na postawienie jej złego stopnia.

Ksawera powiedziała jej: „ty zawsze dasz sobie radę” — i nie chciała uczyć się z nią

razem za nic w świecie; bez planu, systemu i porządku nie mogła istnieć.

Doszły tak do piątej klasy. Pola wyrosła na ładnego podlotka. W oczach pełno miała blasku, który brano za oznakę sprytu, żywe rumieńce na twarzy, purpurowe usta i trochę intrygującego meszku na delikatnej, łagodnie rozchylonej górnej wardze. Ruchy jej cechowała pewna rubasznosc, ale to stanowiło właśnie wdzięk jej odrębny. Głos w mowie miała przyciszony, zdradzający jakby chroniczną chrypkę, w śmiechu jednak rozlegał się, jak dzwonek, donośnie i dźwięcznie.

Ksawera stanowiła zupełnie jej przeciwieństwo. Wysoka, smukła, rysy miała ostre, lecz szlachetne i bardzo regularne. Całą jej postać znamionowała nad wiek rozwinięta powaga. Zdawała się nieprzystępną. Rzadko kiedy słyszano jej śmiech. W oczach jej wprawdzie paliły się iskry, lecz nie były to iskry wesołości i wielkich sił żywotnych, a raczej wewnętrznych pragnień i pożądań, które nurtowały spokojny napozór jej umysł...

W klasie nie zajmowało jej nic, prócz książek i pracy szkolnej.

Na pytanie Poli:

— Cobys zrobila, gdyby ci się teraz jaki chłopiec oświadczył?

Odpowiadała z oburzeniem:

— Że też tobie głupstwa z głowy wywietrzeć nie mogą!

Wychodząc razem po skończonych lekcjach z pensyi, natrafiały niekiedy na całą gromadę uczniów lub studentów, wracających z uniwersytetu.

Ksawera wówczas musztrowała Polę:

— Nie patrz tak na nich; nie oglądaj się, to nie wypada...

Gdy Pola zachwycala się głośno brunecikiem, którego spotykała codzień rano przed bramą pensyi, Ksawera ostrzegała ją, mówiąc:

— Daj pokój! Jeszcze na to zawcześnię. Teraz powinniśmy uczyć się, nie zaś myśleć o takich niedorzecznościach.

I natychmiast zwracała rozmowę na lekcye zadane na jutro, na tematy wypracowań, na otrzymane dziś stopnie.

— Jakaś ty śmieszna, że cię to tak zajmuje — odpowiadała Pola. — Ja niecierpię, nienawidzę szkoły, spaliłabym wszystkie książki, a nauczycieli — Müllera pierwszego, Baranowskiego drugiego — powbijalabym na pale, poowijała słomą, podłożyła pod nich

trochę głowni i kazałabym ich wówczas pytać siebie, czy umiem lekcyę? Ciekawam, jakie by też dali mi stopnie?

Zaczynała śmiać się głośno, do rozpuku. Próżno, gdy szły przez ulicę, Ksawera ciągnęła ją za suknię, mówiąc:

— Daj pokój! To nie uchodzi!..

Śmiała się do samego domu. Z bramy jeszcze wołała za odchodzącą Ksawerą:

— A kłaniaj się odemnie Kaziowi, jeżeli go zobaczysz...

„Kaziem” przewalała na chybił trafił ładnego brunecika, który ją tak intrygował.

Podczas wakacyj, między piątą a szóstą klasą, przyjaciółki rozłączyły się. Pola wyjechała na wieś, do krewnych, Ksawera, nie lubiąc wsi i nie mając blizkich krewnych, którzyby ją zaprosili, pozostała w mieście.

W chwili rozstania postanowiły pisywać do siebie, co też i skuteczniły.

Poważna, nad wiek rozwinięta, Ksawera spowiadała się w listach swoich z myśli, krążących po głowie jej, przytaczała treść czytanych książek i odrabianych dla wprawy stylistycznych ćwiczeń.

„Życ bym nie umiała bez pracy” — pisała. — „Trawi mię żądza wiedzy, gorączka

poznania: budzę się z nią co rano i w płomieniach jej zasypiam z wieczora... Czytam po dziesięć godzin dziennie, a zdaje mi się, że coraz mniej umiem, że to światło nauki, do którego tak chciwie wyciągam ręce, usuwa się wciąż przedemną. Jestem, jak rozbitek, którego wzburzone fale za każdym pchnięciem naprzód cofają wstecz natychmiast.

„Nie wiem, co mam począć ze sobą?... Nim wpadły mi w ręce genialne dzieła Buckle'a i Drapera, czułam taką potęgę myśli w swej głowie, iż zdawało mi się, że stworzę nowe teorie podstawowych praw bytu. Teraz, kiedy widzę, że wszystko, co tkwiło we wnętrzu mnie, odczuli już i ogłosili światu inni, opadają mi ręce, w sercu jęczy pesymizm...

„Przychodzą na mnie chwile, w których podeptałabym książki i przekłęła mistrzów, co odarli mnie z intuicji moich... Nim jednak zacznę im złorzeczyć, już w sercu mojem budzi się uwielbienie dla nich. Zginam przed nimi kolana w pokorze i wołam z głębi duszy:

— Jesteście wielcy, gdyż umieliście wypowiedzieć to, co tliło płomieniem w piersiach moich; jesteście wielcy, gdyż zdołaliście ująć w karby potok myśli prawdziwych; jesteście wielcy, gdyż danem wam było przelać wiarę

i przekonania wasze w serca i umysły milio-
nów...

„O, tak, oni są wielcy; przez nich wzmocniłam się w tajemniczych podszeptach przeczuć swoich; przez nich pełnem światłem rozlały się one we mnie. Teraz wiem, czego chcę, do czego dążę, co jest prawem świata i koniecznością bytu.

„Długi czas wydzierano mi książki z rąk i wzbraniano nauki, tej świętej, tej czystej, która dziś jest krynicą najgorętszych porywów moich: teraz — jak jestem szczęśliwą, że mi wolno czytać!

„O, gdybyś wiedziała, jak żądza pójścia wyżej coraz więcej rozsadza moje piersi!

„Marzenia moje!..

„Tybyś ich nie zrozumiała...

„Galileusz, Kopernik, Newton w dzieciństwie, w niemowlęctwie swoim musieli doznawać czegoś, co ja czuję w tej chwili... Niemoc, bezsilność wobec wielkiego zadania, którego spełnienie ciążyło na nich za wolą przeznaczenia, co stworzyło ich geniuszami, a jednocześnie skrępowało umysły ich twardą skorupą ciała, wstrzymującą do czasu skrzydlaty polot natchnień...

„Nie jestem geniuszem, nie jestem nawet

słabem jego echem: nie mam w sobie talentu, tylko trawi mię ta chciwość wiedzy, ta gorączka pracy, ta żądza poznania, której ty, żywa, roztrzępana, nie zrozumiesz nigdy...

„Może mi źle z tem, może nie doznam w ciągu życia ani jednej z tych rozkoszy świata, którym ty poddajesz się tak chętnie: jedna wszakże pochwyciona w lot myśl nowa, jeden świeży rzut oka na stosunek człowieka do przyrody wynagradza mi wszystkie straty doczesne...

„Nie umiem żyć życiem twojem. Pragnienie Hagary pali moje piersi, głód Ugolina trawi wnętrze mego mózgu...

„O, dajcie mi książek jaknajwięcej!

„Nie wiem, czy nasycę się kiedykolwiek: nasycona, czy spocznę, przeżywając w ciszy i skupieniu łupy zdobyte!

„Teraz—cała jestem pragnieniem, żądzą,

„Pałam, a nic nie jest w stanie ostudzić żaru, wrzącego we mnie, jak we wnętrzu krateru.

„Twoje listy wydają mi się listami dziecka, któremu w rękę wsunąłabym malowanego pajaca, a w usta smoczek.

„Pisz jednak do mnie. Dla odmiany do-

brze jest czasami spaść z Parnasu na poziom szarej ziemi...

„Lubię ciebie dlatego, że nie jesteś ani dalszym ciągiem, ani początkiem, ani końcem moim, ale — że stanowisz tak całkowity kontrast ze mną, taką odrębność, że ani jednej myśli swojej w tobie odnaleźć nie mogę, ani jednym uczuciem w tobie się nie powtarzam...

„Która z nas więcej warta? — trudno wiedzieć: czy ty ze swoim roztrzępaniem i żądzą życia, czy ja z powagą swoją i głodem wiedzy?—Życie rozstrzygnie prawo pierwszeństwa między nami: czekajmy cierpliwie, co nam ono przyniesie, tymczasem zaś — ty pisz do mnie: listy twoje są jedyną rzeczywistością, przerywającą ciąg milczących mych refleksyj.“

W tydzień po wysłaniu swego listu Ksawera otrzymała odpowiedź Poli.

„Jesteś nudna, jak stary emeryt, ze swoją spowiedzią i wykrzyknikami, których rzeczywiście nic, ani trochę nie rozumiem — pisała Pola.

„Zdaje ci się, że jesteś geniuszem, porównywasz się z Kopernikiem, Galileuszem, Newtonem i jęczysz później, że nie będziesz nimi...

„Bardzo ci tak dobrze, nie pragnij za-
wiele...

„Ja daleko jestem szczęśliwsza od ciebie,
że nie potrzebuję siedzieć tak, jak ty, ciągle
w książkach.

„Co mi po nich?

„Tak bym chciała się zabawić, a nie
wiem, jak przyjść do tego? Wszyscy uważają
mnie za dzieciaka. Panowie zaczynają rozmo-
wę ze mną zawsze od tego:

„Jak tam na pensyi?

„Żeby już raz skończyć z tą głupią na-
uką!...

„Człowiek nie wie, jak się obracać po
świecie w krótkiej sukni!

„Może ty zresztą jesteś szczęśliwa, że cię
zajmują książki: mnie często tak się nudzi!

„Próbowałam raz czytać, ale zupełnie co
innego mi w głowie.

„Chciałabym bardzo, żeby mi się kto
oświadczył: toby była uciecha!

„Przebrzydła brązowa suknia do kostek!
Każdy na pierwsze spojrzenie bierze mnie za
podlotka i jak tu podobać się komu?

„Może ty w swoich talmudach wyczy-
tasz jaką radę dla mnie, to zaraz mi ją przy-
slij, tylko nie zapomnij.“

Ksawera zgromiła ją ostro za wybryki
tych „niezdrowych zachcianek.“

„Lepiej zabrałabyś się do powtórzenia
całorocznych kursów i odrobienia kilkunastu
przynajmniej ćwiczeń matematycznych, w któ-
rych zawsze byłaś słaba, aniżeli myślała
o głupstwach, które już widać nigdy nie wy-
wietrzeją ci z głowy“ — odpisała zaraz na-
zajutrz po otrzymaniu jej listu.

Pola postanowiła zbyć ten morał milcze-
niem, w kilka dni jednak, nie mogąc wytrzy-
mać, odpowiedziała:

„Powtarzam ci po raz setny, że jesteś
rudna, jak wszyscy emeryci na świecie i jak
dziesięciu księży Malinowskich, z którymi ra-
zem osadziłabym cię na pokucie w klasztorze
na Łysej górze.

„Napewno zostaniesz starą panną, jeżeli
się nie zmienisz, a czy może być coś stra-
śniejszego, jak staropanieństwo?

„Otrułabym się w tej chwili, gdybym
wiedziała, że nie wyjdę za mąż.

„Przecież to okropna rzecz chodzić tylko
z psem po ulicy i dostawać klocek, co roku,
w Popielec!

„Strzeż się, powiadam ci: nie bądź taka
nudna, bo czeka cię mops i klocek!“

Dopisek do słów tych, których Pola zapomniała wysłać, skreślony w parę tygodni później szybko i z rozmachem, brzmiał, jak następuje:

„Veni, vidi, vici!

„Na wieczorku u cioci poznałam jednego studenta. Mówił mi, że jest na czwartym kursie, ale z oczu patrzyło mu inaczej: musiał dobić się może najwyższej pierwszego.

„Takem z nim rozmawiała, tak się patrzyłam na niego, że aż mi się oświadczył.

„Pyszne było!

„Wziął mnie za rękę i spytał:

— „Czy te białe paluszki będą kiedy mojemi?

„Parsknęłam mu w oczy śmiechem. Naturalnie, już od tego czasu więcej się u cioci nie pokazał, ale to było pyszne!

„Już teraz wiem przynajmniej, jak to jest, kiedy kawaler oświadcza się pannie i na kilka dni mam zabawę. Jak wrócę, więcej ci opowiem: z pewnością będziesz mi zazdrościła.

„Gdyby ten student był ładniejszy, z pewnością bym go tak nie wyśmiała, ale nie podobał mi się, choć miał białe zęby, czyste paznogie i wymawiał „r” z francuzka, tak jak lubię.

„Ty wiesz, że ja gustuję w brunetach, a on blondyn i mdły, jak migdałowa zupa z rodzenkami.

„Kazia oświadczyły przyjąłabym inaczej. Szkoda, że go tu niema: razem skakalibyśmy przez płoty i przesadzali rowy.

„Ciocia mało nie zabije mnie za to, że biegam po polach i łąkach, jak chłopak, ale to moja przyjemność największa.

„Muszę wylatać się tutaj za cały rok siedzenia i kucia w Warszawie.”

Ksawera nie zdążyła napisać odpowiedzi, kiedy jednocześnie prawie z listem swoim, Pola przyjechała ze wsi.

Pierwsze jej słowa za widzeniem się z przyjaciółką były:

— Czy nie spotkałaś kiedy Kazia? — A gdy Ksawera krótko i sucho odpowiedziała „nie,” — Pola wśród śmiechu i podskoków, zaczęła opowiadać scenę oświadczyń studenta na wsi.

— Pokażę ci go kiedy tutaj: pewnie go spotkamy: zobaczysz, jaką będzie miał głupią minę, kiedy mnie ujrzy!

Ksawera ruszyła ramionami i wykrzywiła usta, jak gdyby miała powiedzieć:

— Cóż mnie to może obchodzić? — Pola

porwała ją wpół, przekreśliła się z nią kilka razy walcem po pokoju. Klepiąc ją po policzkach, po ramionach i plecach, dodała wreszcie:

— Dobra jesteś, tylko nudna, o jej, jaka nudna z tą swoją świętością. — Przysięglabym, że nigdy za mąż nie wyjdiesz!

Śmiejąc się, gestykulując żywo, odtwarzała przed nią następnie rozmaite sceny z pobytu na wsi. Naśladowała to starego, wiecznie zakatarzonego ekonoma, który całował ją w rękę i nazywał z szacunkiem „młodą dziewczką,” to sąsiadkę z Chalenieckiej Wólki, uczesaną w cieniutki warkoczek nad głowę, dygającą za każdym słowem i mówiącą grubym głosem, jak karbowy wuja.

Ksawera ostrzegła:

— Nie wyśmiewaj się ze wszystkich, bo i ciebie tak samo będą wyśmiewali!

— A cóż mię to może obchodzić?—odpowiedziała Pola i w dalszym ciągu portretowała kogoś po swojemu.

Śmiała się zawsze i ze wszystkiego. Na wsi wyśmiewała ekonoma, karbowego, sąsiadów, a wreszcie — mantycznego wuja i niezdecydowaną ciotkę. Na pensyi — drwiła z piernikowych spodni Müllera, z wystającej

turniury panny Emmy, nauczycielki robót, z wyciągniętej szyi jednej z koleżanek, z grubych palców Baranowskiego, profesora historii, z chrząkania oraz nosowych „ą” i „ę” księdza Malinowskiego.

Nie pomagały przestrogi dam klasowych, napomnienia rodziców, morały Ksawery. Odpowiadała na nie:

— Zażyję trucizny, jeżeli mi zabronicie śmiać się!

W szóstej klasie nagle spoważniała i zaczęła uczyć się żarliwie, jak gdyby tego roku chciała naprawić odrazu błędy próżniactwa lat dawnych.

Szczególniej zajęła ją historia: wszystkich kuzynów, braci swoich, ciotki, matkę i siostrę zadręczała pytaniami, czy które z nich nie czytało gdzie dobrej jakiej książki historycznej? Sprowadziła sobie całe ich tomy i czytywała je nocami. Na lekcjach historii zawsze była skupiona, wsłuchana, poważna i milcząca. Odpychała koleżanki łokciem od siebie, jeżeli która zagadnęła ją o co. Oczy jej w chwilach wykładu przybierały wyraz, jakiego dotąd nigdy nie miawały. Rozszerzone żrenice zachodziły łzami, ilekroć, wpatrzone w nauczyciela, spotkały się z jego wzrokiem.

Wagner był ulubieńcem wszystkich pannen. Miał wielki dar słowa, dużo wiedzy i prozelityczną siłę przekonań. On jeden z pomiędzy wszystkich nauczycieli umiał skłaniać uczennice do cichych refleksyj, on jeden w wykładach swoich potrafił o kwestye ogólnoludzkie, o prawa bytu i ewolucyę postępu, on jeden — w sposób umiejętny, sobie tylko właściwy — rozszerzał horyzont myślenia, budził w młodych główkach nowe na świat poglądy, nowy i całkiem odrębny rzut oka na teorię sił przyrody.

Poli zdawało się, że myśli jej rosną i rosną, o mało głowy nie rozsada, gdy on mówił. Rozumiała go tak, jak dotąd nikogo. Po skończonych lekcjach długo zawsze zastanawiała się nad słowami jego, uzupełniając je snutym w dalszym ciągu szeregiem hipotez. To też — w wypracowaniach jej, dawniej pisanych naprędce, bez zastanowienia, — teraz zaczął przebijać pewien polot.

Po jednej z lekcyj, w czasie której Wagner, mówiąc o postępie wiedzy, wspomniiał o dokonaniem przez genialnego poetę i natcnionego mistrza wiedzy odkryciu nerwu w roślinie, — Pola całą noc spać nie mogła:

myślała o tem, jaki ból czuje kwiat wtedy, gdy go się zrywa.

Nauczyciel polskiego w kilka dni później zadał na lekcye opis sierpniowej nocy. Pola opowiedziała, co mówi promień księżyca, wślizgujący się w otwarte kielichy kwiatów i słuchający spowiedzi ich z całego dnia.

Róża, maki, cykorya i skabioza skarżyły się na mgłę i rosę, która je ziębi przez noc, na słońce, które pali w południe, na człowieka, który o zmierzchu, gdy słońce zajdzie, a jeszcze niema rosy, zrywa je szorstką ręką.

Plakała, pisząc to. Zdawało jej się, że sama jest kwiatem, że ją ścinają i że czuje ból, gdyż ma nerwy.

Ksawera teraz zaczęła ją chwalić:

— Widzę, że zmieniasz się na korzyść: spoważniałaś nareszcie — mówiła, chodząc z nią po klasie.

Pola za całą odpowiedź dawała jej przytaczka w nos i próbowała śmiać się po dawnemu, śmiech ten jednak ustawał szybko. Brała książkę w rękę, siadała na ławce i, zasłoniwszy sobie uszy palcami, czytała jedną z książek historycznych, jakie jej dostarczono.

Kiedys spytała Ksawerę:

— Cobyś zrobiła, gdybyś pokochała kogoś bardzo i nie mogła mu tego powiedzieć?

— Nigdy o tem nie myślę — odpowiedziała Ksawera.

Pola umilkła, w kilka dni później jednak przeczytała koleżance wiersz Heinego:

Drży piękny kielich lotosu
O jasnej zorzy rozkwicie
I z pochyloną główeczką
Czeka na zorzy przybycie.

Księżyc, ów blady kochanek,
Budzi go światłem zwodniczem,
A lotos wita to światło
Bładem, marzącem obliczem.

I kwitnie szybko, i świeci,
Wznosząc w niebiosą swe sploty.
I drży, i płacze, i kona
Z miłosnej serca tęsknoty...*)

Ksawera, ruszając ramionami, rzekła cierpko:

— Zawczasie, zawczasie!

Rok szkolny dobiegał do kresu. Przyjaciółki ani spostrzegły, kiedy nadeszła pora egzaminów.

*) Tłómaczenie Al. Kraushara.

Ksawera zdała je świetnie. Nauczyciele i nauczycielki jednogłośnie przyznali jej dwie nagrody: jedną — za postęp w pracy i niezwyczajne zdolności, drugą — za wzorowe sprawowanie i dobry przykład, jaki dawała koleżankom.

Pola była pierwszą z historyi. Na pytania z innych przedmiotów odpowiadała nieźle, lecz pobieżnie i z roztargnieniem.

Drżała całym ciałem, gdy Wagner badał ją z kursu; rozplakała się, kiedy w obecności przełożonej, dam klasowych i kilku profesorów podał jej rękę, dziękując za zamilowanie, z jakim uczyła się jego przedmiotu.

Uroczystość wręczenia nagród najpilniejszym uczennicom odbyła się w obecności rodziców ich i krewnych; nazajutrz—przełożona zaprosiła całą szóstą klasę wraz z nauczycielkami i prefesorami na wycieczkę za miasto.

Pola tego dnia z błyszczącymi oczami wpadła do Ksawery, aby z nią razem stawić się na pensyi, gdzie był punkt zborny. Ścisnąc przyjaciółkę, tańcząc z nią to walca, to polkę po pokoju, wołała:

— Zobaczysz, jak się będziemy bawiły!

Wróciła do domu z majówki smutna, zamysłona. Nie chciała ani siostrze, ani braciom

odpowiedzieć na zapytania. Zamknęła się w swoim pokoju i całą noc płakała.

Rano, nazajutrz, oznajmiła matce, iż chce jaknajprędzej dostać się na wieś, do ciotki, u której i tym razem miała spędzić wakacje.

W kilka godzin musiano spakować jej rzeczy. Wyjechała, nie pożegnawszy się z Ksawerą.

Po tygodniu wyprawiła list do przyjaciółki, przepraszając ją za to.

„Coś dziwnego zrobiło się ze mną po owej majówce” — pisała — „na której byłyśmy razem zeszłej niedzieli.

„Pamiętasz? Kiedyśmy wracały łódką do brzegu, tyś siedziała przy mnie i zapytałaś mnie, czemu nie śpiewam chórem razem ze wszystkimi? Ja ci odpowiedziałam opryskliwie:

— „Czemu nie tańczysz taranteli na wodzie?

„Obraziłaś się na mnie, a gdybyś była wiedziała, co się wtedy ze mną działo!

„Mało mi serce z bólu nie pękło: czy ja wiem dlaczego?

„Zachwycaliście się jednogłośnie pięknoscią krajobrazu. Niebo było czyste; księżyc świecił cudownie; żółtawe brzegi niknęły

w zmroku, senne, jakby zakłęte do cichej drzemki...

„Mnie w gardle dławiło: łykałam łzy nie chcąc płakać... Tak mi było smutno, tak strasznie smutno!

„Przerażająca pustka otwierała się przedemną. Czułam dokładnie, że w tej minucie kończyłam jedną epokę życia, a rozpoczynałam drugą.

„Cobym była dała za to, żeby nazajutrz obudzić się uczennicą tak, jak wczoraj! Jak jabym pracowała!

„Co teraz będę robiła? — pytałam sama siebie — i nie umiałam znaleźć odpowiedzi.

„Za sobą miałam wspomnienia, przed sobą — próżnię...

„Wspomnienia?

„Ah, ty nic nie wiesz.

„Pamiętasz grę w kotka i myszkę, którą ja dowodziłam i ciągle tobie musiałam przypominać, gdy na ciebie przyszła kolej biegać: taka byłaś zagadana z panną Pauliną o trudnym zadaniu geometrycznym, jakieśmy miały na egzamin. Gdyśmy się już wszystkie bardzo pomęczyły, ktoś zaproponował spacer.

„Całe towarzysstwo rozsypało się w grupy, podążając cienistą aleją ku szerokiemu

gościńcowi. Ja stałam z boku za drzewami, aby poprawić suknię i spiąć włosy, które mi się rozspalały.

„Gdy wyszłam z pod cienia zasłaniającego mię kasztana, całe towarzystwo już było daleko. Ostatni w tyle, szedł Wagner, pochylając się co chwila to nad jakąś rośliną, to nad leżącymi przy drodze kamykami.

„Stałam, nie wiedząc — pierwszy raz w życiu — co począć?... Serce biło mi tak mocno, że zdawało się odrywać od lewego boku i przeskakiwać na prawy, pulsując aż pod samem gardłem...

Śmiać mi się chee z tego w tej chwili: nie mogę zrozumieć, co się wtedy ze mną działo?...

„Chciałam uciec, a stałam w miejscu; chciałam zawołać na ciebie, zapomniałam twego imienia...

„Wagner, spostrzegłszy mię, przystąpił do mnie, pokazując kwiaty, które zerwał, objaśniając ich nazwę i wskazując użytek. Podniósł następnie kilka łupków krzemieni i zaczął mi tłumaczyć, w jaki sposób doszły do obecnych swoich kształtów. Widząc jednak, iż rozrywam kwiaty, jakie mi podawał, rzucając je na ziemię, że kamykami bawię się,

jak piłką, ciskając je w górę i chwytając spadające, przestał mówić. Spojrzał na mnie tylko badawczo dużemi swemi niebieskiemi oczyma.

„Znasz je: prawda, że wszystko umieją powiedzieć, co zechcą?

„Wtedy zgromiły mię jak niesforną pensyonarkę, na którą nie warto zwracać uwagi.

„Zawstydziałam się i, spuściwszy głowę, zwiesiwszy ręce, nie bawiąc się już niczem, szłam naprzód.

„Długośmy milczeli. Potem łagodnie, jak gdyby przebacząc mi już chwilową winę moją, on zaczął wypytywać mię o rodzeństwo moje, o to, jak długo byłam na pensyi, którą z koleżanek najlepiej lubię!...

„Odpowiadałam mu na wszystko tak, jak gdybym przedtem już całe wieki z nim rozmawiała. Serce przestało mi bić, zrobiło mi się tak wesoło, że byłabym skakała z radości i ścisła każde drzewo po drodze.

„Nie wiem, zkąd przyszło do tego, że i on opowiedział mi swoje życie.

„Biedny, ale, jaki biedny!... Tobie go żal nie będzie; bo wyrozumiesz sobie, że sam na swój los zapracował. Znam twe dowódzenia, że wszystko ma swoją przyczynę

o swój skutek i wszystko musi być tak, jak jest, że porządek zmieni się dopiero wówczas, gdy z teraźniejszym zacznie być źle ludziom na świecie...

„Jakaś ty szczęśliwa, że możesz wierzyć w to, co sobie powiesz z góry!...

„Ja nigdy twego rozumu nie zdobędę, choćby mi stu takich kaznodziei, jak ty, codzień prawo moralności...

„Biedny Wagner, biedny, biedny! Jak on wcześniej zaczął żyć!...

„Mówił mi, że był uczniem piątej klasy, kiedy został narzeczonym, był studentem drugiego kursu, kiedy się ożenił; miał lat dwadzieścia sześć, kiedy już troje dzieci wołało nań: „ojcze!“

„Pewnie nie kocha swojej żony, bo powiedział mi, że wszystkim dla niego nauka. Wstaje o piątej rano, aby czytać. Kładzie się późno w nocy z głową, pełną planów przyszłych prac historyczno-filozoficznych, jakie ma na widoku.

— Gdyby nie to, że lubię czytać, lubię uczyć siebie i innych, — powiedział mi — to... kto wie?...

„Wyjął z bocznej kieszeni tużurka małą flaszeczkę i uśmiechnął się smutnie, znacząco...

„Idąc ciągle drózkami, na które nie zwracaliśmy uwagi, dotarliśmy nad brzeg rzeki.

„Słońce zniknęło, różniąc całą zachodnią stronę firmamentu i muskając jakby różowymi piórkami powierzchnię wody.

„Od wschodu, z białych, jak puch, delikatnie roztrzepanych obłoków, wypłynął bładny jeszcze, ale coraz bardziej przechodzący w srebrzystą barwę krąg księżyca.

„Przed sobą mieliśmy żółtą ławę piasku, wodę płynącą jednostajnie, kilka łódek, mknących po niej, jak łupiny orzecha.

„Na drugim brzegu rzeki pstre kontury ścian i dachów domów niknęły we mgle i kurzu, unoszącym się w powietrzu i zwiastującym chaos, zgiełk, gwar miasta.

„Oparci o pień topoli, patrzyliśmy na krajobraz, roztaczający się przed nami.

„Przyroda, jej piękno, to także jedno z bóstw, do którego modli się człowiek, nieszczęśliwy w tem, co nazywamy życiem codziennem — rzekł Wagner, wodząc oczyma to po rzece, w której odbijała się każda chmurka, to po niebie, na które wpływały coraz to nowe gwiazdy.

— Czyż takiego człowieka nie już na

świecie, prócz nauki i pięknej przyrody, zając i rozerwać nie może?—spytalam.

— Jeżeli jest lisy, choć ma dopiero lat trzydzieści dwa, jeżeli sam siebie uważa już za bardzo, bardzo starego, to szczęście dlań, gdy może mieć jeszcze choć takie ideały...

„Zawracaliśmy bocznymi ścieżkami ku reszcie towarzystwa, które musiało być niedaleko, gdyż dolatywał nas gwar rozmowy.

„Wagner mówił coś jeszcze o sztuce, której był namiętnym wielbicielem. Słuchałam go, dziś jednak nie umiałabym powtórzyć ani jednego słowa z tego, co powiedział.

„Nie wiem, co się wtedy ze mną działo: upajał mię, czy zapach świeżo skoszonej trawy, czy powietrze bez kurzu, od którego odwykłam w mieście. W głowie mi się kręciło, do oczów łzy napływały, wargi mi drżały, na twarzy, w skroniach czułam szybkie tętno krwi. Serce mi biło znów mocno... Oddychałam prędko i krótko, a zdawało mi się, że wcale oddychać nie mogę...

„Wychodziliśmy właśnie z cienistej alei na gościniec, którym ty wraz z całym towarzystwem postępowałaś zwolna.

„Nimeśmy minęli ostatnie drzewo, które

zakrywało nas cieniem swoim, schwyciłam rękę Wagnera i pocałowałam ją. Pędem następnie pobiegłam do was...

„W oczach kołowałyście mi się wszystkie: nie poznałam żadnej z was...

„Gdy już stałam między wami, uspokoiłam się nagle i wytrzeźwiałam...

„Tylko — smutno, ah, jak smutno mi było!...

„Wagner zbliżył się potem do mnie kilka razy i pytał, co będę robiła po wakacjach, dokąd wyjeżdżam na lato?

„Nie umiałam odpowiedzieć mu ani na jedno pytanie: jakiś ciężar, pełen oporu, zwarł moje wargi...

„Tak smutno, tak strasznie smutno mi było w tej chwili...

„Na pożegnanie, dałam mu parę kwiatków, któreśmy razem zerwali: schował je; widziałam...

„Co on sobie myśli o mnie teraz?“

List Poli doszedł do rąk Ksawery jednocześnie prawie z drugim, napisanym i wyprawionym nazajutrz.

„Byłam dziwnie sentymentalna, pisząc wczoraj do ciebie.“

„Nie bierz opowiadania mego za prawdę

rzeczywistą. Wiesz, jak bujną mam wyobraźnię; gdyby los był obdarzył mnie talentem w stosunku do niej, zostałabym zapewne autorką wielu powieści; część zatem moich słów weź na karb owej wyobraźni, resztę — przypisz sentymentalnemu nastrojowi, w jakim byłam wczoraj, a w jaki, niestety, obecnie wpadam coraz częściej...

„Mam nadzieję, że nie dasz cieszyć się światu bzdurstwami, jakie ci powypisywałam i podrzesz je, lub spalisz, nie doczytawszy ich nawet do końca...”

„Taki czyn więcejby cię odznaczył, aniżeli sto tysięcy peror, jakie masz zapewne dla mnie w zapasie...”

Ksawera odpowiedziała jej, radząc, aby wzięła się do pracy, aby czytała dużo. Wskazała jej kilka książek, o które mogłaby z łatwością postarać się na wsi:

„To jedyne lekarstwo na wszelkie rozdrażnienia i smutki—dodała—które powstają z nudów najczęściej...”

„Gdyby nie praca, jak często zapadałabym i ja w pesymizm, a tak... nie mam czasu na to. Uczę się i uczę: widnokrąg myśli moich rozszerza się z dniem każdym... Z dumą widzę, iż książki, których nie rozu-

miałam rok temu, dziś czytam, jak bajki lub powieści...

„Weź ze mnie przykład: spróbuj pracować, a zobaczysz, iż inaczej będziesz na świat patrzała...”

„Pustka myśli rodzi pustkę serca. Gdy czytam twoje listy, żal mi ciebie; widzę, jakie skarby uczuć marnujesz na próżno, jak, nie mając czem zabić czasu, stwarzasz sobie sztuczne marzenia i sztuczne udręczenia...”

„Czas już wielki, abyś raz przyszła do rozwagi i zaniechała pensjonarskich rojeń o profesorach...”

„Każda uczennica musi kochać się w jednym ze swoich nauczycieli, to rzecz wiadoma; cała sztuka rozwagi polega na tem, aby umieć ustrzedz się błędów ogólnych i stworzyć sobie całkiem odrębny, sobie tylko właściwy, regulamin życia...”

„Ty nie dojdiesz do tego chyba nigdy: trzeba na to wielkiej cierpliwości i wniknięcia w siebie, a ciebie tak dalece zajmują głupstwa i drobiazgi świata, iż na jakiegokolwiek wyrobienie w sobie samoistnych marzeń i celów brak ci woli...”

„Gdybyś chciała, mogłabym ci nakreślić program zajęć na wsi, musiałabyś mi jednak

przedtem dać słowo, iż będziesz wykonywała go ściśle.

„Napisz, daj słowo, a wyprawię na twoje ręce niezwłocznie całą ustawę wraz z odpowiedniami paragrafami...”

Pola odpowiedziała:

„Pisz mi jak najwięcej kazań: wiesz doskonale, że nigdy ani *Kolce* ani *Świąteczny* tak mnie nie ubawią, jak one. Myśląc o tobie, wyobrażam sobie ciebie, jako młodego pastora bez miejsca i zaśmiewam się, rysując twoją karykaturę w czarnym surducie do kostek i białych języczkach na piersiach...”

W dzienniczku swoim natomiast, który, znudzona i zniechęcona listami Ksawery, zaczęła prowadzić na wsi, Pola zanotowała tego dnia:

„Stanowczo mam słabość do niebieskich oczów:

„Wczoraj nie mogłam zasnąć długo w nocy. Leżałam, nie myśląc o niczem: Naraz—para niebieskich oczów, jakby wyjętych z kostnej oprawy, zawisła nademną w powietrzu wyraźnie, tak wyraźnie, że o mało nie wyciągnęłam ręki, aby je schwycić...”

„Kołysały się nademną, jak dwa gazo-we baloniki, potem wzbily się pod sam sufit,

wcisnęły w róg i patrzyły na mnie tak uparcie, że mało mi mózgu nie prześwidrowały.

„Męczyłam się, a zasnąć nie mogłam...”

„Wstałam dziś z głową ciężką, jak gdyby mi kto bryłę ołowiu wsunął między skronie.

„Przypomniałam sobie, ubierając się, koleżankę z naszej klasy, Julkę, jak strasznie płakała na egzaminie w tym roku, dostawszy dwójkę z algebry.

„Z pewnością—mnie było gorzej na świecie w tej chwili, niż jej wówczas, a jednak—nie płakałam.

„Nieżnośne te moje smutki; tak pysznie bawiłabym się tu na wsi, gdyby nie one!...”

„Wszyscy uważają mię już za dorosłą, nazywają najładniejszą panną w okolicy. wyprawiają majówki i wieczorki na moją cześć.

„Trzy dni temu, na przykład, byliśmy na wycieczce w lesie.

„Pan Jan, praktykant z sąsiedniego dworu, zaprowadził mnie i kilka innych panien w głąb polany, po bokach której wyrosło kilka krzaków leszczyny.

„W chwili, gdy zrywał dla nas orzechy, a ja śmiałam się z jego niezgrabności tak głośno, że las cały mię słyszał, przyszła mi

nagle ochota uciec tak, jak stałam: bez rękawiczek i kapelusza...

„Dokąd?... Nie wiedziałam... Na najdal-
szy choćby koniec świata...”

„I cóżbym tam robiła?... Tęskniłabym
tak, jak i tutaj tęsknię...”

„Za jedną lekcję historyi, oddałabym
teraz pół życia!”

Ksawera pisywała do Poli, nie czeka-
jąc jej odpowiedzi. W ostatnich listach swo-
ich spowiadała się z obszernych planów na
przyszłość. Miała po wakacjach starać się
o lekcję płatne, aby za zebrane w ciągu lat
paru pieniądze wyjechać zagranicę, dla stu-
dyów uniwersyteckich. Na jaki wydział wstą-
pi,—nie wiedziała jeszcze, dosyć jednak miała
czasu przed sobą, aby się namyśleć.

Nęciły ją najbardziej nauki społeczne
i filozofia; najwięcej prac czytała w tym kie-
runku, sądziła zatem, iż jeden z dwóch tych
działów obierze w końcu.

„Oby tylko nie stanęło nic na przesko-
dzie projektom moim”—pisała.

„Człowiek często tak sprzeczny z wolą
przeznaczenia kierunek usiłuje nadać życiu
swemu, że w końcu pada bez sił, zmożony
walką...”

„Czyż nie może być tak ze mną? Dreszcz
niepokoju przechodzi mię na myśl, iż mogła-
bym pędzić filisterski żywot przeciętnika, od-
danego tylko zarobkowi na chleb powszedni,
bez tych ideałów, jakie rozgrzewają serce
i umysł mój w tej chwili.

„Pod pancerzem biernej powagi, w jaki
uzbroiłam się od lat najmłodszych, nikt nie
przypuszcza, co za wulkan głodnych wiecznie
pragnień wre w mojej piersi...”

„Stańczyk wziął na siebie szatę blaźna:
mnie stokroć dogodniej było wejść w formę
automatu, aby pod nią ukryć to, co burzy
się i kipi w myślach...”

„Jeżeli kiedy zostanę wielkim filozofem,
lub prawnikiem, wówczas dopiero zrzucę z sie-
bie maskę tej obojętności, która każe patrzeć
na mnie, jak na lalkę z wosku o doskonałej
maszyneryi sprężyn; wówczas zacznę żyć ży-
ciem ludzkim, zacznę marzyć, cieszyć się
i cierpieć wraz z innymi...”

„Dziś — tylko pracy mi trzeba: ona je-
dna gasi dorywczo żar piersi i głód myśli:
ona jedna pozwala mi istnieć, budząc w mem
sercu nadzieję...”

Pola przeglądała listy Ksawery zwykle
pobieżnie i z pewnem lekceważeniem. Ruszała

ramionami, natrafiając na ustępy o pracy i ideałach, śmiała się z nich, lub zakreślając je czerwonym ołówkiem, pisała na marginesie: „tak mówi stara dewotka!”—i z tego rodzaju notatkami odsyłała je napowrót Ksawerze!

Któregoś dnia jednak, w przystępie smutku, jaki ją opanował, pomyślała:

— A gdybym i ja spróbowała pracować tak, jak ona? Możeby mnie to rzeczywiście zdołało wyleczyć?..

Jesień nadchodziła. Rodzice wzywali Polę do powrotu, który ona zwlekała z tygodnia na tydzień.

Pan Jan skończył praktykę. Kilku najbliższych sąsiadów wyjechało za granicę. Goście coraz rzadziej nawiedzali dom ciotki; Pola postanowiła skorzystać z ciszy i spokoju, aby wziąć się do pracy.

Zaczęła wstawać rano, brała książkę i czytała, robiąc ołówkiem notatki na marginesie. Po obiedzie i wieczorem znowu czytała.

Na razie zajmowało ją to, po kilku dniach jednak rzuciła książkę z gniewem na ziemię.

Nie mogła mieć myśli długo skupionych: męczyło ją to, nudziło.

Co innego, gdyby jej ktoś te myśli podsunął żywym słowem!

Zabrała się do fortepianu, sądząc, iż ćwiczenia palców mniej ją znużą, aniżeli gimnastyka umysłu.

Po kilku dniach rzuciła i fortepian.

Spróbowała pisać wiersze. Na razie udało się jej kilka zręcznych. Potem zabrakło rymów.

Pomyślała wówczas o Ksawerze.

— Dlaczego ona może pracować i praca jej nie męczy? Dlaczego ona może zapełnić nią sobie życie, takie głupie, tak niegodziwie jednostajne, podczas gdy ja konam z nudów, a nic mi się nie chce robić?

Przyjaciółka w jej pojęciu wyrosła nagle na bohaterkę.

Zaczęła zastanawiać się nad usposobieniem Ksawery, zaczęła porównywać ją ze sobą i porównanie to stanowczo wypadło na jej niekorzyść.

„Stoisz o całe niebo wyżej odemnie” — pisała do niej w jednym z następnych listów.

„Jesteś samodzielna, umiesz pokierować sobą, podczas — gdy ja mogłabym być do-

brym pionkiem, ale tylko w ręku kogoś, kogo bym bardzo, bardzo kochała.

„Gdyby...

„Ale po co o tem mówić? — To tarantela, którą kazałam ci tańczyć na wodzie: wiesz, pamiętasz kiedy?

„Czy miałas w życiu swoim jeden dzień, który byłby dla ciebie najszczęśliwszy i zarazem — najsmutniejszy?

„Ty potrafisz pracować dla siebie, ja, jak żak, mogę uczyć się tylko dlatego, aby dostać pochwałę, na której zależy mi wiele, bardzo wiele!...

„Tak dawnośmy się nie widziały! Od chwili, w której zaczęłam zazdrościć ci twego zamiłowania do książek, zyskałaś u mnie w cenie. Już nie będę wyśmiewała się z twoich morałów. Pisz do mnie; może z twych listów zaczerpnę teraz chęć uczenia się czegośkolwiek.

„Całe dni przechodzą mi na spacerach. Wczoraj od południa do zmierzchu przesiedziałam w lesie. Tak było spokojnie, jak tylko w jesieni na wsi być może. Ptaki nie śpiewały. Drzewa trochę szumiały nademną. Liście padając z gałęzi, wywoływały lekki szmer; zdawało mi się, że kilka duchów błą-

dzi w przestrzeni. Słońce świeciło, rzucając garście blasku z góry, od wierzchołków drzew i smugi cieni w dół, na iglastą ziemię, między sterczące pnie czarne. Miękkie, jak puch, pajęczne nici, kołysząc się w powietrzu, opłatały mi twarz, ręce i szyję łagodnym, ciepłym uściskiem.

„Siedząc na ściętym pniu sosny, końcem parasolki usiłowałam rozplątać dwie gałązki bluszczu, tak silnie ze sobą spojone, że byłabym musiała połamać łodyżki, zanimby się rozbiegły...

„I po co je ranić? — Przecież one mają nerwy, które w nich wibrują, jak w tobie i we mnie...

„Pamiętasz, kto nam pierwszy o tem powiedział?...

„Zostawiłam bluszcz w spokoju i, siedząc na pniu, rozglądałam się po lesie cichym, uroczym.

„Przyroda — jej piękno — to także jedno z bóstw, do których modli się człowiek, nieśczęśliwy w tem, co nazywamy codziennem życiem — powtarzałam sobie w myśli.

„Ale po co ja to piszę?...

„Ty mnie nie zrozumiesz, ty nie potrzebujesz wspomnień dla zapełnienia sobie życia.

Masz zapas energii, która każe ci być czynną. Moja energia — starczy na zabawienie kilku dudków, którzy prawią mi komplementy w chwili, gdy wpadam w wesołość i żartuję z nich.

„Jestem pusta. Muszę szukać wrażeń z zewnątrz, aby umysł miał co trawić. A gdy one nie wystarczają lub—gdy ich znaleźć nie mogę, gonię pamięcią to, , co przeszło i już nigdy, nigdy nie wróci!...

„Stoisz o całe niebo wyżej odemniel.. Gdybym nie przywykła od najmłodszych lat do wyśmiewania twojej pastorskiej miny, całowałabym cię w rękę, z powagą i szacunkiem kornej uczennicy...

„Nie ciesz się jednak bardzo z tego uwielbienia mojego: nim wyjadę ztąd, minie ono zapewne, jak tyle innych wrażeń, przez które przechodziłam, a których dziś już nie pamiętam...

„Ciotka rozmawia ze mną ciągle o karawale, przepowiadając mi, że będę się szalenie bawiła. Mam już kilka strojów obmyślonych. Zaimponuję ci nimi.

„Na bal kostyumowy u Zaborowskich, na który mię rodzice w tym roku wziąć muszą, będę bladuróżowym gołąbkim. Sukienka

różowa atlasowa, obłożona piórkami, pończoszki i pantofelki różowe, skrzydełka różowe na ramionach, gołąbek z rozpiętymi skrzydełkami we włosach, na samym czubku głowy!

„Gdy ci się pokażę w tym stroju, pomyślisz sobie:

— Co po książkach? Co po pracy? Człowiek raz tylko żyje i powinien życia tego użyć dowoli.

„Będzie ci się zdawało, że — w porównaniu ze mną — jesteś nudnym belfrem, w starych, przydeptanych pantoflach.

„Postanawiam sobie w tej chwili uroczyste pozbyć się wiejskich melancholij, które do niczego nie prowadzą. Na myśl o balu serce mi bije, nogi drżą podemną. Skakałabym, ścisakałabym wszystkich!

„Jakaś ty biedna, że nie lubisz tańczyć! Mnie na twoim miejscu zdawałoby się, że jestem kaleką!...

„Będę się szalenie bawiła! Kilku panów, których tu na wsi poznałam, a którzy w karawale zjeżdżają do miasta, zaprosiło mię do wszystkich mazurów, polek, walców i kontredansów, na balach, na których będziemy jednocześnie.

„Mamy spotykać się u Dłuskich, Andrzejowskich, Zambrzyckich i t. d.

„Myślę o tem wszystkiem najczęściej wieczorem, rozmawiając z ciocią... Rano w lesie, albo nocą, kiedy się położę i zgaszę światło, a jeszcze nie śpię, zupełnie co innego chodzi mi po głowie. Nućę sobie piosenkę: „Niebieskie oczy,” którą tu wynalazłam między nutami cioci i — z nią zasypiam.

„Czy mnie kiedy niebieskie jakie oczy zbudzą jeszcze do życia?...

Dopisek nazajutrz:

„Gdybyś wiedziała, jak się śmieję w tej chwili z ostatniego ustępu mego wczorajszego listu! — Gardło mi pęka, duszę się!...

„Ciotka aż wpadła do mego pokoju, myśląc, że dostałam spazmów!

*

*

*

Z pierwszą sanną Pola wróciła do miasta.

Na drugi dzień po przyjeździe wyszła z matką za sprawunkami, niedługo bowiem miał być bal — imieniny tańczące — u dobrych znajomych.

Do Ksawery wstąpiła na chwilę, przechodząc z jednego sklepu do drugiego.

Zastala ją, robiącą wyciągi z historyi społeczeństw pierwotnych, którą czytała.

Wyrwawszy jej książkę z rąk, położyła ją sobie na czubku palca i przekreśliła się z nią kilka razy po pokoju, póki kartki nie powypadały na ziemię. Następnie, rozglądając się po biurku przyjaciółki, poprzestawiała naprędce ułożone symetrycznie cacka, mówiąc:

— Wiedziałam doskonale, że cię zastanę, jak starego rabina, nad talmudem. Czy dużoś się z niego nauczyła? Pokaż: mądrą masz minę?

Wyciągnawszy Ksawerę na środek pokoju, zaczęła ścisnąć ją, tańczyć z nią, uderzać po ramionach, gładzić po twarzy, póki Ksawera z całą powagą nie zawołała:

— Dosyc już tego!

Rozmawiały ze sobą krótko, gdyż matka Poli czekała na dole.

— Wpadnij do mnie jutro! — wołała Pola, wychodząc.

Ksawera wpadła nazajutrz i wpadła dzień później i jeszcze dzień później, ale nigdy nie zastawała przyjaciółki w domu. Nareszcie przestała chodzić do niej.

Pola, zabiegana, codzień mówiła sobie:

— Jutro, żeby nie wiem co, muszę iść do Ksawery!..

Przychodziło jutro; trzeba było wstąpić do krawcowej, przymierzyć suknię. Posiedzenie przeciągnęło się dłużej, niż przypuszczała. Musiała jeszcze zamówić kwiaty, dobrać rękawiczki do koloru wstążek przy sukni. W jednym sklepie ich nie znalazła, trzeba było szukać w drugim. Nie starczyło czasu na odwiedzenie Ksawery.

Następnego dnia wypadł niespodziewany raut. Należało przygotować odpowiednią toaletę; przepiąć fałdy sukni, podgarniować stanik. Znowu narady z krawcową, znowu spacer do ogrodnika, do rękawicznika i — odwrotnie.

Tak było dzień po dniu, tydzień po tygodniu.

W końcu — Pola przestała się wybierać do Ksawery, Ksawera przestała jej oczekiwać.

Od koleżanek, które spotykały Polę na wieczorach, Ksawera słyszała o jej powodzeniu. Rój młodzieży otaczał ją zawsze. Na kostyumowym balu, na którym wystąpiła jako gołąbek, dwóch młodych ludzi oświadczyło się o nią. Jednemu kazała czekać na siebie rok, drugiemu — rok i dzień jeden.

W czasie karnawału nocami tańczyła, dniami odsypiała przetańczone noce.

Z młodych ludzi, poznanych w ciągu zimy, najwięcej zajął ją młody inżynier Witold Marski, syn zamożnych obywateli z okolic Warszawy.

Tańczyła z nim niewiele, gdyż Witold wogóle tańczyć nie lubił i tylko, jako przytomowy ochotnik, stawał w rzędzie wybieranych do figur mazurowych rycerzy; imponował jej jednak powagą swoją. Mimowoli, rozmawiając z innymi, śmiejąc się i trzepocząc, jak pensyonarka, szukała go wzrokiem, spotkawszy się zaś z dużemi jego, niebieskimi, w siebie utkwionemi oczami, milkła nagle i już nie była w stanie podjąć na nowo pustego, ot, tak tylko, dla zabawy rzuconego frazesu.

Gniewało ją to, oburzała się sama na siebie, a jednak — nie umiała, nie mogła zwalczyć magnetycznego wpływu, jaki wywierał na nią Witold.

Stanowczo, różnił się on od innych wyrazem twarzy, giestami, głosem, nawet krojem tużurka i rozsypaną nad czołem gęstą ciemno-blond czupryną, wstrząsaną co chwila dla odrzucenia w tył włosów, spadających na oczy drobnemi puklami..

Nic w nim nie zdradzało ogólnego szablonu; każdy ruch jego świadczył o samoistości i odrębności upodobań, nawyków.

Był blondynem: to jedno przeszkadzało Poli. Inaczej — z pewnością rozkochałaby się w nim od pierwszej chwili, a tak — zajmował ją głównie wyraz łagodnej, miękkiej powagi, rozlany na różowych ustach, na białem, gładkiem, jak aksamit czole, i duże niebieskie oczy, przypominające jej piosenkę, nuconą na wsi parę miesięcy temu.

Witold długi czas obserwował ją zdaleka tylko, zanim po raz pierwszy przystąpił do niej. Rozmowa ich na razie rwała się, jak oczka źle tkanego przedziwa. Pola trochę bała się go, trochę wstydzila się być przy nim tak roztrzępaną, czczą i pustą, jak przy innych. Krępował ją, sama nie wiedziała czemu? Musiał być dobry, wyrozumiały, łagodny, patrzył na nią, jak patrzy profesor na uczennicę, którą radby skarcić niekiedy, do której wszakże ma pewną słabość i, dzięki temu, wybaczają jej dorywcze usterki. Pomimo to wszystko bała się go.

Zajmował ją jednakże tak, iż przed każdym balem mimowoli myślała:

— Czy też spotkam go dzisiaj?

Wchodząc w progi salonu, odurzona blaskiem jarzących światel, lśniąca, jak zwierciadło, posadzką, wonią perfum i kwiatów, rozlaną w powietrzu, — oglądała się za nim.

Zwykle dostrzegała go natychmiast, czując wyraźnie, iż coś pociągało wzrok jej wprost ku niemu.

On — kłaniał się zdaleka, następnie podchodził do niej, przeprowadzał ją przez środek salonu i siadał przy niej na chwilę, nie tamując przystępu do jej krzesła tancerzom z fachu i powołania.

Był bardzo, niesłychanie wyrozumiały: to ją ośmieliło do niego, tak że po pewnym czasie czuła się niemal szczęśliwą, mogąc z nim rozmawiać...

On słuchał opowiadań jej o najlepszych sztukach w teatrze, o zabawach, rautach, koncertach przeszłych oraz przyszłych, o ulotnych, w modzie będących poezijkach i nowelach, jak słucha się świergotu kanarka lub cykania polnego konika: z pewną bezwiedną przyjemnością.

Sam odzywał się niewiele, naprowadzał Polę jednak tak zręcznie na szczere, otwarte zwierzenia, iż rozmowa między nimi nie ustawała: przerywali ją tylko natrętni tancerze,

proszący o jedno jedyne „tour” walca lub polki.

Pola niekiedy byłaby poświęciła taniec dla rozmowy z Witoldem. Prócz Ksawery, nikt jeszcze nie słuchał jej tak uważnie; on nawet prześeiął pod tym względem Ksawerę, był bowiem całkiem bezinteresowny. Ksawera słuchała jej dlatego tylko, aby prawić później morały, Witold zaś — uśmiechał się pobłaźliwie jak rozkochany brat, który nie ma odwagi skarcić młodszej od siebie, jedynej i dlatego tak drogiej sercu siostry.

Na ostatnim balu przed środą popielcową, Witold, który dotąd tańczył bardzo niewiele, poprosił ją o drugiego kontredansa.

Pola ofiarowała mu go z rozkoszą. Tańczono w podwójne pary. Podczas, kiedy na nich wypadł odpoczynek przed trzecią figurą, Witold, pochyliwszy się nad krzesłem Poli, spytał:

— Czy pani całe życie myśli spędzić między jednym balem a drugim?

— Życie moje dotąd nie podlega żadnej kontroli — odpowiedziała.

— A gdyby znalazł się ktoś, coby miał zamiar przekształcić je trochę?

— Pan mi się oświadcza?

— Tak, pani!...

Pola wybuchnęła głośnym śmiechem. Uspokoiwszy się, zaczęła wymieniać imiona panów: Alfreda, Zygmunta, Artura i t. d., przyczem dotykała drugim palcem prawej ręki wszystkich z kolei palców lewej.

Skończywszy obrachunek, rzekła sama do siebie:

— W tym karnawale już szósty... Zwracając się następnie szybko do Witolda, dodała:

— Nie jestem, panie, bogatą dziedziczką...

— Nie szukam, pani, bogatej dziedziczki. Stosunki jej rodzinne są mi dobrze znane: ma pani czterech braci, dwie siostry. O posagu za życia rodziców mowy być nie może. Wyprawę dostaje pani za trzy tysiące rubli. Po najdłuższem życiu rodziców, każde z rodzeństwa liczyć może na dziesięć tysięcy rubli.— Czy dobrze zostałem objaśniony? — Co do mnie — jestem inżynierem. Pracuję w fabryce. Dotychczas mam około czterech tysięcy rubli pensyi, z czasem jednak dochody moje zwiększą się podwójnie, a może nawet potrójnie...

Recytował to prędko, ze zniecierpliwieniem, jak żak, wyuczony lekcyi, której chciał

pozbyć się jaknajprędzej, aby wiedzieć, jaki czeka go stopień?...

Pola nie poznawała go w tej chwili: wyszedł ze zwykłego swego spokoju, żrenice jego błyszczały, wargi drgały nerwowo, czoło marszczyło się zlekka, na blade zwykle policzki wystąpiły dwie plamy czerwone.

Musiał być silnie wzruszony... Zmieniono pary. Witold i Pola musieli stanąć do trzeciej figury. Gdy, podawszy sobie ręce, zbliżali się i oddalali od siebie, kołysanym ruchem, patrzył na nią dużemi niebieskiemi swemi oczyma tak badawczo, iż wzrok jego zelektryzował ją nagle.

Po skończonej figurze pociągnęła go w róg sali, pod wielką palmą, która zasłoniła ich oboje i rzekła:

— Pan wie, że jestem kapryśna?...

— Wiem, pani.

— Pan wie, że jestem lekka, pusta i niczem poważnem zając się nie umiem?...

— Wiem, pani.

— Pan wie, że nie jestem w stanie kochać kogoś całym sercem?...

— Nie wiem, pani.

— Mam jedyną przyjaciółkę, której

trzy miesiące już nie widziałam, a jestem do niej niby bardzo przywiązana...

— Nie wiem, pani.

— I pan by się nie bał moich wad, mego próżniactwa i lekkomyślności?...

— Szczerłość i świadomość błędów dopomaga wyleczeniu się z nich...

— A jeżeli nie mogłabym zdobyć się na chęć prowadzenia kuracyi?...

— Pracowaliśmy nad wzbudzeniem jej oboje.

Niebieskie jego oczy ogarnęły ją całą, z wyrazem lekkiego niepokoju wyczekując kropki w rozmowie.

Pola doznała zawrotu głowy, jak pół roku temu, pod kasztanem, na łące, kiedy bezwiednie prawie schwyciła i ucałowała rękę Wagnera.

— Pan ma śliczne oczy—rzekła, wyciągając do Witolda obie dłonie... — Spróbuję poddać się kuracyi pana: może mnie ona zmieni i wyleczy...

— Zatem—mam prawo uważać się za narzeczonego pani?—szepnął Witold drżącym ze wzruszenia głosem.

— Dopóty, dopóki kuracya nie sprzyrzy się i mnie i panu...

Witold spojrział na nią wzrokiem najtroskliwszego opiekuna, któremu powierzono pełną władzę nad niesforną, kapryśną, roztrzepaną, lecz szczerą i dobrą, a przez to łatwą do pokierowania pupilką.

Zagrano pobudkę do czwartej figury kontredansa.

Pierwsze pary stanęły.

Suwając się lekko i szybko, jak wiewiórka, po gładkiej posadzce salonu, Pola szepnęła równiennicze swojej, tańczącej z nią na vis à vis, że za dwa miesiące wychodzi za mąż, a za rok—musi mieć parę bliźniąt.

Po skończonym kontredansie wywołała matkę do buduaru, w którym nie było nikogo i przedstawiła jej Witolda, jako swego narzeczonego.

Matka zrobiła uwagę, że za mało jeszcze się znają, że małżeństwo jest to sakrament, wiążący dwoje ludzi na całe życie i trzeba dobrze pomyśleć, zapytać serca i rozumu o radę, zanim się do niego przystąpi...

Pola przytuliła się do matki, kazała Witoldowi pocałować w rękę przyszłą teściową i dodała:

— Wyjść za mąż kiedyś przecież muszę. Nie zestarzeję się w domu, jak grzyb,

a czy kogoś będę częściej widywała, czy raz lub dwa razy tylko, — to wszystko jedno; i tak dopiero po ślubie można się dobrze zrozumieć wzajemnie, mnie zaś ze wszystkich panów, których dotąd poznałam, najlepiej podoba się pan Witold... Będziemy z pewnością szczęśliwi: nie znudzimy się ze sobą nigdy ani trochę, bo nic, nawet odrobineczkę, nie jesteśmy do siebie podobni...

W sali zagrano polkę.

— Tańczmy, tańczmy! — zawołała Pola, pociągając Witolda...

— Naturalnie, dziś pan mnie nie odstępuje; wszyscy muszą wiedzieć, że mam narzeczonego...

Oparłszy rękę na jego ramieniu, — dodała:

— Tylko proszę o wiedenkę, nie cierpię zwyczajnej, skakanej; zdaje mi się, że drepczę w miejscu jak stara emerytka...

Witold, ku zdziwieniu wszystkich, tańczył tego wieczora, jak mistrz baletu.

Pola wybierała go do wszystkich tańców. W czasie białego mazura—szepnęła mu do ucha:

— To dobrze, bardzo dobrze mieć narzeczonego!...

Nad ranem, wróciwszy z balu do domu, zamiast rozebrać się z jasnej gazowej sukni, zdjąc z głowy koronkowy kapturek i spuścić z ramion zarzutkę, usiadła pezed biurkiem tak, jak wyskoczyła z karety, aby napisać list do zapomnianej oddawna Ksawery.

„Wychodzę za mąż—oznajmiała jej. Mój narieczony ma Witold na imię. Gdy patrzę w jego oczy, myślę o lekcjach historii...

„Czy bardzo gniewasz się na mnie?... Chciałabym przyjść do ciebie; mam tyle do opowiadania!...

„Nie jestem zakochana, ale bardzo lubię Witolda, więcej bez porównania, aniżeli wszystkich tych, co oświadcza mi się dotąd. A było ich pięciu: dwóch bardzo bogatych...

„Chcę, żebyś go poznała: mówiłam mu, że jesteś daleko lepsza i mądrzejsza ode mnie.

„Jak to dobrze mieć czemś w poście głowę zaprzątniętą!... Będę całymi dniami chodziła z mamą za sprawunkami do wyprawy.

„Witold wie, że nie dostaję posagu, nawet nie pytałam się go, kto mu to powiedzia!...

„Jest bardzo poważny. Mówił mi, że będziemy razem czytawali po ślubie. To do-

brze; pod kierunkiem mądrzejszego od siebie, może jeszcze wyjdę na co porządnego...

„Bawiłam się świetnie w tym karnawale.

„Ksawa, moja Ksawa! Jaka to szkoda, żeś ty taki rabin!—Jakby to dobrze było, gdybyśmy razem wszędzie chodziły!... Poznałabyś dopiero, co to jest życie! Nad szpargałami pojęcia nawet o tem mieć nie można. Jeden walc z dobrym tancerzem, czy nie więcej wart od wyuczenia się na pamięć czterech tomów Darwina?...

„A jednak—chciałabym je umieć! Zadzroszczę ci twego kucia, ale to fakt, że stoisz o całe niebo wyżej odemnie! Witold, gdyby ciebie był poznał przede mną,—na pewno by na mnie nawet nie spojrzal!...

„Odpisz mi, czy mię przyjmiesz; boję się przyjść do ciebie, żebyś mnie nie wypędziła, ale — przecież — ty jesteś mądrzejsza i lepsza odemnie.“

Ksawera odpisała krótko:

„Czekam cię jutro między czwartą a piątą po południu“...

Pola stawiała się o naznaczonej porze i odtąd przyjaciółki widywały się codziennie.

Pola zabiegała do Ksawery często nie-

spodziewanie. Zastawała ją zawsze nad książkami i kajetami.

Raz, wszedłszy do jej pokoju, spostrzegła tam zdaleka młodego człowieka o rzadkich, jasno-blond włosach, przedzielonych z boku i trochę na czoło zczesanych, o mdłym wyrazie szarych, jakby wypłowiałych oczów, o sarkastycznym wygięciu ust, mocno zgrubiałych, ze wzdętą i nieco zwieszoną dolną wargą, o ciężkiej, niezgrabnej postawie i ruchach źle tresowanego niedźwiedzia.

Pola otrząsnęła się, spojrzawszy nań.

Był brzydki, nieprzyjemny, niemal wstrętny...

On, zobaczywszy ją w progu pokoju, pożegnał natychmiast Ksawerę i wyszedł.

Podłoga ugięła się pod ciężkimi jego krokami.

— Kto to taki?—spytała Pola, niemile skrzywiona.

— To korepetytor mego brata, matematyk, pan Józef Brzozowski. Przyniósł mi dziś parę nowych książek. Lubi czytać tak samo jak i ja; często razem nawet czytamy. Jest bardzo zdolny. Jakkolwiek ciężki na pozor, rwie się do postępu w każdej dziedzinie wiedzy. Nieraz godzinami całemi rozmawia-

my o różnych reformach społecznych, które on radby wprowadzić w życie jednej chwili... Jeżeli kiedy dojdzie do pieniędzy, społeczeństwo zyska w nim jednostkę, która pracować będzie dla niego z poświęceniem, z zaparciem się siebie... Dziś — materyalne warunki jego ciężkie i przykre. Utrzymując siebie i rodzinę swoją z lekcyj, przechodzi pomimo to z kursu na kurs z odznaczeniem... Cenię go za jego charakter i wolę niezłomną... Przytem—zamierzamy napisać i wydać kilka prac społecznych wspólnie...

Pola ruszyła ramionami i wykrzywiła wargi, jak gdyby chciała powiedzieć:

To wszystko dobrze, ale mocno mi się ten pan nie podoba...

Może już i miała wyrazy te na ustach, spojrzawszy jednak na Ksawerę, w której oczach, widocznie pod wpływem słów, tylko co wypowiedzianych, drgało pewne rozrzwienie, zamilkła.

Po chwili, gładząc przyjaciółkę po twarzy i tuląc się do niej, jak rozpieszczona kotka, spytała miękko:

— Powiedz, wy się pewnie kochacie?...

Ksawera spuściła powieki i, zarumieniona lekko, odparła:

— Że też tobie głupstwa z głowy wywietrzeć nie mogą! Wiesz przecież dobrze, że ja nie mam czasu o tem myśleć...

W głosie jej jednak nie drgało oburzenie lat dawnych; przeciwnie, była w nim jakaś tkliwa, rzewna, nastrojona na ton miękkiej słodczy nuta...

Wychodząc od niej, Pola otrząsała się. Nie mogła zapomnieć wstrętnego obrazu korepetytora. Jeszcze nikt i nigdy w życiu nie wywarł na niej tak przykrego wrażenia.

— Bałabym się zostać z nim sama w pokoju: mógłby mię zabić—myślała.

Przypomniawszy sobie lekkie zmieszanie Ksawery w chwili, gdy zaczęła mówić o nim, a następnie drżący, jak blaszka metalu, głos jej jakim wyliczała cnoty jego, powiedziała sobie:

— Oni kochają się z pewnością: przysięgałabym na to!...

Wzdychając, dodała natychmiast:

— Biedna, biedna, Ksawera!...

Sama nie wiedziała, czemu żal jej było przyjaciółki w chwili, gdy myślą zestawiała jej osobę ze wstrętną postacią młodego kore-

toldem bardzo o Wagnera. Nawet kiedyś—ze złości—przez cały dzień nie chciałam z nim mówić. Żałuję, że wspominałam mu o tych pensyonarskich głupstwach. Kobieta zawsze jest szczerza od mężczyzny. Ja powiedziałam sobie, że nie będę miała tajemnic przed Witoldem. On — ma tajemnice przedemną, których nigdy od niego nie wydobędę. Na przykład: od tygodnia proszę go, aby mi powiedział imiona i nazwiska wszystkich dawnych swych kochanek: nie chce.

„Pewnie w końcu pogniwamy się i o to...”

„Ale—jak dotąd—żyjemy zgodnie i nie ma czasu na sprzeczki.

„Jak wyjdiesz kiedy za mąż, to przyjedź tu z mężem po ślubie; nie pożałujesz; cudne wycieczki!...”

„Mówiłam ci nieraz, że Witold ma takie oczy, jak Wagner. Jak on się złości, gdy mu to powiem,—nie masz pojęcia!...”

„Dzieci, dzieci! Chciałabym mieć je jak najprędzej i jaknajwięcej!...”

„Wyjdź za mąż: będziemy sobie razem opowiadały o naszych mężach...”

„Szkoda, że tu nie jesteś!—Zobaczyłabyś, jak to się chodzi w góry, po krętych

zakosach!—Nieraz tchu braknie, a jednakże wspinamy się dalej a dalej i po chwili znowu wstępuje w nas rzeźwość, energia: oddychamy lekko, jakby powietrze nie ciążyło w płucach.

„Jedna taka wycieczka z góralami, którzy tak zabawnie rozmawiają z tobą, jak gdybyś była ich siostrą, albo najbliższą kuzynką,—jedna taka wycieczka więcej nauczy, aniżeli wszystkie twoje książki.

„Jak wrócę, muszę zresztą i ja wziąć się do czytania. Mówiłam o tem z Witoldem: ma mię pilnować i zachęcać.

„Jakaś ty szczęśliwa, że nie potrzebujesz zachęty i popychania!

„Napisałam tu dwa wierszyki: Witold mówi, że są zupełnie w stylu Heinego. Bardzo mu się one podobają. Za powrotem naszym przeczytam ci je.

„Bądź dobra dla mnie i odpisz mi zaraz. A z tym korepetytorem twego brata, czy nie przyszło do wyznania? Bo o tem, że się kochacie, nie wątpię ani na chwilę.“

Ksawera krótko i sucho odpisywała na listy Poli, tłumacząc się brakiem czasu.

Dostała kilka korzystnych lekcyj na mieście, do których musiała przygotowywać

się po parę godzin dziennie. Wszystkie, wolne od obowiązkowych zajęć, chwile, spędzała nad książką, jak zwykle.

Parę razy wyciągnięto ją na zebrania, ale z tych wychodziła wcześniej, znudzona, wyrzekając się ich nadal...

„Ostatni list Poli trzy tygodnie czekał na odpowiedź, która przysła już pod koniec pobytu jej i Witolda w górach.

„Milczałam długo“ — pisała Ksawera — „gdyż losy moje ważyły się w tym czasie.

„Zapominałam zawsze nadmienić ci w poprzednich moich listach, iż prawie zaraz po twoim wyjeździe, złożył matce mojej wizytę, pan Roman Wilski, wasz znajomy, którego na twym ślubie spotkałam po raz pierwszy.

„Pamiętasz go? Wdowiec, szpakowaty, nie bardzo już młody, cierpi na atretyzm, ale mnie—wyjątkowo—podoba się bardzo.

„Rodzina moja nie podziela tego gustu, ja jednak dałam mu słowo i wyjdę za niego stanowczo. Wróciwszy, trafisz zapewne na mój ślub.

„Wyobrażam sobie, jak niepomiernie zdziwi cię ta szybka, niemal nagła decyzja z mej strony?...

„Ja, która tak rozległe plany miałam na

przeszłość, ja, której marzeniem, ideałem serca i głowy był bieret doktorski, kończę zwykłem, filisterskiem pójściem za męża, za człowieka ani wybitnie inteligentnego, ani natchnionego wyższymi zagadnieniami i celami społecznymi; za przeciętnego, uczciwego obywatela kraju, o szarych teoriach i maksymach, dosyć biernego, nie mogącego nawet powiedzieć sobie:

— „I jam był niegdyś farysem!... Losy nadają życiu człowieka nieraz dziwnie sprzeczny kierunek z pożądaniami jego, marzeniami lat młodzieńczych, z prawdą i dobrem, do których niegdyś zanosił modły gorące...

„Prawda i dobro?“ Czy mogą być pojęcia, bardziej względne?

„Co czcilałam wczoraj, to depcę dzisiaj; przed czym kornie schylałam głowę godzinę lub pół godziny temu, to lekceważę lub przeklinam w chwili obecnej...

„Ja nie lekceważę, nie przeklinam, nie depcę dawnych mych ideałów, lecz — rozejrzawszy się po świecie, który jeszcze miesiąc temu, stanowił dla mnie jedynie nieudolną kopią wielkiego wszechtworu Platona, — który — zatopiona w książkach, uważałam raczej za złudzenie misternych zmysłów moich, ani-

żeli za byt rzeczywisty, prawdziwy; rozejrzawszy się w tym świecie dziś trzeźwym wzrokiem i myślą, otrząśniętą z hipotez książkowych, doszłam do wniosku, że grzeszy ten, co dobrowolnie wpada w ponurą askezę...

„Jestem młoda, zdrowa, silna, powinnam żyć, powinnam życiem swoim zagrzewać do bytu jednostki, którym niekiedy wędrówka ziemską ciąży, jak gdyby do stóp ich przy-mocowano bryły ołowiu...

— Co się przerodziło tak nagle? — zapytasz z pewnością. — Co tak odrazu, jak gdyby za dotknięciem różdżki czarnoksięskiej, przemieniło bieg twoich myśli?...

„Miłość — odpowiadam. Miłość, która tak niespodziewanie, tak nagle ściele się pod stopy moje, korzy się przedemną, wyciąga do mnie ręce i błaga zlitowania...

„Roman jest zmęczony życiem, które przeszło mu wśród walk i ciosów, zsyłanych na spokojny, niemal bierny jego umysł, bez buntu przeciw ustawom i woli społecznej...

Roman zmęczony życiem, pokochał mnie ostatnią, a zatem najgorętszą miłością serca okaleczonego, które pielęgnować należy, jak chorą roślinę, aby zagoić rany głębokie.

„Jakim sposobem zdołałam wzbudzić to uczucie?—nie wiem.

„Nazywa mnie „świętą“ i powiada, że od pierwszego na mnie spojrzenia modli się do mnie, jak do Madonny, że głos mój łagodzi najsilniejsze jego bóle fizyczne, a oczy moje otwierają dlań całe niebo rozkoszy i słodyczy...

„Tak będąc kochaną, wiedząc, że na tobie polega odrodzenie chorej duszy, czy nie poświęciłabyś siebie?...

„Ty, sowizdrzał, może nie, gdyż nie byłabyś w stanie pojąć ogromu ciężącego na tobie zadania, ja jednak...

„Miłość Romana zelektryzowała mnie, jak sto baterij, przytkniętych nagle do czoła mojego: odwróciłam się od książek i spojrzałam w to serce, które dziś dla mnie tylko bije...

„Może nie bez pewnych cierpień wyrzekłam się ideałów swoich, może — kiedyś — zbiegną się one do mnie i, kracząc, jak wrony, hucząc, jak nocne puszczki, zaczną przeklinać moje odszczepieństwo?...

„Co będzie w przyszłości?—nie wiem. *Dziś* rysuje się przedemną, jako konieczność włożonego na siebie dobrowolnie obowiązku, jako *nakaz kategoryczny*, którego brzmienie,

święte i nietykalne stało się drogowskazem mego życia...

„Więc, jak zwykły filister,—ścielę sobie gniazdko rodzinne i rozpościeram skrzydła, aby zgarnąć pod nie spragnione ciepła piaskłeta...

„A mam pisklę już gotowe; jest niem ośmioletni syn, pozostały narzeczonemu memu z pierwszego małżeństwa i on to poniekąd stanowił dotąd jedyny szkopuł przyszłego mego związku.

„Długo robiłam obrachunek ze swoim sumieniem, zastanawiając się, czy go wychowam należycie, czy mi po temu nie zabraknie siły, wytrwałości i zdrowego rozsądku?...

„Wczoraj nakoniec, dałam już ostateczną i przychylną odpowiedź panu Romanowi.

„Przeczytawszy Spencera, doszłam do wniosku, że wychowanie dziecka nie jest rzeczą tak bardzo trudną. Mam jeszcze Baine'a przed sobą, ale tego zostawiam na później, zawiera on bowiem system nauk, podczas, gdy Spencer daje wskazówki, cenne przy prowadzeniu dziecka; co mi jest na teraz pilniejsze.

„Pan Roman posiada dosyć znaczny majątek. Część, jaka z prawa należy się przy-

szlemu memu pasierbowi, ojciec zostawia mu naturalnie, resztę zaś w intercyzie ślubnej zapisuje na moje imię wyłącznie.

„Wiesz, że z bogactwa nie robiłam sobie nic nigdy; jest to i teraz jedna z niewiele znaczących dla mnie okoliczności przy zmianie dotychczasowych warunków mego życia. O tyle z zadowoleniem witam przyszedły swój dobrobyt, o ile stanowi on dla mnie rękojmię zapewnionej możliwości dalszego kształcenia się, czytania książek, za którymi przepadam.

„Idealów swoich w zupełności nigdy nie byłabym w stanie wyrzec się...

„Dla pana Romana mam dużo sympatii. Będę dlań dobrą żoną. O miłości gwałtownej dotąd nigdy nie myślałam: nadal—tembardziej czasu mieć nie będę, aby jej pożytkować i wyczekiwać... Zresztą,—znasz mnie—raz dawszy komuś słowo, umiem go dotrzymać.

„Bardzobym chciała, żebyście wrócili prędzej. Pana Romana nie poznasz teraz, tak jest ożywiony i nawrócony—on, pesymista z woli losu—do życia.

„Przyjemnie dać komuś szczęście, choć samej w mniejszym stopniu go się doznaje.

„Mężowi swojemu powiedz, że dostanie order odemnie, jeżeli choć trochę oduczy cię lekkomyślności i napędzi do poważnej pracy, o której ciągle mówisz i myślisz, a nigdy się do niej nie zabierasz...

„Do widzenia—wracajcie prędzej!”... Pola nie zdążyła odpowiedzieć na ten list. Pakowała rzeczy na podróż odwrotną, odebrawszy go. W wagonie napisała króciutką karteczkę:

„Rozmyśl się, jeszcze czas; ze starym mężem nie może ci być dobrze. Znienawidziłabym Witolda, gdyby miał szpakowate włosy i cierpiał na atretyzm”...

Przyjechawszy na miejsce i wysiadłszy z wagonu, oddała bilecik pośłańcowi i natychmiast kazała zanieść go do Ksawery.

Nazajutrz wpadła do niej sama. Zastala ją nad porządkowaniem wyprawnej bielizny.

Była trochę zmieniona, przybladła, policzki jej wyciągnęły się, oczy wpadły w głąb czoła, podkrążone sinemi, niemal czarnemi obwódkami; powieki czerwone, zlekka nabrzmiałe, kazały przypuszczać, że płakała całymi nocami lub spędzała je bezsennie na ponurych rozpamiętywaniach...

Pomimo to, przywitawszy Polę, z uśmiechem zaczęła wyliczać tysiące cnót pana Romana, dowodząc, że jest bardzo szczęśliwa...

Pola za całą odpowiedź wzięła ją pod rękę i, chodząc z nią po pokoju, naśladowała ciężkie ruchy, oraz przygarbione plecy jej narzeczonego.

Ksawera, spojrzawszy na nią — rzekła sucho:

— Proszę cię, daj pokój głupim żartom; wiesz, że ich nie lubię...

Po chwili, jak gdyby nic między niemi nie zaszło, zabrała się w dalszym ciągu do roboty.

Rozmowa przeszła na temat podróży Poli i wrażeń, doznanych w górach.

Wyczerpawszy krótkie, dorywcze swe opowiadania — nad niczem bowiem nie lubiła rozwodzić się długo — Pola zapytała przyjaciółkę:

— A cóż twój matematyk mówi na to, że ty za mąż wychodzisz?...

Ksawera odwróciła się szybko i, zajęta gorączkowym układaniem bielizny w stosy, — odparła sucho:

— Pan Józef zna mojego narzeczonego już oddawna, lubi go i ceni niezmiernie, jako

życzliwy przyjaciel zatem, cieszy się z wyboru mojego i jeden z pierwszych złożył mi serdeczne życzenia...

Pola spojrzała na przyjaciółkę niedowierzająco.

Coś w stosunku Ksawery i młodego ko-repetytora zastanawiało ją i zaciękawiało, coś niepokoiło ją, gdy zestawiała myślą jego imię z imieniem przyjaciółki. Było to uczucie niemal bezwiedne, całkiem bezpodstawne, któremu jednak oprzeć się nie mogła.

— Jabył jednak wolala, żebyś ty przyjaźń swoją z tym twoim panem Józefem zerwała zupełnie. Nie wiem, dlaczego, ale on mi się nie podoba: coś w nim jest, co odstręcza od niego; ja... ja... przeczuwam, że ciebie coś niedobrego spotka przez niego — rzekła Pola, zaczaiwszy się na palcach do przyjaciółki, objawwszy ją za szyję rękoma, patrząc na nią wyczekująco.

Ksawera zdjęła powoli ręce Poli z ramion swoich i, odwrócona cokolwiek w bok od niej, odparła wolno, dobitnie:

— Przyjaźń moja z panem Józefem nie przekracza granic wzajemnej życzliwości... Mówiłam o nim z panem Romanem; oboje będziemy uważali sobie za obowiązek dopo-

maganie człowiekowi tak, jak on, zdolnemu, pełnemu wyższych dążeń i celów, a przede wszystkim — z takim zaparciem się siebie własną pracą utrzymującemu całą rodzinę..

— Może to być wszystko, ale... Ksawera przerwała szybko podrażnionym, silnie zniecierpliwionym głosem słowa przyjaciółki.

— Proszę cię — rzekła — daj pokój dalszym swoim wywodom... Są kwestye, co do których nie porozumiemy się nigdy, a zatem lepiej nie poruszajmy ich obie...

Pola zamilkła. Zmarszczone jej brwi i ściągnięte w ryjek, jak u dziecka, wargi wyrażały niechęć, niezadowolenie, a nawet — lekką obrazę. Poważnie, obojętnie, z pewnem lekceważeniem pożegnała Ksawerę i spokojnie, leniwym niemal krokiem wyszła z pokoju, z głową zwieszoną na piersi, spuszczone w zamyśleniu powiekami i wzrokiem, utkwionym w kwadraty posadzki.

Od tej chwili rozmowa Poli z Ksawerą, nigdy nie wybiegała po za obręb kwestyj potocznych. Obie czuły pewne skrepowanie w obec siebie. Pola, marszcząc brwi i czoło, zlorzeczyła p. Józefowi.

— To on nas poróżnił, ten paskudny wstrętny, niezdolny niedźwiedź! — myślała.

Znowu trzeba było myśleć o strojach, znowu zaczęły się pielgrzymki od krawcowej do rękawicznika, od rękawicznika do kwiaciarki i tak dalej..

Nieraz Witold, zmęczony całodzienną pracą, pieszcząc żonę, pytał:

— Czy nie lepiej byłoby zostać dziś w domu? U Ratyńskich byliśmy już kilkakrotnie; nie obrażają się na nas, jeżeli dziś wymówiwszy się czemkolwiek...

Pola nie odpowiedziała nic. Chmurzyła się tylko, marszczyła brwi i usta, spuszczała oczy i, patrząc w ziemię, wychodziła do swego pokoju...

Gdy Witold po chwili wsuwał się tam za nią, zastawał ją siedzącą na fotelu lub kanapie, z głową, przewieszoną w tył, przez poręcz i rękami, spuszczone na kolana, końcem obcasa uderzającą o podłogę, dywanem pokrytą.

— Czy masz bardzo gwałtowną ochotę iść dziś na wieczór? — pytał.

— Jak ci się zdaje?...

— Mnie się zdaje, że takie życie, jakie my obecnie prowadzimy, polegające na ciągłych zabawach, nie ma celu, męczy za bardzo i mnie, i ciebie — odrywa nas od codzien-

nych zajęć. Sama wspominasz mi często, że chciałabyś pracować nad sobą poważnie, że przez rok zeszły bawiłaś się już dosyć. Czy nie dobrze byłoby, żebyś zastosowała się do słów swoich?... Zwracam na to tylko dorywczo twoją uwagę; jeżeli jednak masz konieczną chęć pójścia, mogę ci towarzyszyć. Wiesz, że niema tego, czegobym dla ciebie nie zrobił...

Pola zrywała się wtedy z kanapy i, zadzwoniwszy na pokojówkę, otwierała szuflady, wyjmowała z nich wstążki i kwiaty. Przymierzając je przed lustrem, mówiła szybko:

— Musimy dziś tam być, musimy być koniecznie. Porozdawałam już wszystkie tańce. Pani Z. obiecałam przedstawić poetę R., którego jest bardzo ciekawa; Mani W. obiecałam akompaniować do śpiewu. Na początku wieczoru, przed tańcami, ma być mały koncert. Trzeba się śpieszyć. Nie może my przyjść późno. Mania W. obraziłaby się na mnie. Prześpiewała już po kilka razy ze mną serenadę Galla, aryę z Mignon i Giocondy. Nikt inny nie potrafiłby jej akompaniować. Musimy się wybrać... Prędej, prędej!...

Biegnać naprzeciwko pokojówki, która niosła jej suknię, trącała Witolda.

— Ah, to ty! Przepraszam! Nie gniewaj się! Tyś dobry!...

Rzuciła mu się na szyję, ściskając go, całując, tańcząc z nim po pokoju. Nachylała mu się w końcu do ucha i dodawała:

— Zobaczysz, jak będziemy mieli dzieci, to zamuruję się w domu, ale teraz—to moje wakacje!...

Kręcąc się między jedną szafą a drugą, mówiła:

— Ty i Ksawera chcielibyście zrobić ze mnie móla książkowego. To potem... potem... na wszystko jeszcze czas przyjdzie...

Podbiegała do męża i, ściskając go, jednocześnie dzwoniła na służącą.

Gdy ta weszła, wołała:

— Przygotuj panu ubranie! zapal światło w sypialnym pokoju, tylko prędko, zaraz!...

Innym razem, po przemówieniu Witolda, zachęcającem ją do pozostania w domu, zamykała się na klucz w swoim pokoju i przez trzy dni nie wychodziła od siebie, wpuszczając tylko pokojówkę, która jej usługiwała.

Pisała wówczas swój pamiętnik, żaląc się na to, że jej nikt nie rozumie.

„Prawda, jestem pusta i lekka, niczem zająć się nie potrafię”—notowała pod datą dnia, który wskazywał ścienny kalendarzyk z niezdartymi przynajmniej od miesiąca kartkami—„ale Witold o tem wiedział, gdy się ze mną żenił. Sama mu to powiedziałam, a ojciec i mama powtórzyli za mną.

„Dlaczegoż nie cofnął się wtedy?... On myśli, że ja chcę się bawić, jak zwykle chcą się bawić kobiety, które nie mają czem zapełnić sobie czasu. On nie wie, że ja potrzebuję odurzyć się, że w walcu, w polce, w rozmowie z tymi, co mi mówią, że jestem ładna, miła, urocza i t. d... chcę szukać zapomnienia...

„Gdybym miała dzieci!...

„Ale pewnie ich się już nie doczekam...

„Cóż ja temu winna, że mi Witold nie wypełnia całkowicie życia?...

„Ani razu do niego serce nie zabiło mi tak, jak wtedy, na majówce, do starego Wagnera...

„Nazywam go *starym*, bo on pewnie już śmiesznie wygląda.

„Tyle lat go nie widziałam!... Wspo-

mnienia zacierają się... Dziś... tak mię bawi, gdy sobie pomyślę, że ja go wtedy pocałowałam w rękę...

„Ale to było dobrze: chciałabym jeszcze kiedy taki jeden dzień mieć w życiu...

„Witold kocha mię, dziwny jest jednak z tą swoją niechęcią do zabaw. Kiedy tak, nigdy już i nigdzie z nim nie pójdę... Zakopię się w domu, zestarzeję się i zwiędnę, jak grzyb, zanim mię kto obcy zdoła zobaczyć...”

Zwykle trzeciego dnia, nad wieczorem, po tego rodzaju wynurzeniach, zaczynała rozważać postępowanie swoje.

„Chyba za surowo ukarałam Witolda,—pisała—„Walerka, pokojówka moja, mówiła mi, że jest mizerny, że nic nie [je, prawie wcale nie sypia, przez całą noc chodzi po swoim pokoju, zamyślony, z cygarem w rękę, aż ich wszystkich litość bierze...

„Jaki on niemądry, że pierwszy nie przyjdzie do mnie!... Gdyby w tej chwili zastukał, jużbym się na niego nie gniewała. Gdy myśle o nim, tak mi serce bije, jak wtedy na majówce, na widok starego Wagnera...

„Boże, jaka ja wtedy byłam głupia!...

„A jednak — Witold ma w sobie jakieś

podobieństwo z tamtym: także taki poważny; niedługo może ołysieje...

„Zastanawiając się przez te parę dni nad sobą, doszłam do wniosku, że zawsze lubiłam tylko poważnych ludzi.

„Ksawerę, na przykład, która tak męczyła mnie nieraz swemi moralami, bardzo lubię. Chciałabym być taką, jak ona.

„Muszę ją odwiedzić: już trzy miesiące, jak jej nie widziałam.

„Pójdę jutro...

„Żeby tylko już ten Witold dał sobie pokój z gniewami na mnie!...”

Po kilku zdaniach tego rodzaju, rzuciła pióro, siadała przed kominkiem i, patrząc na drewno, płonące za spuszczoną od góry mosiężną siatką, błyszczącą, jak złoto w blasku ognia, robiła rachunek sumienia.

— Kto winien: ja czy on?—pytała sama siebie...

Nareszcie zaczynała śmiać się głośno, trzepiąc rękoma, wołała:

— Głupstwo wszystko, głupstwo... Czy warto zatruwać sobie życie takimi drobiazgami? Przecież, w gruncie rzeczy, ja go obraziłam, nie on mnie. Pierwsza bez powodu odsunęłam się od niego... tak, bez powodu,

bo przecież każdemu wolno wypowiedzieć swoje zdanie, a on nie zrobił nic innego, jak tylko szczerze i otwarcie wyznał przedemną, że go zabawy nudzą...

Wygłosiwszy ten monolog, chwyciła z biurka zapisane arkusze papieru i rzuciła je za mosiężną siatkę kominka, między płonące drewno.

Nie czekając, aż się spaliły, biegła do gabinetu męża i stawała, jak duch, niespodziewanie przed nim. A gdy on, podniósłszy głowę z nad pisma lub książki, jaką miał przed sobą, pytał: „czy życzysz sobie czego odemnie?”—rzuciła mu się na szyję, siadała mu na kolanach, całowała go w usta, w oczy i, gładząc po twarzy, mówiła:

— Już będę dobra: od jutra zaczniemy razem uczyć się, czytać. Co nam po wieczorach?—Nie będziemy już nigdzie chodzili, wszak prawda?... Wystarczymy sobie, a, jak nam się znudzi, to weźmiemy dziecko na wychowanie. Myślałam sobie o tem nieraz...

Cały wieczór następnie śmiała się, tańczyła, opowiadała tysiące historyjek, naśladowała ruchy i mimikę tancerzy karnawałowych. Siadała przy mężu na kanapie, wle-

wała mu w usta łyżeczką herbatę, jak dziecku, mówiąc, że on jej synek.

Powtarzała komplementy, jakie panowie prawili jej w zeszłym tygodniu na wieczorach. R. prosił ją o kwiat z bukietu, L. chciał odpiąć konwalię, które miała przy sukni, ale ona, nim zdążył pochylić się nad nią, podsunęła mu tak zręcznie wznawiam za siebie starą panią mecenasową z egretką z piór na piersiach, że Z. nie wiedział, co ze sobą zrobić i strasznie miał głupią minę.

Gdy Witold pochmurniał przy tych opowieściach, przybierając posępno-obojętną minę, jak gdyby gniewał się na nią, ona siadała mu znowu na kolanach i, chwytając z biurka tomik poezji, który tam leżał, odczytywała głośno, patetycznie, pierwszy lepszy wiersz, na jakim otworzyła się książka. Deklamowała potem swoje dawniejsze utwory, poezyjki w stylu Heinego, które podszepitywały jej figlarne chochliki myśli; mówiła o projektach literackich na przyszłość.

Postanawiała zabrać się do pióra na serjo, jeżeli jeszcze za rok nie będzie miała dzieci...

— Musisz sprawić mi biurko, a zobaczysz wówczas, jaką głośną zostanę autorką!—

wołała.—Teraz, właściwie, choćbym chciała pisać, to nie mam na czym...

Witold rozchmurzał się, całował ją w usta i w oczy; następowało zupełne pogodzenie...

Wśród pieszczot i uścisków obiecywali sobie ciche, domowe życie przy książkach i wspólnej umysłowej pracy.

Wieczory odąd mieli stanowczo spędzać w domu, unikając gwaru świata i szablonowych uciech towarzyskich.

Zasypiali z marzeniem o zmianie, która tak całkowicie miała przekształcić dotychczasowy tryb ich bytu.

Nazajutrz, zaledwie wstali, przychodziło zaproszenie od dobrych, serdecznych znajomych na raut lub wczesną herbatkę.

Witold pokazywał je żonie

— Dziś jeszcze pójdziemy — odpowiadała, przebiegłszy bilecik szybko palającymi oczyma.—Od jutra dopiero zaczniemy nasz żywot klasztorny...

Następowało jutro. Kilka osób zamówiło się do nich niespodziewanie na herbatę. Pola przez cały dzień ubierała pokoje, przedstawiała meble, poprawiała kwiaty w koszach, przybijała na ścianach bukiety i wachlarze.

W rok po ślubie, Ksawera urodziła rachityczne dziecko. Nie było nadziei, aby mała Janka mogła chodzić i mówić kiedykolwiek. Skazana na wieczne kalectwo, rozwijała się bardzo powoli. W oczach jej prze-

bijał wielki smutek, jak gdyby rozumiała i czuła swoje niedołęztwo.

Całemi dniami siedziała cichutko, bawiąc się czerwonym lub niebieskim gałankiem, który jej kładziono między chude, blade paluszki.

Nie słyszano nigdy jej płaczu. Tylko, gdy widziała matkę w kapeluszu, lub gdy Ksawera, wyszedłszy z pokoju, długo nie wracała, z oczów jej spływały łzy rzęsiste. Paluszką pokazywała na drzwi, które matka wyszła i otwierała usta, jak gdyby chciała powiedzieć:

— Niema jej, nie ma... Czemu ona nie jest ze mną?

Ksawera pieściła ją, nazywała najdroższym swoim skarbem, mówiła do wszystkich, że jedyną pociechą w jej życiu stanowi to chore, niedołężne małeństwo, któreby bez jej opieki nie mogło istnieć.

Od czasu przyścia na świat malej Janki choroba ani na chwilę nie opuszczała domu Ksawery.

Wacek, pasierb jej, kilkakrotnie zapadał to na odrę, to na tyfus i szkarlatynę. Janka dostawała epidemicznych ataków, w czasie których zdawało się nieraz, że kończy już

życie. Ostatniego wreszcie roku, artretyzm pana Romana rozwinął się w całepełni. Chory jęczał od rana do nocy; chwilami był z bólu.

Ksawera, jak siostra miłosierdzia, chodziła od łóżka do łóżka, wytrwała, cierpliwa, narzekająca na to jedynie, że nie miała czasu czytać. Ludzie nazywali ją „świętą.“ Mąż, w chwilach przytomności, gdy mniej-szy ból rwał jego stawy, płakał, patrząc na nią, i szeptał:

— Jakaś ty dobra!...

Jedna ze znajomych kiedyś na balu, stanawszy obok Poli, podczas zwodzonej figury mazura, opowiedziała jej kilka szczegółów z życia Ksawery.

Pola rozplakała się. Nie przeprosiwszy nawet tancerza swego, porzuciła go natychmiast, odszukała w szeregu grających w karty panów, Witolda i wyszła z balu.

Wróciwszy do domu, zamknęła się w swoim pokoju. Kilka godzin płakała. Gdy leż już zbrakło, usiadła na fotelu i, patrząc w sufit wilgotnemi oczyma, myślała:

— Dlaczego tak jest na świecie, że pu-ste i głupie kobiety, jak ja, są szczęśliwe?... Wszystko im dobrze idzie, nie znają trosk;

nie ich nie zawodzi... a takie, jak Ksawera, święte, mądre, dobre, pokutują za życia?...

Uczuła nagły przesyt i zmęczenie.

— Po co ja żyję? — zapytała sama siebie.

— Gdybym dziś umarła, niktby przez śmierć moją nie ucierpiał... Czy byłam kiedy dla kogo prawdziwie potrzebną? Czy byłam komu kiedy prawdziwie użyteczną?... Witold pocieszyłby się po mojej śmierci niedługo. Dostałby żonę, lepszą odemnie; on na to zasługuje... A możeby los dał mu wówczas dzieci?...

— Gdybym mogła umrzeć!...

I znowu zaczęła płakać, głośno szlochać, aż, zmęczona, wśród łez zasnęła.

Witold wszedł na palcach do pokoju, wziął ją, jak dziecko, na ręce i zaniósł na łóżko.

Spała długo. Rozbudziwszy się około południa dopiero, wstawała z łóżka leniwie.

Naraz, zerwawszy się energicznie, zadzwoniła na służącą.

— Przynieś mi kapelusz, palto, spacerową suknię i rękawiczki, tylko prędko, jak najprędzej! — zawołała, nim jeszcze Walerka zdążyła stanąć na progu.

Dziś postanowiła nieodwołalnie odwiedzić Ksawerę.

Może jej będzie mogła dopomóc w pielęgnowaniu chorych?...

Już była ubrana. Służąca otwierała drzwi do wyjścia, gdy posłaniec wręczył jej kopertę z listem w żałobnej obwóдке.

Ksawera pisała:

„Mąż mój po strasznych, nadludzkich cierpieniach, wczoraj życie zakończył. Jutro w południe pogrzeb. Może w nim weźmiesz udział, jeżeli mnie jeszcze pamiętasz.

„W chwilach rozpaczzy zwraca się zawsze pamięcią ku tym, których kochało się niegdyś całym sercem... Od rana dziś ciągle kusilo mnie coś, aby napisać do ciebie.

„Położenie moje straszne; z dosyć dużego majątku męża zostało niewiele. Choroba Romana i dzieci pochłonęła wszystko.

„Liczę na was, musicie mi obmyśleć zajęcie, któreby zapewniło byt mnie i małej Jance. Wacka kapitał tylko nienaruszony. Prawa do niego nie mam. Rozporządzać nim nie mogę i nie chcę.

„Liczę na was. Oczekuję ciebie.“

Pola, nie doczytawszy listu do końca, wskoczyła w dorożkę. Dwadzieścia minut

jazdy wydawało się jej wiecznością. Co chwila trącała woźnicę końcem parasolki, wołając:

— Prędeż, prędeż! Dostaniesz za dwa kursy...

Zastała Ksawerę taką, jaką nie widziała jej jeszcze nigdy. Wyszła ze stanu zwykłego swego spokoju. Energia jej zdradzała pewną gorączkowość. Wzrok błyszczał, na twarz wystąpiły silne rumieńce.

Jeden z przyjaciół Romana chciał zająć się pogrzebem; odrzuciła jego pomoc; sama wydawała rozporządzenia, pamiętając o najdrobniejszych formalnościach.

Pola wzięła dzieci do siebie. Ksawera nie chciała opuścić mieszkania.

Gdy matka jej oznajmiła, że zostanie przy niej, z niezwykłym, jak na nią, wybuchem gniewu zawołała:

— Nie jestem podlotkiem, wyszłam z pod opieki, nic mi się takiego stać nie może, co moglibyście odemnie usunąć. Potrzebuję samotności; proszę nie zajmować się mną na zbyt gorliwie...

Uspokajała ją jedynie obecność pana Józefa, który przyjechał na pogrzeb z R., gdzie od paru miesięcy stale przebywał, skończyw-

szy przed rokiem uniwersytet; przy nim stała się bierną, jak automat, i posłuszną każdemu jego życzeniu.

Jako przyjaciel domu, całe dni prawie spędzał teraz u niej. Jeżeli, całując jej ręce, prosił, by nie płakała, przestawała płakać; jeżeli radził, aby położyła się i wypoczęła cokolwiek, natychmiast spełniała jego wolę...

Przez niego osiągnano władzę nad nią, przez niego kierowano jej czynami.

W czasie pogrzebu dostała spazmów. Nieprzytomną odwieziono do domu.

Nie chciała dopuścić do siebie nikogo, nie chciała mówić z nikim; na prośbę pana Józefa dopiero, zezwoliła, aby matka została przy niej.

Po paru tygodniach zaledwie doszła do pewnej równowagi, w ogóle jednak nabrała teraz wrażliwości nerwowej, jakiej dawniej nie zdradzała.

— Nic dziwnego — mówili znajomi — po takich przejściach...

Pola z całą gorliwością zajęła się losem przyjaciółki. Bale i rauty przestały ją zajmować. Odrzucała jedno zaproszenie po drugim, mówiąc do Witolda:

— Wolę to, cobym wydała na kwiaty

i rękawiczki, przeznaczyć dla małej Janki. To takie biedactwo!...

Po paru miesiącach wyszukała dla Ksawery kilka korzystnych lekcyj i zajęcie popołudniowe w jednym z biur prywatnych. Wynajęła dla niej ładny, widny i ciepły pokój, umówiwszy się z gospodarzem, że tylko połowę ceny przedstawi przyszłej lokatorce, reszta zaś postanawiała pokrywać stale z własnych swoich funduszków.

Wacek oddany został do profesora. Dla Janeczki zgodzono starą nianię.

Pola zaglądała do dziecka parę razy dziennie: bawiła się z niem, uczyła je migać paluszkami, kiwać główką na znak twierdzenia lub przeczenia. Przy pomocy niani usiłowała prowadzić ją po ziemi.

Wracając do domu, nie mogła naopowiadać się dosyć o ślicznych hamletowskich oczach dziewczynki.

— Tak ją kocham, tam kocham—dodała, zaczerwieniona, z błyszczącym wzrokiem—jak swoją!...

Witold pochmurniał. Uniesienia Poli wprawiały go w zły humor.

— Możeby Ksawera nie bardzo targo-

wała się z odstąpieniem ci tego skarbu—odpowiadał cierpko.

Chodząc po pokoju ze zsuniętymi silnie brwiami i zmarszczonem czołem mówił dalej:

— Ciekawym jednak. co ona zrobiła z majątkiem Romana? Tyle pieniędzy przemarnować w przeciągu pięciu lat, to sztuka!...

Pola rzuciła się wówczas:

— Jakto, nie wiesz, ile kosztują lekarstwa i doktor? Nie wiesz, co to jest choroba, która z jej domu nie wychodziła?... Przez pięć lat musiała, jak siostra miłosierdzia, pielegnować męża i dzieci; dla siebie — choćby chciała — nie miała kiedy i nie miała na co wydawać...

— Cały szpital mogła była utrzymać za te pieniądze w przeciągu tego czasu—odpowiadał Witold.

Podobne rozmowy kończyły się tem, że Pola, obrażona, zamykała się u siebie, Witold zaś podrażniony, u siebie. Cały wieczór przepędzali oddzielnie. Jeżeli jedno potrzebowało czegoś od drugiego, dzwonili na służącą i przez nią porozumiewali się wzajemnie. Zgoda następowała nazajutrz dopiero, albo w parę dni później, i wówczas Witold musiał

dawać żenie słowo, iż nigdy już nie poruszy drażliwych dla nich obojga kwestyj.

Ksawera z Polą widywały się bardzo rzadko. Wiezorami, po lekcjach i pisaniu w kantorze, Ksawera była zmęczona; nie chciała przychodzić do Poli i nie zapraszała jej do siebie. W dzień—gdy Pola odwiedzała małą Janeczkę — Ksawery nie było w domu. Na pytanie Poli: co pani wczoraj robiła...“ stara niania odpowiadała najczęściej:

— Pani czytała...

Albo:

— Pani pisała jakieś listy długo w nocy...

Czasami, rzadko kiedy, mówiła.

— Był tu u nas jakiś pan, młody, ale nie bardzo przystojny i rozmawiał z panią... Już poszłam spać, kiedy on jeszcze siedział... Wyszedł może dopiero po północy. Razem państwo pili herbatę...

Któregoś dnia, z miną tajemniczą, odezwiała się:

— Pani przez ten tydzień zawsze wieczorami wychodzi i wraca już późno. Co też nasza pani może robić w mieście po nocy?...

— Pewnie pani chodzi do pana Wacła-

wa — odpowiedziała Pola.—W dzień pani nie ma czasu...

Niania kiwnęła głową znacząco: oczy jej zdradzały, iż nie zgadza się bynajmniej z przypuszczeniem Poli.

— Rzeczywiście, dokąd ona może chodzić tak późno w nocy?—pytała Pola sama siebie, myśląc o przyjaciółce.

Spotkawszy któregoś dnia Ksawerę na ulicy spytała:

— Cóż to za młodzieniec bywa u ciebie niekiedy?...

Ksawera ze spokojem odpowiedziała:

— Pan Józef, przyjechawszy z R. na czas pewien, przychodzi do mnie od czasu do czasu; pracujemy razem nad broszurą w kwestyi społecznej...

W tej chwili jednak zwróciła rozmowę na swe zajęcia, na małą Jankę, na tysiące przedmiotów postronnych, nie dopuszczając dalszych pytań Poli i przez cały czas późniejszej gawędy, była jakaś rozgorączkowana, w głosie jej brzmiało lekkie podrażnienie i zniecierpliwienie; szybko, nerwowym ruchem, zwracała głowę w bok co chwila, jak gdyby chcąc odejść czempredzej.

Pola tego dnia dostrzegła w niej wielką

zmianę; zmizermiała bardzo, usta jej zbladły, na czoło dawniej białe i gładkie, jak aksamit, wystąpiło kilka silnych zmarszczek. Cała jej postać wyrażała zmęczenie, wyczerpanie, a jednocześnie oczy błyszczały ogniem wewnętrznym, który musiał trawić jej piersi, poruszając wargi lekkim drżeniem nerwowem, występując na bladych, ściągłych policzkach dwiema pałającymi smugami gorączkowych wypieków.

Taki sam ogień płonął w jej oczach niegdyś, kiedy mówiła o książkach i przepelniającem ją pożądaniu wiedzy...

Patrząc na nią, Pola mimowoli doznawała dziwnego ściśnienia serca; czegoś żal jej było, sama nie wiedziała, czego?...

Miała ochotę objąć ją w pól, pocałować, w oczy i zawołać:

— Biednaś ty, biedna!...

Nie zrobiła tego, gdyż były na ulicy, a fale przechodniów, mijając je, potrącały każdą z nich to w bok, to w tył, lub naprzód, co chwila.

Pożegnały się szybko, bez wzajemnych zaproszeń, bez wymienionych obietnic zobaczenia się wkrótce, jak dwie istoty, które mógł połączyć ze sobą przypadek jedynie.

Stara niania oznajmiła Poli nazajutrz, iż wczoraj bardzo długo siedział u nich ten młody pan, co przychodzi do pani; że pani, jak on jest, to nawet nie spojrzy na dziecko, choćby się ono zapłakało, że tak rozmawiają z tym panem, jak gdyby znali się już oddawna i bardzo dobrze, a pani przy nim czasami płacze, to znów śmieje się, jak gdyby jej było wesoło, choć niewiedomo czemu, bo ten pan zawsze mrurowaty i wygląda, jak gdyby mu się spać chciało.

Pola ze zmarszczonem czołem i ściągniętemi brwiami wysłuchiwała opowiadań niani.

I znowu to dziwne uczucie żalu, jakiego doznała wczoraj, patrząc na przyjaciółkę ściśnęło jej piersi.

W sercu Ksawery stanowczo musiała toczyć się tragedia ponurej namiętności, której ona, skryta zawsze i nieprzystępna pod maską biernego swego spokoju, nie chciała wyznać przed światem.

— Biedna, biedna Ksawera!—powtarzała Pola.

Jednocześnie w głębi jej umysłu budził się głuchy bunt przeciw przyjaciółce, za to, że gdy—według słów niani—„ten młody pan rozmawiał z panią, to pani nawet nie spoj-

rzała na dziecko, choćby się ono zapłakało...?

— O, gdybym ja była na jej miejscu— myślała Pola — za żadne skarby świata, za najgorętszą miłość kochanka nie oddałabym miłości dla dziecka mego... Jak jabym je kochała!... Jakby mi ono zastąpiło wszystkie rozkosze tej ziemi!...

W ogóle usposobienie młodej wietrznicy przeistoczyło się w ciągu ostatniego roku raptownie: spoważniała, straciła chęć do zabaw, przestała bywać w świecie, darła wszystkie zaproszenia, mówiąc, iż rauty i tańce nudzą ją, jak niegdyś nudziły ją lekcye stylistyki starego Müllera.

Ku jesieni powaga jej wzrosła tak dalece, że rodzina, znajomi, nawet Witold pytali nieraz:

— Co tobie? Czyś ty nie chora...? Ona odpowiedziała:

— Nie nudźcie mnie, dajcie mi pokój, nic mi nie jest...

W gruncie rzeczy jednak czuła w sobie wielką zmianę.

Coś dziwnego zaszło w jej umyśle: nie mogła śmiać się wcale. Ile razy coś ją rozbawiło, zaczynała płakać: zapadała powoli

w stan ponurego, grobowego, ascetycznego niemal milczenia...

Witold drażnił ją; chwilami nie mogła znieść jego głosu. Odpychała go, gdy do niej przystąpił, a potem, żałując tego, nie wiedziała, jak go przepraszać.

Twarz jej wyciągnęła się. Oczy wpadły, straciwszy dawny blask. Policzki przybladły. Włosy już nawet nie miały teraz jakoby tego ryżawego odcienia, który zachwycał wszystkich niegdyś tak bardzo.

Stanąwszy raz przed lustrem niespodziewanie, nie poznała siebie.

— Co się ze mną stała? co się stało?— powtarzała z rozpaczą.

Przypomniła sobie uniesienia dawnych swoich wielbicieli. Jeden z nich, malarz, mówił do niej zawsze:

— Powinna pani uważać, żeby dużo blasku padało na jej główkę, włosy nosić tak, aby kręciły się dokoła ramion i szyi; wówczas twarzyczka jej zdaje się oprawioną w złote, lub topazowe ramki.

Stawiając ją w słońcu, wołał:

— O, tak, tak! Cudownie! Czarująco! Uroczo!...

Coby on powiedział, zobaczywszy ją w tej chwili?...

Pewnie już nie mówiłby jej o słońcu i o złotych lub topazowych ramkach, od których tak świetnie odbijała świeża, wiosną tchnąca twarz jej.

Zmieniła się tak bardzo!...

Gdyby nie to, iż wiedziała napewno, co znaczy ta zmiana, płakałaby nad sobą, a tak — uśmiechała się łagodnie, marząco i wyciągała ręce do snutych w myślach obrazów przyszłości...

Miała zostać matką. W łonie swoim już czuła ruchy tej drogiej istoty, która niebawem stanie się drugim jej życiem...

Gdyby nie to, iż obawa wielkich cierpień rzucała na umysł jej kir żaloby, jakżeż czułaby się szczęśliwą!...

A tak — mówiła ciągle o śmierci.

— Jak umrę, to pochowajcie mnie zaraz tego samego dnia — odzywała się do męża wśród głośniego łkania. — Niech nikt nie idzie za trumną; nie chciałabym, żeby kto płakał. Zresztą — któżby mnie żałował; czy jestem komu potrzebna na tym świecie?...

Witold uspokajał ją, jak mógł i jak umiał.

Z dumą teraz patrzył na żonę. Już nie pochmurniał, gdy wróciwszy od Janki, Pola rozplywała się nad nią. Sam parokrotnie towarzyszył jej nawet w tej wycieczce, nakupiwszy dla dziecka mnóstwo przysmaków i zabawek.

Za każdą skargą żony wychodził na miasto, przynosił jej kwiaty, słodczyce lub — dla rozrywki — fotografie sezonowych znakomitości.

Odrzucała to wszystko.

— Co mi po tem? Wtedy, kiedybym mogła być szczęśliwą, umrę, umrę z pewnością! — mówiła, płacząc.

Pomimo cierpień i smutków, zima przeszła jej szybko. Z wiosną Pola została matką.

Pierwszy na świat przybył mały Kazik z gotową już czuprynką na czerwonym łebku, z dużymi, piwnymi, myśląciami oczkami.

W rok po Kaziku ujrzała światło dzienne Mańka.

Odtąd Pola na nic nie miała czasu.

Póki Kazik i Mańka byli maleńcy i niedołążni, karmiła ich sama, przewijała, nosiła.

Zdawało się jej, że ma dwie lalki, któreby bez niej upadły, porozbijały się...

Gdy podrośli, uczyła ich bajeczek, roz-

mawiała z nimi, chodziła na spacer i bawiła się całymi dniami.

Ksawera, którą bieganie po lekcjach bardzo męczyło, przyjęła stałe miejsce gdzieś daleko, w głębokiej Rosyi. Jankę zostawiła matce swojej, która, wydawszy drugą córkę za męża, syna puściwszy w świat o własnym chlebie, wyprowadziła się na prowincję, do siostry i razem z nią zamieszkała.

Pola od czasu do czasu mieszała od Ksawery listy, pełne żalu i tęsknoty za dzieckiem.

„Co zrobiłam, to zrobiłam dla niej jedynie” — pisała — „Cel moich myśli—to ona. Oszczędzam zdrowie swoje, aby dłużej opiekować się mojem małym niedołęztwem. Los Janeczki przeraża mnie; gdy umrę, co z nią będzie?...

„Wszystkiego sobie dla niej odmawiam. Nie odwiedzam jej nawet, aby pieniądze, którebym wydała na podróż, dla niej odłożyć.

„Jak to strasznie nie widzieć dziecka swego latami całymi!...

„Jeżeli nie zwaryuję z tęsknoty, to los dobry będzie dla mnie i dla Janki...”

Pola płakała nad temi listami. Nieraz z Witoldem długie mieszała narady, których

celem było sprowadzenie Ksawery i założenie dla niej jakiego sklepu lub szkoły, aby nadal nie potrzebowała rozstawać się z dzieckiem.

Gdy zamiar ich dojrzał, Pola napisała do Ksawery, wzywając ją, by przyjeżdżała.

Na pierwszy list nie dostała odpowiedzi; na drugi także nie; na trzeci czekała miesiąc, aż w końcu Ksawera w krótkich, lecz stanowczych słowach donosiła, że jeszcze przez parę lat związana jest kontraktem z p. p. L., u których przyjęła miejsce, że dziękuje im za starania i dobre chęci, ale już widocznie skazana jest w tem życiu na to, aby nie doznać nic dobrego i odbywać wieczną pokutę bez winy...

Przerwała następnie korespondencję zupełnie.

*

*

*

W parę lat potem smutnego, jesiennego ranka Pola dostała list od ciotki Ksawery, donoszący o nagłej śmierci siostrzenicy.

„Przyjechała odwiedzić dziecko, niespodziewanie stęskniwszy się za niem bardzo—pisała.—„Była silnie zmieniona, gdy weszła

do nas, Janka poznała ją jednak. Z radości — krzyknęła poraz pierwszy w życiu. Ja i matka nieboszczki jeszcze nigdy nie słyszałyśmy takiego przejmującego krzyku; mało nam serce wtedy nie pękło z bólu. Zsunęła się z wózka, ona, co ruszać się nie umiała, stanęła na nóżki i upadła. Nie mogąc wstać, przyczołgała się do nóg matki, całowała je, śmiała się i płakała na przemian, otwierała usta, jak gdyby chciała coś mówić, pokazywała paluszkami ząbki, które jej wyrosły. Gdy matka wzięła ją na ręce i zaczęła ją całować, wpila się, jak pijawka, w jej usta. Łkała głośno, gdy chciałyśmy odebrać ją od niej.

„Biedna Ksawera, nie mogła przeżyć takiego wzruszenia; drżała cały wieczór, jak w febrze, twarz miała rozpaloną, wargi spieczone, oczy palające; a ręce zimne, jak lód. Nie była zdolna nic mówić; nie odpowiadała na zapytanie nasze, nie rozumiała ich zupełnie; ze wstrętem odwracała się od jedzenia, na które ją namawiałam.

„Położyłyśmy ją gwałtem do łóżka. Musiała mieć silne dreszcze, gdyż trzęsła się i szczykała zębami, jak gdyby ją kto śniegiem obłożył.

„Przeczuwała widocznie śmierć swoją, bo, gdy chciałyśmy umieścić Jankę w jednym z nią pokoju, rzuciła się, wołając:

— Nie chcę, nie trzeba, zostawcie mnie samą!...

„Kazała drzwi zamknąć i prosiła, żeby nikt w nocy do niej nie zaglądał, gdyż zaśnie zaraz, a, obudzona, jużby potem wcale spać nie mogła.

„Przewidując coś nie dobrego, namówiłam siostrę, aby z Janką przeniosły się na drugą stronę mieszkania, sama zaś położyłam się w sąsiednim pokoju, nie zdejmując ubrania, pewna, iż niedługo wstać do chorej będę musiała.

„Do północy leżała spokojnie. Potem — zerwała się z łóżka; usłyszałam szybkie stąpanie bosych jej nóg i tarcie zapalek o ścianę.

„Na palcach podeszłam do drzwi, patrząc przez dziurkę od klucza, co robi?...

„Otwierała po kolei każdą z szuflad swego biurka, które, jak pani wiadomo — wraz z innemi rzeczami wysłała tutaj do nas przed wyjazdem do pp. L. Jedną z małych, bocznych szufladek wyciągnęła zupełnie i, i przechylona, szukała czegoś pod nią.

„Była w koszuli. Trzęsła się z zimna.

„Nie mogłam wytrzymać. Otworzywszy drzwi, zaczęłam ją prosić, by położyła się napowrót.

Z twarzą rozognioną, zawołała:

— Proszę mię zostawić, bo wyskoczę oknem tak, jak stoję...

„Co się z nią stało? Nie poznawałam jej zupełnie, musiała mieć silną gorączkę.

„Probowalam ją uspokoić.

„Stała w oknie i już je otwierała.

„Odeszłam, nie wiedząc co robić?

„Z pół godziny potem nic nie słyszałam.

Nareszcie doleciał mię szelest zasuwanej, czy wysuwanej szuflady, później szelest papierów, a jeszcze później—odryglowanie pieca, silne tarcie kilkunastu zapalek i wybuch płomienia.

„Spojrzałam przez dziurkę od klucza, lecz nic już nie mogłam dostrzedz.

„Światło w pokoju było zgaszone. Smuga jasna padała tylko od pieca na podłogę i na ściany.

„Po kwadransie ucichło wszystko. Zmęczona, położyłam się na chwilę i nie wiem nawet, kiedy zasnęłam.

„Nazajutrz rano otworzyłam drzwi ci-chutko i zajrzałam do niej.

„Już nie żyła.

„Leżała na łóżku, sina zupełnie. Wargi i palce rąk miała zacisnięte, głowę w tył zwieszoną przez poduszki, oczy szeroko rozwarte z wyrazem osłupienia.

„Szuflady biurka były pozamykane, piec zaryglowany.

„Gdy dziś przypomnę sobie wczorajszą noc, zdaje mi się, że wszystko, co widziałam, to był sen tylko.

Bo i co ona mogła palić? Sekretów żadnych nie miała w życiu, chyba—zostały jej listy po mężu, których nie chciała okazać światu...

„W imieniu siostry proszę, aby, kto kochał niegdyś i pamięta Ksawerę, przyjechał dziś rzucić garstkę ziemi na jej mogilę...

„Za czyje winy ona tak bardzo cierpiała?...“

*

*

*

Głos dzwonka obudził Polę z rozmyślań. Otworzono drzwi: służąca wprowadziła dzieci, które z hałasem rzuciły się matce na

szyję, opowiadając o dobrej kawie u babci, o gościach, jacy tam byli, o rozmowach z ciocią i z wujaszkami.

Mańka rozwinęła całą pakę gałganków, jakie dostała za wypowiedziany na żądanie babci wierszyk o dziewczynce, która parę groszy otrzymanych na ciastko, dała biednemu małemu żydziakowi, drżącemu z zimna i chłodu. Kazik pokazał szereg żołnierzy, powycinanych z papieru.

Pola wypila z nimi herbatę. Po herbatcie Kazik zawołał:

— Pomaszeruj z nami trochę!...

Zaczęła maszerować z kijem w rękę. Kazik komenderował nią i Mańką.

Nareszcie stanęła, przypomniawszy sobie, że nie powinna być dziś wesolą.

Próżno dzieci prosiły ją, aby bawiła się z nimi dalej.

— Dziś nie mogę, na prawdę; jutro od rana będzie musztra, teraz jednak dajcie mi pokój — prosiła, całując dzieci w usta i w oczy.

Kazała służącym iść spać. Sama rozebrała Kazika i Mańkę. Ułożywszy ich w łódeczkach, opowiadała im bajki, póki nie zasnęli.

I znowu została sama wśród nocnej ciszy.

Nie rozbierała się, czekając na Witolda, który miał wrócić za parę godzin.

Ogarniał ją żal i gorzki wyrzut, że nie pojechała na pogrzeb przyjaciółki.

Czemu usłuchała Witolda, który uprosił ją o pozostanie, dowodząc, że się przeziębii?... Ona... przeziębii... tak, tak, jak gdyby kiedykolwiek w swem życiu chorowała rzeczywiście?...

Pozapalała lampy i świece w całym mieszkaniu. Chodząc po pokojach, myślała o Ksawerze. Postać przyjaciółki rosła w jej pojęciu i rosła. Śmierć opromieniała ją aureolą bohaterstwa.

— Nigdy, nigdy nie dorównam jej—potarzała sama sobie.—Witold ma słuszość, dowodząc, że wyobraźnię zwalczyć mogę tytana, w rzeczywistości zaś, słowa moje rozbijają się o czyny, jak bańki mydlane o słaby opór powietrza. Com ja warta?... Czem jestem?... Czy potrafię myśleć?... Czy będę umiała wychować Kazika i Mańkę?... Czy—gdy skończą zabawę, a rozpoczną naukę—ja im wtedy wystarczę?... Co ja z nich zrobię w przyszłości?... Gdybym miała rozum Ksa-

wery, jej pojęcie obowiązku, jej zdolność zaparcia się siebie, jak dobrze i rozumnie, wychowałabym wówczas dzieci swoje, a tak... co ja z nich zrobię?... Może dwie puste głowy, takie, jak moja, dwoje sowizdrzałów, wietrzników, którzy nigdy i w niczem nie przyczynią się do postępu świata, nie uszczęśliwią nikogo i nigdy nikomu nie będą potrzebni?...

W zatrasku dało się słyszeć parę obrotów klucza.

Witold wszedł po cichu, na palcach, sądząc, że w domu śpią wszyscy.

Pola zasypała go szeregiem pytań. Wymawiając jedne, gniewała się, że mąż nie odpowiada innych i nie odpowiada na nie.

— Mów, mów, prędzej!—wołała.—Jakiś ty niedobry, że tak cedzisz słówka!... Czy widziałeś ją po śmierci?... Gdzie pochowana?... Co robi mała Janeczka?... Czy przywiozłeś mi pamiątkę po nieboszczce, tę, o którą cię prosiłam?...

Witold w milczeniu wyjął z bocznej kieszeni tużurka mały podręczny notesik i kilka zapisanych arkusików listowego papieru.

— To ostatnia spuścizna po twojej przyjaciółce — rzekł, siadając na niskiej kanapie

obok Poli. — Stosownie do twego życzenia, kupiłem ci biurko po Ksawerze. Przeglądając przed wyjazdem każdą szufladę oddzielnie i wyjmując z niej różne drobiazgi, które uważałem sobie za obowiązek oddać rodzinie, znalazłem ten notesik i tych kilka listów. Musiała zostawić je przypadkiem, gdyż, jak wiesz, na parę godzin przed śmiercią spaliła wszystkie papiery. Może postąpiłem źle i niedyskretnie, przeczytawszy listy bez wiedzy matki, ciotki i rodzeństwa nieboszczki, w każdym razie jednak dla nich to lepiej. Mam nadzieję, że nigdy nie poznają ich treści...

Pola drżącymi rękoma otworzyła notesik. Czegóż się bała. Serce jej biło. Łzy napływały do oczów.

Nachyliła się nad pierwszą stronicą.

Pod rubryką: „moje własne wydatki“ dostrzegła kilka większych sum, zanotowanych obok dat dni. Następna kartka była pusta. Parę innych zajmowała znowu rubryka pod tytułem: „moje własne wydatki.“

Pola przewracała na wszystkie strony kartki notesika, nie dostrzegłszy w nim jednak nic więcej, prócz szeregu suchych cyfr i dat, położyła go na boku i zabrała się do listów.

Witold usiadł przy niej. W milczeniu

spojrzał na datę pierwszego listu i, podkreśliwszy takąż samą w notesiku na pierwszej stronie obok sumy stu rubli, wpisanej na rachunek „własnych wydatków,—” kazał ją zapamiętać Poli.

List był skreślony wprawną i energiczną męską ręką. Pola знаła to pismo, na razie jednak przypomnieć sobie nie mogła, z kąd?... Dopiero, gdy dobiegła do końca, uprzytomnił jej się wyraźnie w myśli jeden z kajetów Wacka, w którym tym samym charakterem widziała robione poprawki z boku na marginesie.

List brzmiał:

„Najdroższa moja! Pióro drży mi w palcach w tej chwili. Nie chciałbym przeżyć drugi raz tak smutnej konieczności, jak ta, które utrudniają mi pracę dla przyszłości. Płakałaś wówczas, mówiąc:

— Jak byłabym szczęśliwą, gdybym mogła przyjść ci z pomocą kiedykolwiek!...

„W wilię ślubu powiedziałas do mnie—wiesz, wtedy, nad wieczorem, w swoim pokoju, gdy wszyscy powychodzili i myśmy zostali sami zupełnie...

„— Józku mój, jeżeli sprzedaje się dla pieniędzy, to tylko, abym część ich tobie dać

mogła na przeprowadzenie tych wielkich planów naszych, o których przegawędziliśmy i przemarzyli tyle godzin oboje!...

„Oczy twoje skrzyły się wtedy; twarz płonęła. Byłaś tak cudnie piękna, taki blask opromieniał cię, że zdawało mi się, iż jesteś aniołem, świętą, opatrnością moją, którą mi losy zesłały, abym nie zginął bezsilny, zwyciężony w strasznej walce o byt, lub nie został zwykłym flistrem, pracującym tylko dla kawałka chleba...

„Zrobiłaś już dotąd dla mnie wiele. Nie wypowiadam słów wdzięczności, gdyż uważam je za czczą gadaninę. Ty kochasz mnie tak, jak ja kocham ciebie; niema ofiary, niema poświęcenia, którego bym dla ciebie nie poniósł.

„Przystępuję jednak do rzeczy. Wiesz, że jestem obarczony rodziną. Matka moja, skutkiem dawnych nawyków i upodobań, nie bardzo umie się rządzić. Widzę to i nieraz zwracam uwagę: czy jednak można nowe zasady wpoić w czterdziestokilkoletni umysł, który przywykł już do jednego trybu i po prostu nie umie wejść na nowe tory? Usilną pracą może w końcu osiągnę cel starań i przyuczę matkę do oszczędności, w tej

chwili jednak nie czas rozmyślać: w tej chwili—trzeba działać:

„Jeżeli nie poratujesz mnie jakimś kilkudziesięcioma rublami, zginę. Będę musiał przyjąć pierwsze lepsze miejsce na prowincyi, jako nauczyciel prywatny, cośkolwiek, coby mi więcej przynosiło, aniżeli dotychczasowe lekcye na mieście, a co przedewszystkiem zmusiłoby mię do zaparcia się przekonań moich, które ty cenisz i uznajesz, do zaniechania pracy, do której dodajesz mi bodźca...

„Broszura, mająca na celu wykazanie wadliwości niektórych urządzeń społecznych w kraju naszym, której pomysł i szemat główny powstał w twojej głowie, już rozpoczęta. Zbierałem dotąd z zapalem materyały faktyczne i cyfry statystyki, niezbędne dla uzupełnienia jej; od tygodnia nie robię nic, mając umysł zaprzątnięty natręctwem wierzącego, domagającego się częściowej bodajby spłaty sumy, jaką rok temu zaciągnąłem na chorobę matki.

„Jeżeli zkańkolwiek nie zdobędę choćby stu rubli, dziś jeszcze będę zmuszony uciekać z miasta przed wstrętnym żydem lichwiarzem, który mi nie daje pokoju... Co zrobię ze sobą, nie wiem; to pewna, że współ-

na praca nasza ulegnie zwłoce, raz zaś przerwana, nie nawiąże się zapewne już nigdy...

„Ksawero, ratuj mię! Wiem, że od męża dla mnie nic już wziąć nie możesz, bo miesiąc temu wyjednałaś u niego dla mnie kilkadziesiąt rubli, które wręczyliście mi rodzajem gratyfikacyi. Zresztą — pensya, jaką od was biorę, tak dalece przenosi zwykle nauczycielskie honorarya, że mąż twój w końcu mógłby oburzyć się mojem żądaniem.

„Kiedys — przy mnie—otworzyłaś potajemną skrytkę w swoim biurku, gdzie chowaś zwykle listy, jakie ci przysyłam w spełnieniu uczuć. Wyjawszy grubą paczkę papierów, pokazałaś mi je, mówiąc:

„— To dwie trzecie mojego, wyłącznie mojego majątku: pamiętaj o tem, ilekroć przeszkody materyalne staną na zawadzie celom i pracom twoim...

„Dziś — słowa te zahuczały mi w mózgu, zahuczały wówczas, gdy, wśród strasznej rozpacz, myślałem o wielkiej przewadze człowieka nad zwierzęciem, o doskonałości wolnej naszej woli, która pozwala nam targnąć się na własne życie w chwili, gdy ono za bardzo cięży...

„Ksawero, ty nie pragniesz wczesnej

mojej śmierci! Kochanek twój chce, byś była kiedyś dumna z niego! Chcę cię okryć chlubą i chwałą!... Kto wie? Jeszcze może losy tak się złożą, iż będę cię mógł nazwać w przyszłości żoną swoją!...

„Sama myśl o tem upaja mnie, odurza, odbiera mi rozum i trzeźwość działania. Tyś jest aniołem, świętą!... Każde twoje słowo, każde spojrzenie udoskonala tych, co z tobą obcuja!...

„Nie rwałbym się tak gorączkowo do życia, gdyby nie osładzała mi go myśl, że kiedyś—z czasem—będziemy mogli być zawsze, zawsze już razem?...

„Jeżeli wyprowadzisz mię z chwilowych kłopotów moich, z jakim zapalem rzucę się do dalszej pracy!... Dziś—stanowczo nie mam sił i głowy po temu. Skołatany naporem wstrętnych lichwiarzy, od tygodnia nie wziąłem pióra do ręki; z chwilą jednak, w której skończą się moje udręczenia, będę na nowo panem swej woli, i za parę miesięcy złożę u stóp Beatrice mojej dzieło, przez nią natchnione, za jej impulsem w słowo wcielone... Wydamy je razem. Niech połączone nazwiska moje i twoje wyjawia światu naszą spójnię duchową!...

„O, jak słodkiem upojeniem napawa mię myśl wspólnej z tobą pracy!...

Twój Józef.

„P. S. Pieniądze przyslij mi, jak możesz najprędzej. Nie przychodzę po nie sam, gdyż łatwiej napisać, niż mówić. Zresztą—każda moja nadetatowa bytność, mogłaby wzbudzić podejrzenia, których lękaś się tak bardzo...“

Ze środka następnego arkusika, który Pola wzięła w rękę, wypadł króciutki bilecik, oznaczający schadzkę. Za nim zaraz drugi, zawierający tylko te słowa:

„Pieniędzy, na miłość boską pieniądze! Choć dwieście, a jeżeli nie dwieście, to sto rubli, inaczej — piękne plany nasze zginą, przepadną na zawsze!... Broszura nasza na dokończeniu, a nie mam czem opłacić ludzi, którzy obiecali mi dostarczyć najniezbędniejszych danych statystycznych do ostatniego rozdziału. Gdybyś mogła przysłać mi większą sumę, zamówiłbym natychmiast papier i druk; za miesiąc rozpoczęlibyśmy wydawnictwo, za dwa, najdalej zaś za trzy miesiące, okazalibyśmy światu wspólną naszą pracę.

„— Bądź cierpliwa i dobra, a przede-

wszystkiem — ufaj przyjacielowi, który cię ubóstwia...”

Pod datą, wziętą z listu, można było zawsze znaleźć w notesiku odpowiednią datę przed wypisaną przy niej sumą pieniędzy.

Drugi z kolei obszerniejszy list donosił:

„Bawię w M. od paru tygodni, goniąc, jak ciągle dotąd, pracę.

„Wstąpiwszy przed kilkoma dniami do cukierni na kawę, spotkałem jednego z moich dawnych znajomych, który zaczął namawiać mię, abym rzucił dotychczasowy swój zawód, to jest nauczycielstwo, nie doprowadzające nigdy do niczego, a wziął się raczej do przedsiębiorstwa!

„Proponuje mi otworzenie na wspólnkę biura technicznego w jednym z miast południowej Rosyi, gdzie właśnie brak jest czegoś podobnego. On, jako inżynier, dałby fachową wiedzę, ja zaś—prowadziłbym tylko rachunki i miał oko na to, by nas nie okradali...

„Interes przedstawia się świetnie. Nie można nie dobić się przy nim majątku. Po kilkunastu latach pracy, twój Józef mógłby zostać właścicielem ogromnych pieniędzy i zwróciłby ci z procentem wszystko, co do-

tąd wybrał od ciebie. A zresztą — nie potrzebowałby ci zwracać: wszystko, czegoby się dorobił, byłoby wspólną naszą własnością w przyszłości...

„Jeżeli możesz ponieść ostatnią ofiarę dla mnie, tym razem większą, niż zwykle, — w imię naszego zobopólnego dobra nie zawahaj się przed nią.

„Mąż twój chory i prawie nieprzytomny, zresztą — sama mówiłaś mi nieraz, że zaufał ci w zupełności i nie pyta o pieniądze, złożone w papierach w skrytce twego biurka.

„Potrzeba mi dziesięć tysięcy rubli na otworzenie, urządzenie biura i zakupno materiałów. Mój przyszły wspólnik rozporządza niewielkim funduszem, zaufać mu jednak mogę w zupełności; jest to człowiek uczciwości, znany mi oddawna.

„Nie wahaj się. Byłbym ostatnim niegodziwcem, gdybym pieniądze twych chciał użyć na niepewną spekulację.

„Zwłoka w wydawnictwie prac, które obmyśliliśmy wspólnie, mogła niejednokrotnie zrodzić w umyśle twym posądzenie mnie o brak wytrwałości, energii, a ztąd — niewiarę w czyny i postęпки.

„Nie sądź jednak według przeszłości. Ty

nie wiesz, jak dalece troska o byt i ta wieczna walka z fatalizmem losu osłabia i odejmuje możność skupienia myśli na jakimś punkcie.

„Czyż człowiek głodny jest w stanie stworzyć wielkie dzieło?... Zbyt jesteś dobra i wyrozumiała, abys mogła zrobić mi kiedykolwiek wymówkę, z powodu nadużycia twojego zaufania, w oczach twoich jednak czytałem już niejednokrotnie gorzki wyrzut za to, że nie dotrzymałem dotąd najłżejszego zobowiązania wobec ciebie, że nie wykończyłem ani jednej z prac, obmyślonych i rozpoczętych wspólnie.

„Dziś — przyrzekam ci uroczyście, że z chwilą, w której po raz pierwszy zaświta mi dobrobyt, w której po raz pierwszy ja i rodzina moja staniemy na pewnym, niezbytym materyalnym gruncie,—wrócę do dawnych naszych wspólnych ideałów; będziemy znowu pracowali razem dla dobra społecznego i marzyli o niem; w tej chwili jednak muszę otrząsnąć się przedewszystkiem z grożącej mi nędzy i tej niepewności życiowej, która, każdy kęs chleba zaprawia piołunem...

„Od ciebie zależy przyszłość moja;

w twoje święte, drogie ręce składam ją, ufny w dobroć twą i przywiązanie dla mnie...

„Odpisz mi natychmiast; sam przyjechałbym po sumę, którą dla mnie przeznaczysz...

„Jakżeż mi już tęskno za tobą! Jak dawno nie widzieliśmy się! Krew wre we mnie na myśl o naszym pożegnaniu, wtedy — ostatniego wieczora przed moim wyjazdem; pamiętasz?... Dwa miesiące dopiero upłynęły od tego czasu, a mnie się zdaje, że to wieczność cała...

„Czy możesz wątpić, że, odkąd znam ciebie, wstrętne mi są wszystkie inne kobiety?...”

Daty tego listu nie było w notesiku, z pomiędzy następnych papierów wysunęła się jednak karteczka, napisana ołówkiem krzywo, pośpiesznie, nieczytelnie, z datą, o kilka dni późniejszą.

„Jak jesteś dobrą! Nie wątpiłem nigdy o twem sercu, dziś mam jednak dowody twojej dla mnie miłości tak jawne, jak jeszcze nigdy. Za tydzień przyjeżdżam. Musisz mi poświęcić kilka godzin tak, abyśmy byli zupełnie sami; bez tego nie miałbym energii do rozpoczęcia nowej pracy. Żegnam cię

Twój Józef.

Znacznie późniejszy list brzmiał:

„Położenie twoje martwi mię bardzo. Przykro mi myśleć o twojej ciężkiej pracy.

Korzystaj tymczasem z dobroci Poli. Mogłaby ona coprawda, wziąć Jankę do siebie; ulżyłaby tem tobie, a sama, mając jakiśkolwiek obowiązek na głowie, nauczyłaby się przynajmniej żyć, nie jak wieczny sowizdrzał, po ludzku.

„Teraz—w niczem dopomódz ci nie mogę. Przedsiębiorstwo nasze rozwija się bardzo powoli. Dochody zaledwie dla mnie samego wystarczają na życie. Co miesiąc przysyłam ci coś posłać matce i siostrze...

„Wiesz, jak wielkie ciężary mam na swej odpowiedzialności, do czasu zatem musisz być cierpliwą...

„Widzę w twoich słowach pewien żal do mnie — zaczynał się następny list z kolei...

„Zarzucasz mi, jakobym nie dopełnił swych przyrzeczeń i zobowiązań; dziecinna jesteś, że nie powiem — naiwna. Czyż człowiek jest w stanie przewidzieć, co go czeka?

„Obowiązki moje rosną w stosunku geometrycznym, interes zaś procentuje... w arytmetycznym. Nie dalej, jak onegdaj, odebrałem list od matki, w którym prosi o przy-

ślanie pewnej sumki na wyprawę dla starszej siostry, która za mąż wychodzi. Rozumiesz, że odmówić nie mogę, i że w takich warunkach o „pracy“ dla idei myśleć mi nie wolno.

„Przyjdzie czas i na to, przedewszystkiem jednak muszę stanąć silniej na gruncie zdobytych podstaw materyalnych.

„Co do warunków, w jakich znajdujesz się obecnie, to jeżeli ci tak strasznie trudno wyżyć w Warszawie z tego, co masz obecnie, to możesz przyjechać tutaj.

„Mówilem już z moim spółnikiem; daliśmy ci u nas miejsce kasyerki. Pensyę obgadamy później, tylko dziecka z sobą nie zabieraj; więcej byś tu z niem zaznała kłopotów, niż przyjemności. Możesz je oddać na przechowanie matce, albo—wiernej twojej przyjaciółce.

„Meble również zostaw komu na składowanie; za wiele kosztowałoby przewiezienie ich. Zabierz tylko to, co konieczne: łóżko, pościel i szafę. Stolik i parę krzesełek mogę ci dać od mego spółnika, który ma ich aż nadto.

„Namysł się? Wielkich rozkoszy ci nie obiecuję, sądzę jednak, iż mogłabyś tu żyć spokojniej, wśród mniejszej pracy.”

Ostatni z leżących na stole arkusików papieru zawierał słowa:

„Przyjeżdżaj zatem. Możesz nam tutaj być bardzo pożyteczną, gdyż potrzebujemy kogoś pewnego, komu moglibyśmy powierzyć kasę w razie, gdy nam obydwóm wypadnie wyjazd.

„Mieszkanie dla ciebie wynająłem w bliskości swego. Będę się u ciebie stołował. Kuchnia restauracyjna już mi zbrzydła i szkodzi mi; zacznym dostawać kataru kiszek.

„Jednej tylko rzeczy żądam od ciebie: że nie skusisz się na wzięcie ze sobą dziecka, o tem wiem już na szczęście. Musisz mi przyrzec jeszcze, że nigdy słowem jednym nie zrobisz mi wymówki, iż dotąd jeszcze nie wziąłem z tobą ślubu.

„Powiedziałem ci, że—o ile okoliczności będą temu sprzyjały—obietnicy swej nie cofnę, teraz jednak — trudno, nie mogę. Jeżeli nie czujesz się na siłach wypełnienia tego warunku,—nie przyjeżdżaj.

„Co do posądzeń, jakiebyś na siebie po bytem tutaj ściągnąć mogła, to próżne twoje obawy. Możesz powiedzieć znajomym i rodzinie, że przyjmujesz miejsce stałej nauczy-

cielki na doskonałych warunkach w miasteczku Z. gubernii Mohylewskiej, przypuśćmy.

„Mam tam znajomego lekarza, któremu polecić mogę, aby listy, adresowane do ciebie poste restante, odbierał stale i przysyłał na moje ręce. Tak daleko! Kto sprawdzi, czy jesteś w Z. rzeczywiście, czy też tu u nas?...

„Bądź spokojna: tę stronę kwestyi biore na siebie...”

Gdy list ten z szelestem upadł na kolana Poli, Witold zapytał:

— Skończyłaś?...

Kiwnęła głową twierdząco. Nie mogła mówić. Wargi jej drżały. Dreszcze przebiegały ją wzdłuż ramion i pleców.

Zdawało się jej, że kiedyś już, raz w życiu przechodziła podobną chwilę, że czytała takie, jak te, listy, tym samym charakterem pisane, te same słowa zawierające...

Kiedy?... Nie mogła sobie przypomnieć. Może to jeszcze w dzieciństwie, jak była bardzo mała, a może tylko wczoraj, lub onegdaj śniła o tem?...

Witold wyciągnął z pugilaesu jeszcze dwie, zupełnie zmięte, gęsto zapisane kartki papieru.

— To ostatnie dokumenty—rzekł, przy-
suwając się do Poli.—Znalazłem je na podło-
dze za piecem, w chwili, kiedy wróciwszy
z pogrzebu zziębnięty, chciałem rozgrzać się
cokolwiek. Widocznie nieboszczka, pragnąc
spalić je wraz z innemi papierami, nie uwa-
żała, jak osunęły się na ziemię i pozostały
tam już, zapomniane w ogólnym gwałcie...

Wskazawszy Poli nagłówek listu, zawie-
rający nazwę jednego z małych miasteczek
w kraju, oraz datę dnia, ubiegłą przed ty-
godniem, postawił lampę tak, aby blask pa-
dał wprost na arkusz papieru, który trzymał
w rękę i czytał głośno:

„Bawię od dwóch dni u najstarszej sio-
stry, która, jak wiesz, przed trzema laty wy-
szła za mąż, a u której obecnie zebrała się
cała nasza rodzina.

„Po naradzie z nią doszedłem do wnio-
sku, że niepodobna mi nadal żyć tak same-
mu jednemu zupełnie, jak dotąd, zdala od
nich wszystkich. Matka wraz z młodszą sio-
strą postanowiły przyjechać do mnie na sta-
łe. Będzie to nie bez pewnej ofiary z ich
strony, czegoż jednak matka nie zrobi dla
syna, a siostra dla brata?...

„Wobec podobnego urządzenia zapro-

wadzę wielkie oszczędności. Utrzymywanie
dwóch, a raczej trzech domów, pochłaniało
tak strasznie moje fundusze, że dotąd nie mo-
głem spłacić ani grosza z zaciągniętego u cie-
bie długu; myślę o nim jednak nieustannie.

„Sądzę, że wobec zmian, jakie następu-
ją, choć część pieniędzy wkrótce ci zwrócę.
Rozumiesz, iż teraz — ze względu na matkę
i siostrę, które będą ze mną razem mieszka-
ły—stosunek nasz nadal jest niemożliwy. Ty
z łatwością znajdziesz miejsce odpowiednie
dla siebie, posiadając tak wysoko znajomość
języków i nauk klasycznych. Siostra moja
zastąpi cię w kasie. Pensyę, jaką pobiera-
łaś u mnie, postaram się wypłacać ci i na-
dal. Na początek—parę miesięcy—może ja-
koś się to zwlecze, gdyż będę miał masę wy-
datków, skutkiem powiększenia mieszkania
i urzędu go tak, aby matka i siostra zna-
 znalazły w nim wszelką wygodę. Matka mo-
ja w dotychczasowej dziurze, jaką zajmowa-
łem, wyżyćby nie mogła.

„Bądź pewna, że zawsze będę myślał
o tobie i dbał o twoją przyszłość.

„Za miesiąc przyjeżdżam do R. z rodzi-
ną. Sądzę, że przez ten czas zdążysz wyszu-
kać dla siebie odpowiednie miejsce.

„Napisz do Poli: ona ułatwi ci starania...

„Kasę zdaj memu współnikowi. Rozstać nie zbyt byłoby przykre dla nas obojga, aby nie chcieć uniknąć go dobrowolnie, pozostanę tu zatem z rodziną umyślnie dłużej, by nie rozdrażnić ani ciebie, ani siebie chwilą pożegnania...

„Na podróż, o ile ci nie wystarczy z pieniędzy, jakie zostawiłem na życie na cały miesiąc, nie przewidując nagłego swego wyjazdu, weź z kasy, po zdaniu jej.

„Co do rozpoczętych niegdyś wspólnie prac naszych, to może zechcesz wziąć je odemnie. Znajdziesz część ich, jeżeli się nie mylę, w jednej z bocznych szuflad biurka mojego, gdzie spoczywają wraz z kilkoma wziętymi od ciebie przed laty książkami, reszty — poszukaj między papierami moimi w biurze.

„Nie mam czasu i głowy obecnie, aby myśleć o dzieciństwach, które pochłaniały mnie dawniej: zostawiam to młodszemu od siebie. Dla mnie teraz grunt—to praca, mogąca zapewnić byt mnie i całej mojej rodzinie.

„Jeżeli wykończysz broszury kiedykolwiek sama, przyslij mi je, przejrzę każdą z nich z przyjemnością.

„Żegnam cię, droga Ksawero! Jak bardzo musisz cieszyć się na myśl zobaczenia dziecka!...

Józef.

Godzinę, może dłużej po przeczytaniu listu, Witold i Pola siedzieli w zamyśleniu obok siebie, nie mówiąc nic: on z głową, przechyloną na poręcz kanapy, wpatrzony bezwiednie w kółka, kółeczka i pionowe kolumny dymu cygara, jakie palił, ona—oparta o ramię męża, ze wzrokiem pełnym przerażenia w błękitnawe fałdy kotary we drzwiach utkwionym.

Zdawało się jej, że z za tej kotary wygląda twarz jakiegoś potwora, szczerzącego ku niej zęby z wyrazem drwin ohydnych i kolącego sarkazmu.

Powoli potwór przybierał kształty, rysy i postać człowieka, znienawidzonego przez nią, jakkolwiek widziała go raz jeden, czy dwa razy w życiu; powoli z za fałd kotary, w żywej, ruchomej halucynacji, wyłaniała się blada, jakby nabrzękła twarz pana Józefa, z rzadkimi, pozlepianymi, gładko nad czołem przyczesanymi włosami, ze wzdętą i mocno w dół zwieszoną dolną wargą, z żółtymi, jak klawisze, z pod bladych dziąseł

wystającymi zębami. Poruszał się, szedł ku niej prosto ciężkim, leniwym krokiem, przygarbiony lekko, z wielką swoją głową, na krótkiej szyi i szerokim karku osadzoną, wstrętny, brzydki, raczej ohydę, aniżeli miłość w sercu wzbudzić mogący...

Pola krzyknęła aż: tak blisko widmo halucynacyi przesunęło się koło niej.

Oparłszy głowę mocniej o pierś Witolda, zamknęła oczy i uspokoiła się po chwili.

Sylwetka pana Józefa jeszcze błakała się pod powiekami jej, lecz już raczej jako blade wspomnienie przeszłości, aniżeli złudzenie, tak ściśle z prawdą rzeczywistą graniczące.

Przytulona do piersi męża, czując oddech jego, łagodzący jej trwogę, Pola myślała:

— Co mogło pociągać biedną Ksawerę do tego brzydkiego, wstrętnego człowieka?... Co przykuwało ją do niego?

Co ją skłoniło, że dla niego zaparła się rodziny, dziecka, dawnych ideałów swoich, że kłamała, ona, która przez całe życie brzydziła się kłamstwem?...

Pytania biegły za pytaniami. Pola nie umiała znaleźć na nie odpowiedzi; nie była w stanie zdać sobie sprawy z tego, co zaszło.

Witold podniósł się i, zamyślony, milcząc, chodził po pokoju, z głową zwieszoną na piersi i rękoma w tył założonemi.

Pola bała się w tej chwili wszystkiego; bała się być zdaleka od niego.

Wstała szybko, chcąc przebiec przez pokój i oprzeć głowę znowu o ramię męża; zaledwie poruszyła się wszakże, z kolan jej, szeleszcząc, spadła niewielka i silnie zmięta kartka, wyjęta przed chwilą wraz z ostatnim listem Józefa z notesu Witolda, a o której on i Pola zapomnieli zupełnie.

Było to kilkanaście wierszy, skreślonych drżącą ręką Ksawery na parę godzin zapewne przed śmiercią. Nieboszczka chciała je posłać widocznie temu, co potargał struny jej życia, temu, ku któremu ostatnia myśl jej biegła z wyrzutem, w końcu jednak cofnęła się przed tym zamiarem i kartkę swoją wraz z listem Józefa postanowiła spalić dla zatarcia wszelkich śladów.

Dlaczego nie spaliła? Dlaczego Witold znalazł ją w dwa dni później zmiętą i wraz z listem Józefa na ziemię rzuconą?...

Sił zbrakło jej widać: listy musiały wypaść z drętwiejących jej rąk w chwili konania, ona zaś sama w kurczach przedśmiertnych,

na pół przytomna, przyczółgała się do łóżka, na którym nazajutrz znaleziono ją martwą...

Kartka Ksawery, napisana ołówkiem, nieczytelnie, brzmiała, jak następuje:

„Nie obwiniam ani ciebie, ani siebie o nic. Co zaszło, to stać się musiało, inaczej — los byłby nie popchnął mnie tak ślepo w twoje objęcia, nie zrobiłby ze mnie manekina twych pożądań i, że tak powiem, widząc w tej chwili całą przeszłość jasno, jak w oświeceniu najjaskrawszego południa—twojego wyzysku...

„Niczego nie żałuję, gdyż wiem, że człowiek jest w ręku losu piłką, którą bawią się duchy złego i dobrego, a co jest tem złem, lub dobrem bezwzględnem,—tego nikt nie wskaże i nikt nie dowiedzie...

„Nie żałuję życia swego, gdyż to samo przeznaczenie, które kazało mi być niewolnicą twoją, kłamać przez ciebie, grać wobec świata wieczną komedję cnoty, podczas gdy, według ustaw i paragrafów jego, byłam niecną obłudnicą, oszukiwałam męża, dziecko, rodzinę,—to samo przeznaczenie, które stopniowo, wbrew chęciom moim, rozwinęło we mnie hipokryzyę do punktu artyzmu,—to samo przeznaczenie gasi dziś w piersiach moich

iskrę tego, co nazywamy chęcią i wolą bytu doczesnego...

„Patrzac na siebie taką, jaką byłam, czuję wstręt do życia...

„I tylko boli mię, że zostawiam kaleki, niedoleżny cień swego istnienia, że zostawiam dziecko moje, dla którego byłam wrogiem... przez ciebie...

„Tak, przez ciebie... Tyś stłumił każdy szlachetniejszy poryw mej duszy, tyś był demonem, co opętał zmysły moje, a przez nie... wolę, umysł, rozagę...

„Kilka krótkich chwil rozkoszy, jakie ci zawdzięczam, nie okupiły długich męczarni i walk sumienia z sercem.

„Nie potępiam ciebie jednak za to; tak chciało przeznaczenie i—choćbyśmy nie wiem jak byli pracowali nad zmienieniem woli jego, krzywda, jaka spotkała mnie i dziecko moje przez ciebie, spotkać mię musiała...

„Byłam niegodziwą żoną i matką, żyłam fałszem i obłudą, umieram, gdyż życie bez ciebie, demona mego losu, bez tych walk i męczarni, jakie budziłeś we mnie, a do których przywykłam, jak przywyka morfinista do coraz silniejszych dawek trucizny, jest dla

mnie śmiercią... Tracę grunt pod stopami, nie umiem istnieć nadal...

„Miłość dziecka nie zaspokoi głodu wrażeń moich i tej potrzeby ciągłych burz wewnętrznych, tych wielkich, niczem nieugaszonych pragnień, które niegdyś rwały się do wiedzy, do prawdy, a które ty, czarny krzyż życia mojego, zwróciłeś przez siebie ku głodnej wiecznie, wiecznie twoich pieśczęt łaknącej namiętności...

„Byłam bardzo, strasznie, nad wyraz nieszczęśliwa — lecz występki, fałsz i obłuda, w której nurzałam się, stał się potrzebą krwi mojej...

„Wrócić do dawnych ideałów, w które niegdyś wierzyliśmy razem, do wiedzy i pracy, dziś bym nie umiała; te świetlane płomyki, te bóstwa, promienne aureolą, zbyt czyste dla pokalanych palców moich i skażonego serca...

„Cynizm swój, jak trąd zaraźliwy, rzuciłeś na czyste moje serce.

„Straciłam przez ciebie wszystko, co kiedykolwiek było we mnie dobrem i prawdą, straciłam poczucie honoru, ambicję i najnaturalniejsze ze wszystkich, najbardziej sercu wrodzone uczucie matki dla dziecka; żyłam fałszem, obłudą, lecz... ty mnie nie

sądź, gdyż przez ciebie, jak przez silnie chcącego, potężną wolą obdarzonego kuglarza-hypnotyzera, przeniosła się na mnie, na cierpliwe, bezoporne medium, ta woła twoja...

„Ty mnie nie sądz, nie rzucaj klatwy na postęпки moje, gdyż grzeszyłam przez ciebie, tak samo, jak teraz przez ciebie targam więzy życia...

„Los był dla mnie okrutny, lecz to nie jest ostatnie życie moje, odrodzę się jeszcze, a wówczas — może światło, dobro, piękno i prawda będą przewodnikami mymi...”

*

*

*

Głucha noc jesienna zaglądała przez szyby okien do środka sali, w której pogasły światła i paliła się słabym płomieniem jedna zaledwie tylko świeca w głębi, na małym stoliku.

Witold i Pola, zmęczeni długim czuwaniem, w milczeniu przeszli do sypialni.

Pola w ubraniu rzuciła się na łóżko; pierwszy raz w życiu jednak nie mogła spać zupełnie.

Leżąc na wznak, z szeroko rozwartymi

powiekami, patrzyła w płomień wiszącej lampy, której nie pozwoliła zgasić Witoldowi.

Chwilami łzy cisnęły się do oczów jej;— szeptała: „biedna, biedna!...”

Zrywając się zaraz potem, zaciskała pięści i groziła niemi komuś w przestrzeni. Po kilku minutach kładła się napowrót, znowu bezmyślnie patrząc w płomień lampy. Wyraz pogardy wykrzywił jej wargi, lecz znikał wkrótce.

Nad ranem powieki jej, zmęczone, opadły same; zasnęła mocno.

Po godzinie wstała z ciężarem na piersiach, w głowie, na oczach.

Zsuwając się z łóżka leniwie, myślała:

— Onegaj, trzy i cztery dni temu śmiałam się głośno i bawiłam z Kazikiem i Mańką!... Jutro, ani pojutrze, nigdy już śmiać się nie będę... tak smutno, tak strasznie smutno na świecie!...

Łzy dławily ją; płakała dzień cały. Kazik i Mańka na palcach chodzili dookoła niej, pytając po cichu:

— Co tobie?... Nie będziesz się bawiła dziś z nami?...

— Nie będę—odpowiadała krótko. Lecz

gdy dzieci, objąwszy ją za szyję, całując usta jej, szyję, oczy, prosiły:

— Powiedz nam, co tobie?... płacząc, rzekła:

— Mamę waszą spotkało wielkie, wielkie nieszczęście, gorsze od śmierci, gorsze od kary największej; mama dowiedziała się czegoś bardzo złego i bardzo smutnego o kimś, kogo kochała, tak samo chyba, jak kocha was i ojczulka waszego...

Kazik i Mańka, zakłopotani, rozżaleni, spojrzeli po sobie.

Niezbym zrozumieli słowa matki, lecz nie chcieli pytać dalej, Pola bowiem płakała bardzo, tak płakała, jak jeszcze nigdy.

Pod wieczór uspokoiła się cokolwiek. Kazik nieśmiało zaproponował jej grę w fortę.

Zrazu pod przymusem, potem jednak coraz żywiej, z przejęciem bawiła się z dziećmi. W końcu coś rozśmieszyło ją ogromnie; zaśmiała się głośno, srebrnym, dzwoneczkowatym swym śmiechem, nagle jednak, przerażona tym objawem wesołości, umilkła, czyniąc sobie gorzkie wyrzuty.

Nie powinna była śmiać się dziś, kiedy

spotkało ją takie straszne nieszczęście; nie powinna była śmiać się już nigdy...

Czyż zawsze będzie tylko tą czczą, pustą swawolnicą, która nic żywiej i głębiej odczuwać nie jest w stanie?...

Ze wzgardą myślała o sobie; potępiała lekkomyślność swoją, przysięgała sama przed sobą, że wyleczy się z niej dla przykładu dzieci, że będzie poważną, taktowną i rozumną, jak...

Przez przyzwyczajenie chciała dodać, jak „Ksawera,” w głębi serca jednak powstał głuchy bunt przeciw temu porównaniu...

Przerwawszy nagle zabawę, odbiegła od dzieci, zamknęła się w swoim pokoju i zaczęła na nowo łkać głośno...

Nic nie bolało jej tak żywo, jak to, że los poszarpał w niej na kawałki wiarę, w dotychczasowy ideał, wiarę w cnotę, uczciwość i rozum przyjaciółki...

Nie było dotąd dnia, w którymby nie powtarzała myślą stokrotnie.

— Chcę być taką, jak ona...

Teraz na gwiazdę przewodnią jej życia padł cień brudny, czarny...

Nie było wiary, nie było prawdy na świecie!

Płacząc, Pola czuła taką pustkę w sercu, iż byłaby chciała umrzeć, aby przestać cierpieć...

I znowu, jak niegdyś, przed laty, postrzegła wyraźnie że jedna epoka życia kończy się dla niej, a rozpoczyna druga. Co jej miała ona przynieść: czy nowe zawody, nowy cios zdartej i podeptanej wiary w to, co dotąd uważała za jedynie dobre i rozumne?...

Do kogo mogłaby rozczarować się tak samo, jak rozczarowała się dziś do przyjaciółki, którą uwielbiała?...

Kto mógłby nadal stać się przewodnikiem jej życia, którego nie słuchałaby wprawdzie tak samo, jak nie umiała, nie mogła, nie była w stanie słuchać Ksawery, lecz za którym mimowoli biegłby wzrok jej, spragniony ideału?...

W wielkiej swej rozpaczycy uspokoiła się nagle; z chaosu myśli, mknących pod czaszką jej szybko i bezładnie, jak niesforne gołębie, wyrzała nagle sylwetka szlachetnej, męskiej postaci. Poważne, niebieskie oczy Witolda, odbite w jej duszy, spojrzały na nią łagodnie, kojąco...

Wyciągnęła ręce w ciemną próżnię, jak

gdyby chcąc ująć niemi cień, błakający się pod powiekami!.

Nagle rozwiała się pustka jej serca. Tęsknota za przyjaciółką, żal i gorycz do niej pozostały, lecz męcząca próżnia, którą czuła od wczoraj, ustąpiła raptownie...

Nie miała prawa skarżyć się na los, nie miała prawa podnosić bunt przeciw życiu. Witold szlachetny, rozumny, dobry, Witold, którego dotąd nie oceniała może należycie, wielbiąc jedynie przyjaciółkę, miał być od tej chwili, wyłącznym jej przewodnikiem i opiekunem...

— Los jest kapryśny, jak wola historyczki — myślała Pola, porównywając dzieje swoje z historią krótkich dni bytu przyjaciółki. — Los krzywdzi jednych na korzyść drugich... Jeżeli ja dotąd nie zrobiłam nic złego, to dla tego, że przeznaczenie uchroniło mnie przed niem... Nad takimi, jak ja, wiatrakami, czuwa widocznie opatrność, jak nad dziećmi, które grzeszyć nie umieją, nie mając świadomości złego, a jeżeli spełnią coś dobrego, to spełnią je bezwiednie, przypadkiem, — podczas, gdy od ludzi rozumnych też sama opatrność wymaga, aby stali sami na straży postępów swoich... Ja czułam wstręt

i odrazę do kochanka Ksawery; instynkt strzegł mnie przed nim: ona — oddana rozumowej, ścisłej pracy, zatraciła w sobie poczucie intuicyjne, ten pancerz ochronny dzikich i dzieci... Los skrzywdził ją na korzyść moją, lecz „los tylko pozornie bywa kapryśny, podczas, gdy w gruncie rzeczy, podlega tak samo, jak my i czyny nasze, prawom niezmiennym”... Tak mówiła nieraz Ksawera, tak mówi często bardzo Witold... Ja nic nie wiem... nie rozumiem tego, co zaszło... Biedna, biedna Ksawera!...

*

*

*

W pół roku po śmierci przyjaciółki, na wiosnę, Pola pojechała do R., dla odwiedzenia małej Janeczki. Matka Ksawery pokazała jej plan nagrobka, obmyślonego dla córki. Napis na nim brzmiał:

„Była wzorową żoną i matką, żyła prawdą, umarła ze wzruszenia, na widok dziecka, z którem rozłączyły ją losy”...



PO TYFUSIE.

Śnieg padał garściami drobnych płatków na czarne gałęzie drzew i szerokie aleje ogrodu, na łąki, pola, lasy, widniejące z okna pokoju, w którym siedział Edmund. Chłodny, biały całun rósł, nabrzmiewał stopniowo, falując gdzieniegdzie czubkami drobnych wzniesień. Szare niebo i siny odbłask powietrza, śnieżne puchy, pływające w przestrzeni i śnieżne kobierce, rozesłane dokoła, otulały ziemię miękkim uściskiem, w którym zamierało życie, a zdawał budzić się spokój nirwany.

Edmund, owinięty ciepłym szalem, siedział przy oknie i wodził wzrokiem za płatkami śniegu, padającymi wolno, ukośnie. Niektóre z nich zatrzymywały się na szybach okna; inne niknęły w przestrzeni: nie można było dostrzedz kresu ich biegu. Zdawało się, że żaden z nich nie spływa na dół, ku samej

ziemi, a jednak—biały całun na polach i łąkach rósł wciąż, nabrzmiewał.

Edmund zaczął liczyć drobne puszkki. Liczył je i gubił cyfrę, lub, pamiętając cyfrę, tracił z oczu kierunek płatków, które śledził.

Ogień, palący się na kominku, wprost okna, rzucał żółtawo-czerwonawy odbłask na twarz jego bladą i wklęsłe policzki, na zapadnięte, gęstą siatką żyłek pokryte skronie, na oczy zamglone, bez blasku, poruszające się wolno, ociężale, jak gdyby każdy zwrot ich na prawo lub lewo przychodził im z wysiłkiem.

Z sąsiedniego pokoju dolatywały dźwięki fortepianu. Marynia grała preludium Szopena ciche, powolne, łzawe. Płatki śniegu zdawały się opadać w takt jego. Dźwięki tak, jak i one, to niknęły chwilami, roztaapiając się w przestrzeni, bez wyraźnego zakończenia; to—po dłuższej pauzie—rozbrzmiewały na nowo jednostajną, smętną modulacją basu, w którą wpadały nuty wiolinu, łącząc się z nią tak, jak łączyły się lotne białe pyłki z jednolitą masą puchów, zaścielających ziemię.

Edmund wstrząsnął głową nagle, zbudzony z chwilowego zamyślenia. Jakiś wiersz

przyszedł mu do głowy, krótkie, smutne opowiadanie o tumanach śniegu, któremi wichromiotał podczas zimowego zmroku, o rozpaczy kogoś, co w długą noc ciemną, sam jeden, daleki od wszystkich ukochanych swoich, zakrywszy twarz wyschłemi dłońmi, czekał jutrzeńki, jak zwiastuna lepszej doli; czekał i doczekać się nie mógł, bo serce, bijąc coraz wolniej, nad ranem bić przestało.

Edmund poruszył się kilkakrotnie w fotelu zniecierpliwiony. Chciał przypomnieć sobie wiersz cały jasno, wyraźnie: nie mógł; myśli jego płątały się, słowa odbiegały.

Tak dawno już, tak dawno nie czytał wierszy!

Czy zacznie kiedy czytać je na nowo? Czy odzyska pamięć, którą najwidoczniej stracił?

Przez umysł jego w mglistych, bladych zarysach przemikały ogniwa krótkiego rozumowania.

— Życie — mówił sam do siebie — z konieczności nieraz miewa takie przełomy, w których człowiek zatracą przeszłość swoją, w których to, co mózg jego niegdyś tworzył, kombinował, rozwiewa się i niknie bez śladu, a jeżeli kilka słabo zarysowanych wspomnień

zostaje w pamięci, to praca refleksyi nie jest w stanie złożyć ich w jednolitą całość, lub, składając, wykoślawia je w brudne, liche zlepki...

On w tej chwili właśnie czuł się na takim przełomie. Kilka tygodni strasznej gorączki i majaczeń bez przerwy odebrało mu siły: czy odzyska je kiedykolwiek? Czy będzie tem, czem był niegdyś, czy też echo lat minionych zniknie dlań bezpowrotnie, a on, po długim śnie osłabienia, ocknie się wreszcie i, jak feniks, odrodzony z popiołów, rozpocznie nową erę życia, nie związaną niczem z przeszłością?

Śnieg wciąż sypał; drobne puchy rozwiewały się w przestrzeni; niebo nie zmieniło szarej barwy; białe kobierce falowały na łąkach; ogień płonął na kominku; dźwięki preludyum to przycichały pod zdwojoną synkopą, to wzmagaly się rosnącym *crescendo* i kadencyą nagromadzonych akordów.

Edmund zwiesił głowę na piersi i myślał na nowo szukał rytmu wierszy, które instynktownie podkładał pod takty preludyum. Kilka luźnych słów, kilka słabych, źle zarysowanych obrazów majaczyło mu w pamięci.

Chwilowy wysiłek refleksyi i woli zmę-

czył go: przestał szukać pogubionych rymów. Przymknąwszy oczy, zdawał się usypiać: oddychał głęboko, ręce jego obwisły na kolanach bezwładnie; twarz przybrała wyraz nieruchomego skupienia; powieki tylko drgały zlekka od czasu do czasu.

Musiał spać, mózg bowiem jego i zmysły zawiesiły pracę: nie spostrzegał, nie kombinował, nie myślał...

Naraz drgnął całym ciałem i otworzył oczy.

Ogień na kominku zasyczał mocniej, objąwszy płomieniem świeżo rzuconą wiązkę sękatego drzewa; wiatr, podniósłszy się od strony lasu, cisnął na szyby okien garść zbitego śniegu; akordy preludyum zajęczały głośnym okrzykiem bólu, rozpaczy.

„O dajcie usta wszystkim krzywdom ziemi,
I wszystkim nędzom i tęsknotom ducha,
I niech się niebo drzwiami błękitnymi
Otworzy i Bóg niech słucho!

Czy Tobie, Boże, imię „grom i burza“?
Że świat Twój w ogniach się nurza?
Czy Tobie, Boże, imię „błyskawica“,
Że tu miecz nagi przyświeca?

Czy Tobie imię „śmierć i potępienie“,
 Że się krwi leją strumienie?
 Czy ziemia w chwili gniewu nawałnicy,
 Iskraw Ci przysła z żrenicy?“ *).

Edmund otworzył oczy i słuchał. Doznał wrażenia, jak gdyby czyjś szept cichy mówił mu wprost do ucha słowa wierszy, tak odmiennych od tych, których szukał pamięcią przed chwilą.

Ogień na kominku, zwęgliwszy sękatę szczapę, gasnął zwolna. Wiatr, okręciwszy się dokoła suchych drzew ogrodu, uciekł na łąki. Preludium skończył długim, powtórzonym kilkakrotnie bemołowym dźwiękiem.

Edmund obejrzał się. Nikt nie odszedł od niego, a szept, który słyszał, przycichł nagle...

Zmrok zimowej nocy w odblaskach śniegu opadł wolno z szarej kopuły nieba. Zalewając szerokie aleje ogrodu i tarasy przed domem, zwisał na szyby okna, przy którym siedział Edmund.

Na końcach palców, opierając się rękoma o mury ścian i futryny drzwi, do pokoju weszła Marynia.

*) Marya Konopnicka, „Z dni smutku.“

— Czy śpisz?—zapytała poruszeniem ust raczej, aniżeli głosem.

— Nie śpię—brzmiała również cicho odpowiedź.

Marynia przystąpiła do Edmunda i, poprawiwszy szal, który zsunął się z jego kolan, rzekła:

— Czy nie za długo siedzisz dziś w fotelu? Może lepiej przeprowadzić cię na łóżko?

On obojętnie skinął głową. Marynia zawołała służącego, który drzemał przy kominku i z jego pomocą poprowadziła Edmunda ku łóżku.

— Zapalić światło?—spytała.

Edmund nic nie odpowiedział. Od czasu, kiedy gorączka i niebezpieczeństwo strasznej choroby, jaką przeszedł, minęły, milczał całymi godzinami. Nic nie było w stanie pobudzić go do rozmowy. Uczucie głodu wywołało czasami na usta jego mruczenie, które przybierało ton gniewu i zniecierpliwienia, jeżeli nie zwracano uwagi na nie: zresztą—głos jego dawał się słyszeć rzadko kiedy.

— Czy zapalić światło?—spytała Marynia powtórnie.

I tym razem nic nie odpowiedział. Le-

żąc na łóżku, patrzył w kwadrat posadzki, oświetlony blaskiem przygasającego na kominku ognia. Kwadrat to malował w jego oczach, to rósł, rozpadając się na ruchome cząstki, w końcu, zakreśliwszy kilka łuków, przeszedł w ciemną plamę, która zniknęła powoli wśród zmroku, zalewającego pokój.

Ogień na kominku zagasnął zupełnie. Edmund powiódł wzrokiem dokoła: ciemność przeraziła go trochę, a nie miał ochoty zawołać o światło.

Zamknawszy oczy, próbował drzemać.

Marynia w sąsiednim pokoju grała nokturn, ten sam, który niegdyś...

Tak dawno, tak dawno! — Przez myśl Edmunda przemknęło pytanie:

— Dlaczego niekiedy bliska przeszłość, dzień wczorajszy wydaje się odległym, jak inne życie?

Niegdyś do tego nokturnu napisał poemat. Dziewczyna, bohaterka poematu, miała czoło jasne, wzrok łzawy, nosiła na piersiach białą różę. Kochanek zdjął różę z jej piersi, ucałował ją, a potem — ucałował usta dziewczyny.

Edmund otworzył oczy. Pokój zdawał mu się pełen róż białych: zawieszane na fe-

stonach firanek, na obiciach ścian, na rysunkach sufitu, sypały się zewsząd, otulając go miękkimi płatkami i dusząc zapachem.

— Światła! — zawołał szybko, siadając na łóżku, zakrywając oczy obiema rękoma.

Marynia wbiegła z lampą zapaloną. Przysłoniwszy ją różowym motylem, postawiła na biurku przy oknie, następnie podeszła do brata, położyła rękę na skroniach jego i poruszała ustami, licząc cicho.

Puls uderzał wolno, nie zwiastując gorączki.

— Połóż się, dosyć już siedziałeś dzisiaj — rzekła.

On nie słuchał jej. Oparłszy głowę na łokciach, patrzył w róg ściany, na którą padał cień motyla, zawieszonego na lampie.

Przez pierwszy tydzień choroby swojej patrzył tak codzień wieczorami całymi na ten sam cień, padający na ścianę. Widział w nim wówczas wyraźnie postać kobiety, grożącej mu obiema wyciągniętymi pięściami i skazującej go na śmierć. Kobieta miała twarz ściągłą, jasne włosy, niebieskie oczy. Znał ją dobrze: wiedział, iż nazywano ją „Anną”, nie cierpiał jej. Z ramion jej, z piersi i bio-

der opadały lachmany, do których miał wstręt. Niecierpiał jej, nienawidził.

Dziś—rozumiał, że cień jest cieniem tylko, pamiętał jednak majaczenie gorączki tak żywo, iż z niepokojem wyczekiwał przetworzenia się go do tej chwili w postać żebraczki.

Marynia przeniosła lampę na drugi stolik, mówiąc:

— Póki byłeś chory, lampą musiała stać dalej: teraz—przyjemniej ci będzie mieć światło blisko siebie.

Położył się. Patrząc w sufit, na którym drgał okrągły świetlny punkcik, odbłask płomienia lampy, pytał sam siebie:

— Dlaczego „ona”, nie kto inny, męczyła wzrok mój, myśli moje wtedy, kiedy najbardziej pragnąłem spokoju?

Zmarszczył brwi i nachmurzył czoło. Samo wspomnienie dręczących majaczeń sprawiło mu przykrość. Chciał oderwać się od nich, a wracały wciąż natrętnie.

Raz — pamiętał to dobrze — ta sama twarz żebraczki, którą widywał na cieniu wieczorami, pochyliła się nad nim w dzień biały. W pokoju świeciło jasne słońce, od którego bolały oczy. Był wtedy bardzo zmę-

czony. Przed chwilą kilku lekarzy zadreślało go pytaniami, badając przebieg gorączki, przykładając—każdy z kolei—głowę do piersi jego i pleców, każąc mu siedzieć prosto, kiedy krzyż przeginał się z bólu. Pamiętał dobrze, iż w głowie wówczas huczało mu tysiąc dzwonów, rozsadzających skronie. Był bardzo, bardzo zmęczony.

„Ona” pochyliła się nad nim i mówiła:

— Czy ty mnie poznajesz, Edmundzie? To ja, to twoja Anna. Czy ty mnie poznajesz?

Każde jej słowo wydawało mu się krzykiem, od którego głowa pękała. Chciał wyciągnąć rękę, aby wymierzyć jej policzek, nie miał siły. Chciał zawołać głośno:

— Idź precz! Nie cierpię ciebie.

Nie pamięta, czy zawołał, czy nie? Nic już potem nie pamięta. Chorował długo, ale nic, nic nie pamięta...

Spuściwszy wzrok z sufitu, na którym świetlne koło lampy drgało ciągle, Edmund zaczął wodzić palcem po atlasowym desenie koldry.

Marynia spytała:

— Może chcesz wina?

Kiwnął głową na znak, że prosi o nie.

Napoiwszy go, Marynia przysunęła mały, niski fotelik do jego łóżka i rozpoczęła z nim rozmowę, którą od tygodnia codziennie usiłowała prowadzić naprzóżno.

— Czy pamiętasz tych, co odwiedzali cię podczas choroby? — pytała.

On krótko, niecierpliwie wstrząsnął głową, na znak, że nic nie wie, nic nie pamięta.

— Czy wiesz, że był także ktoś, kogo nie poznałeś, kogo pewnie chciałbyś zobaczyć w tej chwili?

— Nie chcę widzieć nikogo; zostawcie mnie w spokoju; nie sprowadzajcie mi ludzi — odparł ostrym, pełnym zniecierpliwienia głosem.

Marynia podniosła się. Długą chwilę stała przy oknie; zamyślona, z głową zwieszoną na piersi, z wyrazem niepewności i wahania w twarzy. Nakoniec, przesunąwszy się na palcach do sąsiedniego pokoju, usiadła przy biurku swoim i napisała krótki bilecik na kartce, którą już miała przygotowaną.

„Droga moja! I dziś Edmund ze mną mówić nie chce. Dziwne to; nie pojmuję stanu jego zupełnie. Cierpliwości!... Czyż co innego radzić ci mogę? — Nagle i natarczywie działać niepodobna. Chcę zwolna przy-

gotować go do zobaczenia się z tobą. Im później to nastąpi, tem lepiej. Lekarz zaleca mu unikanie wszelkich wzruszeń.”

Położywszy na kopercie adres Anny M., kazała służącemu zanieść list na pocztę.

*

*

*

Kilka tygodni minęło. Edmund wychodził już ze swego pokoju do alei ogrodu. W południe siadywał całymi godzinami na werandzie przed domem; do łóżka kładł się samym wieczorem dopiero. Cera jego poprawiła się znacznie; lekkie rumieńce zaczęły występować na twarz; przytył cokolwiek. Siły jednak przybywały mu zwolna, nieznacznie. Z trudnością, zataczając się prawie, schodził ze schodów. Wzrok miał ciągle zamglony. Patrząc na coś, widział często nie przedmiot sam, lecz zaledwie jego zarysy. Rozmowa zawsze jeszcze sprawiała mu trudność. Szukał samotności. Niekiedy pół dnia przesiedział w zamyśleniu, z głową zwieszoną na piersi, nie zważając na to, co działo się dookoła niego, nie słysząc głosów, nie spostrzegając sylwetek ludzi, przesuwających się przed jego oczyma. Nieraz znowu coś drobnego,

fakt jakiś bez snaczenia zajął jego uwagę: mógł, na przykład, przyglądać się całemi godzinami ptakom, które przed oknem jego pokoju fruwały z gałęzi na gałąź. Rozleglejsza przestrzeń przerażała go. Nie patrzył nigdy na krajobraz pól, łąk i lasów, rozciągający się za parkanem ogrodu. Jeżeli Marynia, siostra jego, wskazując mu stojącą w oddali polną gruszę, całą w pąkach, lub zieloną trawę ugorów i niebo, obrzucone barwami tęczy, mówiła:

— Przyjrzyj się wiosnie i wchodzącemu życiu przyrody.

Spuszczał oczy, odwracał głowę od okna i, bębniąc palcami ze zniecierpliwienia, wpijał wzrok w pierwszy lepszy przedmiot, jaki znalazł dokoła siebie.

Po paru tygodniach codziennej powolnej i ostrożnej przechadzki wzdłuż lipowej alei ogrodu ożywił się cokolwiek. Umysł jego zaczęły zajmować przeobrażenia, dokonywane się wśród natury, lecz nie te ogólne, związane z wielkimi obszarami przestrzeni, z gromadą tworów, zbudzonych do życia ze snu zimowego,—lecz pojedyncze, drobnostkowe, dotyczące czegoś małego, czegoś, co w całości przyrody stanowiło zaledwie nic

nie znaczącą jej częśćkę. Wodząc wzrokiem po którymkolwiek z większych tarasów ogrodu, doznawał wrażenia nieskończonej przykrości: sądził wówczas, iż oczy jego zapadają wgłąb czaszki, czuł zawrót głowy. Natomiast z wytężeniem zrenic śledził kielkujące żdzbla trawy na małych klombach przed domem. Myślał wtedy:

Jak jednostajne epoki bytu przechodzi każda istota, obdarzona najslabszem choćby tchnieniem siły żywotnej! Drobnny proszek nasienia, nic nie znaczący pyłek, który wiatr zwiewa, lub motyl przenosi z kwiatu na kwiat, staje się rośliną: kielkuje najpierw, potem wzrasta; przeszedłszy zenit rozwoju, zamiera.

Patrząc na motyla, szukającego w trawie zwieszonych główek fiołków, przypomniawszy sobie kokon wstrętnej gąsiennicy, który dał mu życie, i pytał sam siebie:

— Czy biały motyl, raz otrzymawszy skrzydła, które go unoszą, wróci kiedy do stanu brzydkiej, pełzającej liszki?

Odpowiedź brzmiała:

—Nie.

Po paru dniach zastanawiania się nad otoczeniem swoim, zaczął myśli swe zwracać

ku sobie samemu. Porównyując byt swój z bytem trawy i motyla, pytał:

— Czy ciężkie choroby i silne wstrząśnienia, jakie w życiu swoim przechodzi człowiek, nie stanowią dlań granicy z góry nakreślonych epok, które go przeobrażają tak, jak wiosna przeobraża pyłek nasienia w kiełkującą łodygę rośliny, jak słońce i ciepło przeobrażają wstrętą liszkę w motyla?

— Jeżeli przypuszczenie to prawdziwe — myślał w dalszym ciągu — to przeszłość człowieka odrodzonego jest wstrętnym, brudnym kokonem, do którego nie wraca tęczy motyl...

Był jeszcze bardzo osłabiony. Nogi drżały mu, gdy sam, bez pomocy siostry, posuwał się wolnym krokiem wzdłuż alei lipowej ku grabowemu szpalerowi. Umysł jego kombinował leniwie, lecz kombinował uparcie, ciągle. Niekiedy ta nieustająca praca refleksyi męczyła go: czuł wówczas pewne zniecierpliwienie, które mijało powoli. Rozglądając się następnie dokoła siebie, witał każdy objaw wschodzącego życia, jako coś nowego, coś, co i jego odradza powoli...

Dla przeszłości czuł rosnącą w piersiach swoich coraz silniej instynktowną wzgardę.

Ilekoć błyskawiczny rzut pamięci wskrzeszał ją w umyśle jego, natychmiast żywe jeszcze, niczem niezatarte wspomnienia majaczeń przebytej gorączki mąciły blade jej obrazy. Przyszłość rysowała mu się w formie nieuchwytnych, słabo skryształizowanych marzeń, które powstawały w rozbudzonej, drugiej jakby świadomości, w innym „ja,” które od czasu choroby czuł w sobie wyraźnie...

Odkąd poraz pierwszy wyszedł z pokoju swego, wiosna dawała dni pogodne, niebo bez chmur i złote, ciepłe, ożywcze promienie. Kochał je: kładąc się do łóżka wieczorem po całodziennem błądzeniu w ogrodzie, myślał o jutrze, pełnem barw, słonecznem, jasnem; sądził, iż życie jego całe zmieni się odtąd w jeden świetlny, wiosenny ranek.

Któregoś dnia Marynia, wyprowadziwszy go do ogrodu w południe, kiedy na gałęziach drzew świegotały wróble, a z daleka, z nad pól i łąk, dolatywał śpiew skowronków, spytała:

— Czy pamiętasz wiosnę rok temu? Chodziliśmy po ogrodzie, tak samo, jak teraz, tylko z nami był ktoś trzeci...

On nic nie odpowiedział: przygryzłszy wargi, sięgnął po gałązkę dzikiej porzeczki,

której nie mógł zerwać, gdyż palce miał zbyt słabe.

Marynia podała mu gałązkę. Gdy doszli do altany z głogu, w której kilka jaskólek budowało gniazda swoje, rzekła:

— Usiądź, musisz być zmęczony; zanadto dziś chodzileś...

Posunęła mu szal na poręcz ławki, aby oparcie było miękkie i wyjęła z kieszeni książkę, którą miała czytać mu głośno.

Patrząc na jaskółkę, która zносиła żdźbła traw i słomy do swego gniazda, myślał:

— Czy ona wie, że niegdyś sama była pisklciem? Czy pamięta o tem? Czy obchodzi ją przeszłość jej życia?

Marynia wysunęła z za obłożenia książki arkusik papieru listowego, złożony na pół, zapisany drobnem, gęstem pismem. Położywszy rękę na ramieniu Edmunda, odezwała się:

— Dostałam dziś list, który ciebie dotyczy i więcej pisany jest do ciebie, aniżeli do mnie: czy chcesz, żebym ci go przeczytała?

Patrząc uparcie na jaskółkę, wijącą gniazdo wśród gałęzi głogu, zdawał się nie słyszeć słów siostry.

Wówczas Marynia, stanąwszy przed nim

tak, że zasłaniała sobą gałęzie głogu i skrzydła jaskółki, rzekła uroczystym głosem:

— Edmundzie, Anna ma prawo żądać widzenia się z tobą: dotąd—ogólnikami starałam się naprowadzić cię na to, abys wspomniał, że pragniesz ją zobaczyć. Dziś mówię otwarcie, widząc, że nie rozumiesz, albo nie chcesz rozumieć słów moich.

Spuścił głowę; przez chwilę zdawał się wahać, ważąc odpowiedź, w końcu odparł:

— Niecierpię jej, — i, podniósłszy się z ławki, wolnym krokiem, podążył ku domowi, mijając aleję lipową i skrzyżowanie grabowego szpaleru.

Marynia tego dnia długo siedziała przy biurku w swoim pokoju, nie wiedząc, co napisać do Anny. W końcu rzuciła na papier trzy słowa:

„Cierpliwości, jeszcze cierpliwości!“

.

Edmund zaczął unikać towarzystwa Maryni. W pokoju zamykał się przed nią. Do ogrodu schodził najczęściej sam, niepostrzeżenie. Siły jego wzrastały z dniem każdym. Stąpając coraz śmieiej, coraz dłuższe odbywał wycieczki. W końcu błędzenie tam i na-

powrót wzdłuż jednych i tych samych ścieżek, wśród drzew i klombów, których znał każdy listek, sprzykrzyło mu się. Uczuł potrzebę zajęcia uwagi swojej czemś odmiennem. Postanowił czytać.

Na biurku, w pokoju jego, leżał tom poezyi modnego autora; schodząc do ogrodu, Edmund wziął go ze sobą.

Poeta pisał o kwiatach, słońcu, miłości, o parze rozstających się na wieki kochanków, o tęsknocie sieroty za matką, którą pochowała...

Rytmika słów i modulacja wierszy bawiły go z początku, po chwili czytania jednak uczuł pewne znużenie; mgła na oczach przysłańiała mu wyrazy. Ziewając, złożył książkę i po dawnemu zaczął rozglądać się dokoła siebie.

Nad głową jego świeciło jasne słońce. Narcyzy, konwalie i jaśmin, nad którymi fruwało kilka motyli, dusiły oddech mdłym, słodkim zapachem. Od strony łąki, za ogrodem, wśród której sterczała kulista ciemnozielona polna grusza, dolatywał powiew chłodnych rannych oparów.

Wstał i, chodząc zwolna wzdłuż zwirem wysypanej ścieżki, śledził wzrokiem kołyszące

się w błękitnawych smugach powietrza motyle. Gdy ostatni z nich zniknął w gałęziach jaśminu, zerwawszy liść łożu, wyrosły na skraju ścieżki, pomyślał:

— Trwanie motyla — to trwanie jednej doby...

Następnie, rozrywając powoli żyłki liścia, pytał sam siebie:

— Jaki cel mają barwy tęczy, które przyroda daje skrzydłom owadów? Czy przeznaczeniem ich łagodzić, czy też przez prawo kontrastu, wzmacniać wstręt nasz do brzydkich, wynaturzonych tworów przyrody? Co we wszechświecie przeważa: piękno czy brzydota? Jakie wrażenie w umyśle ludzkim trwa dłużej: wrażenie piękna czy brzydoty?

Chodząc wzdłuż tarasu przed domem, myślał, rozważał; w końcu, siadając na ławeczce pod gałęzmi bzu, zaczął szukać czegoś po kieszeniach ubrania i między kartkami książki, którą tzymał w rękach.

Znalazłszy przy sobie ołówek, zdjąwszy z książki biały papier obłożenia, zaczął pisać:

...Na łące, niedaleko stawu, pod cieniem pękatej, nieforemnej gruszy, w zwiniętym rogu wielkiego liścia łożu, wykluło się z dro-

bnych, białych jajeczek ośm brzydkich, żarłocznych liszek.

...Uzbrojone w zazębione, silne szczęki, z masą oczów, dziewięcioma parami nóg wdrapywały się po korzeniach i pniu na gałęzi gruszy, snując dokoła siebie ochonną przedzę, błyszczącą w słońcu, jak złoto.

...Oskubawszy liście, wyssawszy z nich soki, najedzone, nie miały siły wracać do gniazda: przyczaiły się przez noc, gdzie mogły, aby rano, jak tylko słońce wejdzie, jeść na nowo.

...Jedna z nich, ciężka, ogromnie syta, nie mogąc się utrzymać na gałęzi, spadła na szyję pani, która usiadła pod gruszą. Pan, wachlujący panią, dostrzegł ją i odrzucił na bok ze wstrętem, tak, że rozbita o kamień, nie żyła nawet kwadransa.

...Pani otrząsnęła się, mówiąc:

— Jakie to brzydkie!

...Nie mogła zapomnieć lepkiego, kosmatego ciała, które dotknęło jej szyi. Podniósłszy się szybko, powiedziała, iż nie chce siedzieć tu dłużej. Odeszła daleko, a jeszcze wstrząsała głową i ramionami z obrzydzeniem.

...Drugą, trzecią i czwartą liszkę zabrali chłopcy z drzewa, sięgając po kwaśny owoc na ulęgalki. Cztery ostatnie ze wszystkich ośmiu widziały śmierć sióstr. Były mniej żarłoczne, aniżeli tamte, więcej miały siły, aby wzdłuż pnia i korzeni spełznąć do gniazda, na wielki liść łopianu.

...Zasnuły się złotą przedzą.

...Zbite w jedną gromadkę, postanowiły czekać następnego dnia z odbyciem świeżej wędrówki. Czy leżały obok siebie dzień, czy dwa dni, czy dłużej? — nie wiedziały: Jedna z nich zaczęła się ruszać niespokojnie. Długo jej wąskie ciało przybierało dziwaczne kształty: grubiejąc w środku, zwężało się od końca. Masy oczów zbijały się w dwa duże punkty po bokach głowy, z której wyrastała para pierzasto zakończonych rożków. Warga dolna wydłużyła w zwinięty smoczek. Jeszcze słońce nie wstało, gdy po obu stronach zgrubiałego korpusu, jak rozwinięte wachlarze, wystrzeliły cztery pary skrzydeł o tęczyowych barwach, pokryte łuseczką, drobną jak pyłek.

...Trzy liszki spały w kokonach, nie widząc przeobrażenia siostry. Motyl wzbił się do słońca. Rozgrzany ciepłem, oślepiiony bla-

skiem, spadł na kielich kwiatu, którego słodczych wyssał.

...Pani, po szyi której pełzała wczoraj żarłoczna liszka, chodząc po ogrodzie, spojrzała na gałązkę jaśminu, na której kołysał się motyl o różnobarwnych skrzydłach.

— Jaki on piękny! — zawołała do towarzyszącego jej pana.

...Wieczorem wróciwszy do domu z długiego spaceru, jeszcze powtarzała:

— Jaki on piękny! jaki piękny.

...Przez noc zapomniała o nim tak, jak wczoraj zapomniała o brzydkiej liszce.

...Nakarmiony słodyczą, marząc o ciepłym słońcu, motyl zasnął na białym krzaku.

...Powiał wiatr od zachodu, spadła chłodna rosa.

...Otworzył oczy. Żle mu było: nie widział dnia jasnego; drżał z zimna. Zmrużwszy oczy, zaczepiony o gałązkę jaśminu, zasnął znowu i—nie obudził się już wcale...

...Z trzech pozostałych liszek wykłuły się nazajutrz trzy motyle: jeden—czarny w żółte koła i prążki, drugi—czerwony, nakrapiany złotymi centkami; trzeci—liliowy z białą obwódką po bokach skrzydeł.

...Czarny żył od rana do wieczora, fruując z róży na jaśmin, szukając w trawie fijołków. Gdy słońce zaszło, umarł na krzaku okwitającego bzu, zmęczony całodzienną pracą.

...Czerwony, zaledwie wzbił się nad liść łopianu, padł, porwany nagłym pędem wiatru, na kamienie, gdzie dziewczynka, goniąca owady, schwyciła go w siatkę.

...Liliowy z białymi obwódkami po bokach skrzydeł, nie wysysał słodkich pyłków z wnętrza kwiatów, nie siadał na gałęziach drzew i krzewów, tylko biegł do słońca. Coraz było mu jaśniej i jaśniej. Gorąco nie parzyło go: chciał stopić się w blasku.

...Nim południe nadeszło, opadł na ziemię bez tchu, ze zwieszonymi skrzydłami i—nie wzbił się do słońca już ani razu...

.

Marynia, patrząc na Edmunda w tej chwili, gdy ręka jego, jeszcze trochę drżąca, wodziła ołówkiem po papierze, napisała do Anny:

„Zaczyna wracać do życia. Dziś czytał trochę. Teraz, na sarasie, przed kłębem bżów, widzę go, jak pisze. To dobry znak: tak lubił dawniej, po skończeniu musowych zajęć

swoich, pisać. Wieczorem odczytywaliśmy razem wiersze lub opowiadania prozą, które tworzył.

„Oh, gdyby dawne dobre chwile wrócić mogły jaknajprędzej! Tak smutno, jednostajnie upływają nam dni! Edmund nikogo jeszcze z obcych nie dopuszcza do siebie. O tobie nie wspomina dotąd. Od chwili, w której po raz ostatni mówiłam z nim o twej tęsknocie, o tem, iż pragniesz go zobaczyć, — unika mnie widocznie. Chodzi sam po ogrodzie. Gdy jesteśmy razem, nie odzywa się do mnie.”

„Ta jego obojętność nie może potrwać długo. W tej chwili lekarz każe jeszcze uważać go jako rekonwalescenta. Twierdzi on, iż choroby gorączkowe wywołują przewroty w organizmie, oddziaływające wielce na umysł i ustępujące dopiero z zupełnym powrotem chorego do sił pierwotnych i zdrowia. Edmund dziś wygląda już znacznie lepiej; w oczach jego jednak widzę, iż śpi jeszcze snem obezwładnienia.”

„Bądź cierpliwa, droga moja. Kochamy go obie. Ja pragnę szczęścia waszego. Bądź

cierpliwa. Za tydzień, za dwa tygodnie najwyżej, zobaczysz go może!”

.

Edmund wstał. Pisanie zmęczyło go. Podarł opowiadanie o motylach w kawalki.

Nie miał ochoty wracać do domu; nie miał ochoty chodzić po ogrodzie; nie miał ochoty czytać.

Co będzie robił cały dzień? Słońce jeszcze nie obieżyło połowy firmamentu; do zmierzchu daleko; godziny płyną powoli: co będzie robił?

Pierwszy raz od czasu choroby doznał uczucia nudy, tej strasznej, rozziwanej nudy, która gnębi i obezwładnia! Pierwszy raz od czterech miesięcy zastanowił się nad pytaniem:

— Co robiłem dawniej? Czy nudziłem się tak samo?

Myślał i na razie nie mógł przypomnieć sobie, w jaki sposób schodziły mu ranki, południa, wieczory. Pracował, ale jak pracował?

Chodząc po najdalszych zaułkach ogrodu, szukał czegoś, coby mogło zająć go tak, jak wczoraj zajmowało przypatrywanie się pi-

skłębom jaskółki, karmionym przez matkę, jak onegdaj — śledzenie mrówek w mrowisku, jak tydzień i dwa tygodnie temu zastanawianie się nad kielkującą łodygą rośliny. Wszystko nudziło go i niecierpliwilo dzisiaj. Był niezadowolony sam z siebie, ze słońca, które świeciło, z ptaków, świergocących nad jego głową.

Przyśpieszywszy kroku, dotarł do grupy topoli, wyrosłych na granicy między zwężoną szycją ogrodu a początkiem dzikiego parku.

Zatrzymał się.

— Dlaczego nie byłem tu dotąd? — zapytał sam siebie, spoglądając dokoła.

Za grupą topoli i krzakami dzikich malin, tworzących rodzaj żywopłotu, w drewnianem ogrodzeniu parku wybita była mała furtka, którą dostrzegało się wyraźnie, podszedłszy do niej zbizka.

Staął przed nią. Przez chwilę znać było w twarzy jego wahanie; zastanawiał się, czy otworzyć ją i wejść do parku, czy też wrócić do domu, gdzie czekała na niego z obiadem Marynia.

Kilka razy obejrzał się za siebie, jak gdyby nadsluchując, czy kto nie podąża za

nim? Wzrok jego wyrażał trwogę i pewne zaniepokojenie.

Naraz chwycił ręką za klamkę.

Nad głową jego furknęła jaskółka, sfruwająca z gałęzi topoli na gałąź leszczyny w parku. Trzepot jej skrzydeł wydał mu się głośnym hałasem. Przeszedł szybko drewniany most, rzucony przez szerokość wąwozu, dzielącego ogród od parku, w chwilę potem był już daleko od kresu zwykłych swych przechadzek.

Biegł dosyć prędko. Zdawało mu się, iż ktoś podąża za nim. Słyszał wyraźnie głos, który wołał:

— Wróć się! Nie chodź tak daleko!

Nie wrócił. Coś popychało go naprzód. Biegł wciąż przed siebie, nie zdając sobie sprawy, dokąd i dlaczego biegnie?

Minął przestrzenie, zajęte grupami dębów i leszczyny; minął małą polanę, na której pastuch pał bydło; minął wreszcie aleję świerków, których cień grobowy owiał go chłodem. Wzrok jego uderzył obszar stawu, za którym w perspektywie widniała łąka, wstawiona w oprawę wierzb i topoli. Doznał wówczas lekkiego zawrotu głowy; mimo to, nie cofnął się i nie zwolnił kroku.

Okrążywszy staw wydeptaną w murawie ścieżką, dotarł do wązkiej, żwirem usypanej alei, prowadzącej ku wzgórzu, którego wierchołek i pochyłość obsadzone były szeregiem brzoź płaczących.

Uczuł silne zmęczenie. Całym ciężarem ciała opadł na jedną z ławek, stojących pod cieniem brzoź.

Z początku nic nie widział i nic nie słyszał dokoła siebie. W uszach mu szumiało. Przed oczami skakały ciemne koła i plamy; oddychał ciężko, puls w skroniach i sercu uderzał szybko.

Powoli jednak zaczął wracać do równowagi. Szum ustępował; migawki znikały z pod powiek; tętno serca i skroni uderzało coraz wolniej; oddech przynosił płucom chłodny, orzeźwiający przewiew powietrza.

Niespokojnym, trwożliwym, a jednak bawczym wzrokiem rozglądał się dokoła.

Naprost wzgórza, za ogrodzeniem parku, wznosił się wielki czerwony budynek o szeregu dużych, równymi liniami na kilku piętrach wstawionych okien, o paru wysokich, nad murami gmachu sterczących kominach.

Dym z wązkich ich szyjek wzbijał się pionową wstęgą ku górze. Warczenie kół

parowych maszyn, huk młotów, nawoływania robotników, gwizd świstawek dolatywały stamtąd wyraźnie, niesione lekkim podmuchem wiatru, który wiał od strony fabryki.

Edmund wpatrzył się w kłęby dymu, buchające ciemną, gęstą masą, wsłuchał w gwar i stuk, dochodzący uszów jego coraz wyraźniej.

Coś mu to przypominało. Doznał wrażenia człowieka, przyprowadzonego z zamkniętymi oczami do miejsca, którego nazwy nie wiedział. Po zdjęciu opaski z oczów, każdy kamień, każde drzewo, każdy szmer najbliższy budził w nim wspomnienia przeszłości... dawnej, chyba bardzo dawnej, gdyż pamięć goniła ją, jak sen, trudny do pochwycenia, jak echa innego życia, które, zdawało się, że zgasło, które wraca jednak, walcząc o prawo bytu dla siebie.

Patrzył i słuchał. Na razie, krew zbiegła mu z policzków, wargi drżały, powieki poruszały się szybko: był pod silnem, ogłuszającym wrażeniem... Stopniowo jednak uspokajał się,

Powoli, od szczegółu do szczegółu, przypominał sobie, czem były dla niego czerwone mury fabryki, czem gwizd świstawek i ten

gwar głosów, zwiastujący grupę ludzi, zebranych do pracy.

Mgła opadła mu z oczów; do myśli napływała jasność.

— Tam, tą małą furtką, wybitą w czerwonym murze parkanu, przychodziłem tu codzień: tam pracowałem—mówił sam do siebie, wodząc palcem w kierunku zabędowań fabrycznych.

Spostrzegłszy kilkunastu robotników, którzy wyszli z wnętrza fabryki, aby przygotować formę dla odlewu żelaza, myślał w dalszym ciągu:

— Oni mnie słuchali: ja im rozkazywałem. Jak to było? Jak było?

Siedząc na ławce, zasłoniwszy oczy rękami, przypominał sobie przeszłość.

Zdawało mu się, że całe długie lata dzieliły ją od niego, że między ostatnią jego bytnością w fabryce, a chwilą terażniejszą, zapadła wielka próżnia, której granic umysł nie umiał pochwycić.

Podniósłszy głowę i spojrzawszy znowu na czerwone mury fabryki, powiedział sobie.

— Nie wrócę tam nigdy.

Zdawało mu się niepodobieństwem, aby mógł znieść zbliśca hałas i stuk, który, dola-

tując do niego słabem zaledwie echem, raził jego słuch; aby mógł rozkazywać gromadzie ludzi, kiedy dotąd każdy obcy człowiek, co zbliżał się do niego, napelniał go obawą, wstrętem, niechęcią; aby myśli jego, które przywykły błędzić swobodnie, dały się ująć w karby form, z góry narzuconych umysłowi przez musową pracę.

— Nie wrócę tam nigdy! — powtarzał, patrząc z brzozowego wzgórza na ciemne dymy kominów.

— A jednak...

Pamięć i trzeźwa świadomość, budziły się w nim coraz wyraźniej, natrętniej, usilniej; głos wewnętrzny powtarzał mu:

— Będiesz tam pracował, jak pracowałeś dotąd...

W piersiach jego powstawała już nie instynktowna, lecz świadoma siebie wżgarda dla poziomych, lichych zajęć życia codziennego, dla pracy, która zapewniała mu niegdyś byt powszedni.

— Więc z drobnego pyłku nasienia może wyrosnąć kwiat białej lilii, z kokona potwornej gąsienicy może wykluć się motyl o tęczyowych skrzydłach, a człowiek, jak żółw skorupę, lub ślimak konchę muszli, wiecznie

i nierozłącznie dźwigać musi przeszłość swoją? Choćby odrodził się umysłem, siłami, całem jestestwem swoim, to, co było, dawną pracę, dawne stosunki, dawny tryb życia wlec musi za sobą, jak cień sobowtóra?

Z niechęcią wstał. Schodząc ze wzgórza, ani razu nie spojrzął za siebie, na mury fabryki. Czuł gorycz w sercu. Zdawało mu się, że słońce wiosenne pociemniało nagle; że prawo konieczności ścisnęło mózg jego klezczami, tłumiąc polot myśli, które dotąd, swobodne, jak motyle, szybowały w przestrzeni.

Tego dnia był bardzo opryskliwy dla siostry. Marudził z odpowiedzią, gdy służący pytał go, czy podać obiad.

— Już nigdy, nigdy tam nie pójde! — mówił sam do siebie, myśląc o ostatniej swej wycieczce.

Nazajutrz, za ledwie wstał, skierował kroki ku małej furtce za grupą topoli i krzakami malin. Coś ciągnęło go do parku. Cień świerków wydał mu się mniej grobowy, aniżeli wczoraj. Zachwyciła go błyszcząca w słońcu srebrna łuska stawu. Przystanąwszy nad wodą, patrzył na pluskające złote karpie, które chwyciły z powietrza drobne muszki

i owady. Trochę zwlekał z wejściem na brzozywy wzgórek, oczy jego jednak mimowolnie zwracały się co chwila w stronę drzew, bielejących korą pni i płaczących długimi, ku ziemi obwisłymi gałęzmi.

Gdy tym razem usiadł na ławce, pod cieniem najstarszej brzozy, gwar i stuk, do latujący z fabryki, wydał mu się jakiś swójski, sprawiał mu pewną przyjemność. Wyteżając słuch, aby nie stracić najmniejszego odgłosu, wzrokiem śledził każde poruszenie robotników, snujących się wzdłuż podwórza zabudowań fabrycznych.

Przesiedziawszy parę godzin na wzgórzu, z niechęcią wracał do domu. Gdyby nie głód, który mu dokuczał, byłby pozostał tu do samego zmierzchu. Odtąd codzień po kilka razy wymykał się do parku, aby z pod cienia brzoź patrzeć na mury fabryki.

Raz, siedząc na ławce i przypatrując się pracy robotnika, wyrzucającego żużel tam, gdzie leżała ruda do przetopienia, miał ochotę wstać i zawołać:

— Daj pokój, co robisz? Posuń wózek dalej!

Już wstał i kiwając ręką na robotnika, chciał zwrócić na siebie jego uwagę, gdy

w tem spostrzegł nadchodzącą zdaleka Marynię.

Przygryzłszy wargi, usiadł na ławce, wyjął książkę z kieszeni i z pozorną obojętnością zaczął przerzucać jej kartki.

Drażniło go to, gniewało i oburzało, że Marynia zbliżała się ku niemu.

— Dlaczego ona mnie śledzi? Dlaczego nie zostawia mnie w spokoju? — mówił sam do siebie, uderzając nogą o korzenie brzozy ze zniecierpliwienia.

Marynia usiadłszy przy nim, nie patrząc na niego, mnąc kartkę papieru w palcach, rzekła:

— Anna wyjechała wczoraj i nieprędko zapewne wróci.

Anna! Jak dziwnie zabrzmiało to imię w jego uszach! Kilka razy podczas jego choroby i potem, kiedy już wstał z łóżka, Marynia wymawiała je: nigdy nie zrobiło na nim takiego wrażenia, jak w tej chwili.

— Anna, Anna, Anna! — powtarzał myślą.

Na razie nic nie odpowiedział siostrze. Pamięcią gonił jakiś obraz, sen innego życia, życia, które przeszło i nie miało wrócić już nigdy!

Anna! Widywał ją w majaczeniach gorączki, jako żebraczkę, grożącą mu wychudłemi rękami i skazującą go na śmierć. Niecierpiał jej wtedy... Niecierpiał jej potem, póki pamięć majaczeń żyła wyraźnie w jego umyśle.

Teraz—co mogły obchodzić go majaczenia gorączki?

Anna, Anna, Anna!

— Kiedy wyjechała? Dokąd wyjechała?—zapytał machinalnie, rysując końcem laski koła i linie na piasku wąskiej ścieżki.

Marynia spojrzała na niego. We wzroku jej przebijała się badawczość.

— Wczoraj — odpowiedziała głośno, wyraźnie, akcentując każdą zgłoskę; Edmund nie mógł nie słyszeć jej, pomimo to zapytał powtórnie:

— Kiedy wyjechała?

Marynia przerwała mu pytanie w połowie.

— Byłeś dla niej niedobry — rzekła, nie patrząc na niego, obrywając liść po liściu z gałązki brzozy, którą trzymała w ręku. Mówiła szybko, niecierpliwie, nie ważąc słów, chcąc zrzucić jaknajprędzej ciężar, który przyniatał jej myśl.

— Byleś dla niej niedobry — powtórzyła. — Lekceważyłeś ją, odrzucałeś od siebie, gdy przyjechała pielęgnować cię w chorobie. Teraz—próżno czekam, abys wspomniał o niej. Los jej zdaje się nie obchodzić ciebie zupełnie. Złamałeś jej życie. Ona ciebie tylko kocha i nie pokocha już nigdy nikogo...

Schodzili z brzoźowego wzgórza. Marynia wzięła pod rękę brata, który dziś był posłuszny, jak dziecko i ani jednym giestem, ani jednym spojrzeniem słów jej nie prze-rywał.

— Jeszcze czas naprawić wszystko—mówiła w dalszym ciągu. — Nie bądź okrutny. Jeżeli śpisz jeszcze w odrętwieniu choroby, to zbudź się: ja cię budzę, ja proszę, abys dziś, jutro napisał do niej...

Edmund zdawał się słuchać siostry uważnie w pokornym skupieniu. Słowa jej brzmiały w uszach jego wyraźnie: mógł każde z nich powtórzyć wiernie, naksztalt automatu, utrwalającego sztucznie dźwięki. Nie zastanawiał się jednak nad treścią ich, nie szukał jej; majaczyła ona w umyśle jego słabemi zaledwie, ciemnymi zarysami.

— Anna! — powtarzał bez końca poruszeniem warg, które drżały lekko.

Brzmienie tego wyrazu upajało go. Nigdy dotąd żaden wyraz nie wydawał mu się tak piękny, jak ten, który w tej chwili zalewał każdy zakątek jego mózgu, drgał w każdym nerwie czucia i słuchu:

Anna!...

Nie byłby umiał na razie określić dokładnie rysów jej twarzy, nazwać koloru oczów, barwy włosów, pamiętał jednak, że miała usta, jak płatki róży, usta, które niegdyś całował.

Tego i następnego dnia był milczący, zamyślony, skupiony w sobie; nie wychodził prawie za próg swego pokoju. Siedząc przy oknie, patrzył na pola i łąki, które odbijały się we wzroku jego naksztalt tła martwej dekoracyi. Trzeciego dnia dopiero przyszła mu ochota zejścia na taras ogrodu, wieczorem, w porze, o której zwykle kładł się do łóżka, zmęczony całodziennem błędzeniem po zaulkach ogrodu i parku.

Noc wschodziła cicha, ciepła. Sierp księżycy połyskiwał z za grupy topoli. Słowik śpiewał w krzakach kwitnącego bzu. Wiosenne szmery drgały w przestrzeni, szeleszcząc srebrną rosą na liściach drzew i pąkach trawy, odzywając się rzechotaniem żab w sta-

wie parku i cykaniem polnych koników na łąkach.

Marynia grała nokturn, ten sam, do którego niegdyś napisał wiersze...

Okrążywszy kilkakrotnie główny taras ogrodu, wszedł na werandę i stanął w progu drzwi, prowadzących do mieszkania.

Śluchając nokturnu, którego dźwięki przez otwarte okna płynęły na pola i łąki, powtarzał w takt melodyi sonet o dziewczynie z białą różą na piersiach, o chłopcu, który zdjął białą różę, ucałował ją i ucałował jasne włosy, białe czoło dziewczyny... Róża nie zwiędła, czoło dziewczyny nie straciło blasku; usta jej szepnęły: „tyś mój!” cicho...

Pamiętał każdy wyraz wierszy, jak gdyby napisał je przed chwilą...

Rok temu wręczył je Annie. Rok temu, nie więcej, jak rok, tu w ogrodzie, pod cieniem gałęzi głogowej altany, powiedział jej po raz pierwszy, że ją kocha i po raz pierwszy ucałował jej usta!

Marynia grała. Sierp księżyca płynął wśród szafirów nieba i gwiazd migotliwych. Noc wiosenna drgała tajemniczym szeptem wschodzących oparów. Słowik śpiewał, ukryty na gałęzi kwitnącego bzu.

Anna, taka, jaką znał, jaką kochał, ukazała się w pamięci jego wyraźnie. Byłby mógł narysować w tej chwili każdą niebieską żyłkę jej skroni, każdą linię ust, rozchylonych do uśmiechu, każdy pukiel włosów, okalających czoło jej i szyję.

Wyciągnął ręce w ciemną próżnię, jak gdyby dla pochwycenia cienia, który snuł się przed nim w zmroku nocy. Opuścił je jednak szybko; opuściwszy, przybrał wyraz twarzy człowieka, który doznał bólu rozczarowania.

Biała wstęga oparów opasała przestrzeń łąk drzemiących; rosa błyszczała na kępach traw i kiściach kwiatów; księżyc płynął coraz wyżej i wyżej, lśniąc srebrnym sierpem, przerywając puchy mlecznych obłoków: w końcu skrył się znowu za grupę topoli, majaczących w oddaleniu. Długie cienie zaległy taras przed stopniami werandy. Rzechotanie żab przycichało; słowik sfrunął z gałęzi bzów i poleciał śpiewać do parku. Noc rzuciła spokój i ciszę dokoła.

Edmund poruszył się; twarz jego zdradzała powzięte nagle postanowienie. Wolno, ostrożnie wszedł po stopniach schodów do swego pokoju na górę. Długo stał przy

oknie, głowę zwiesiwszy na piersi, zapatrzony w cienie nocy, pełzające wzdłuż tarasu i kłombów ogrodu. Nakoniec zapalił światło, usiadł przy biurku i drżącym na razie piórem zaczął list do Anny.

„Przeszłość ocuciła się we mnie—pisał.—Wracam do życia z tęsknotą w sercu za tobą. Marzę o twych ustach, które chcę całować, o białych miękkich rękach, których nie pieściłem tak dawno!...

„Jeżeli myśl, jak światło, głos, ciepło, promieniuje w przestrzeni, słyszysz mnie w tej chwili, czujesz szept mój i uścisk, którym przyciągam cię do siebie...

„Mówią, że choroba odradza: we mnie odrodziła ona miłość dla ciebie. Kocham cię podwójnie: raz, jako najdroższą moją, do której tęsknię tak bardzo, — drugi raz, jako serdeczną, dobrą, drogą przyjaciółką, która cierpiała przezemnie...

„Wybacz, co nie było moją winą; wybacz obojętność, którą dręczyłem cię tak długo!

„Siły moje wzmocnione; dawna energia budzi się we mnie; chcę pracować i śmieję się sam z siebie, że przez chwilę gardziłem tem, co dotąd było mi drogą.

„Los rozłączył nas, prowadząc i mnie i ciebie przez drogę krzyżową do szczęścia.

„Nie wątpię, że kochasz mnie, jak damniej. Nim list ten dojdzie do rąk twoich, sam stanę przed tobą, wielki grzesznik, powinien przebaczenia. Nic i nigdy odtąd nie powinno nas rozdzielić: zawsze musimy być razem. Złota, jasna przyszłość, którą widzę przed nami, zaćmi wspomnienie bólu, jaki ci bez woli swojej sprawilem.”

Lampa gasła. Sierp księżycy i gwiazdy na niebie bladły. Szary świt zalewał pokój, w którym Edmund, siedząc przy biurku, pisał.

Coraz to nowe, coraz barwniejsze, skrzące miłością, rozżalone tęsknotą, słowa gorących uniesień oblegały mu umysł, cisnąc się pod pióro.

Notował każde z nich. Oczy jego błyszczały; usta drżały; twarz pałała. Zdawało mu się, że nie skończy listu nigdy...

Jutrzenka różowiła blaskiem widnokrąg na wschodzie: on jeszcze pisał.

Wreszcie pióro samo wypadło ze zmęczonych fizycznym wysiłkiem palców jego. W ubraniu rzucił się na łóżko i przespał pół doby.

Gdy przed wieczorem obudził się, zdziwiło go, iż do okna jego pokoju zaglądały liście rozwiniętych kwiatów kasztanu, że jasno, widno, ciepło w przestrzeni.

Śnił o chłodnym, mglistym, grudniowym zmierzchu, w którym wracał z fabryki i śpieszył się bardzo do domu, gdyż wiedział, iż zastanie tam Annę, która przyjechała odwiedzić Marynię.

Tydzień czasu dzielił go wtedy od dnia ślubu. Co się stało? Dlaczego nie było przy nim Anny w tej chwili?

Rozespany, przecierając oczy, długi czas nieprzytomnie rozglądał się dokoła. Wreszcie przypominał sobie, że od owego grudniowego zmierzchu do chwili teraźniejszej, upłynęło kilka długich miesięcy...

Wydały mu się one odległe, jak inne życie, jak sen niemowlęctwa, w którym rosną i rozwijają się utajone w organizmie siły.



SPIRYTYSTKA.

Zmierzch zapadł już dawno. Julia, chodząc wzdłuż saloniku po miękkim dywanie, który tłumiał jej kroki, wyczekiwała codziennych swoich gości, panów: Gustawa, Teodora i Antoniego. Co chwila stawiała przy oknie, aby wyrzec na ulicę i, pełna zawodu, z niechęcią następnie odwracała się od brudnych, zabłoconych trotuarów.

Deszcz padał ulewny. Szare smugi łączyły niebo z ziemią; wiatr pędził je od wschodu na zachód, ciskając część ich na szyby okien.

— Pewnie już nikt nie przyjdzie — pomyślała Julia, kończąc wędrówkę swą wzdłuż pokoju.

Czuła żal do przyjaciół, których odstraszyła ulewa. Nie wyobrażała sobie, jak spędzi długi wieczór jesienny sama, zupełnie sama. Zadzwonwszy na służącego, kazała mu

zapalić światło; przeszła następnie w głąb salonu i usiadła na miękkiej, niskiej kanapce, postanawiając czytać.

Na okrągłym, niewielkim stoliku tuż przed nią leżała książka, po którą wyciągnęła rękę.

Tytuł jej brzmiał:

„Spirytyzm w świetle badań najnowszych.”

Parę godzin temu przyniesiono ją z poczty.

Edmund, malarz, który przed rokiem, tak samo jak teraz Teodor, Gustaw i Antoni, należał do codziennych jej gości, bawiąc obecnie w Paryżu, przysłał jej pracę przyjaciela swego, z prośbą, aby przeczytała ją w chwilach samotności i z dobrą wolą, bez sceptycznej ironii, z jaką pozytywiści witają każdy przejaw myśli sprzecznych obozów.

Edmund oddawna był spirytystą. Teoria jego, wzmocniona tchnieniem mistycyzmu, więcej z kilku salonów i buduarów paryskich, wśród których obracał się, przeszła w gorący prozelityzm. Serdecznemi słowy, pełnemi ufności w apostołstwo swoje, namawiał Julię, aby stanęła pod jego sztandarem.

„Wiara w coś, co istnieje po za sferą

zmysłów naszych, w coś, co pochwycić, nazwać i określić nam trudno, a co jednak ma prawo bytu za sobą, wywyższa człowieka, odrywając go od szarej powszedniości życia” — pisał.

Następowało potem wyliczenie świetnych wyników, jakie szereg posiedzeń spirytystycznych przyniósł w ostatnich czasach jemu i kilku jego przyjaciółom.

„Trzeba tylko oddać się nowemu temu prądowi z ufnością i pewnem zaślepieniem” — pisał.

„Najlżejszy cień zwątpienia odbiera siłę myślom, które pragną obcować ze światem, dotąd nieznanym.”

„Jeżeli namowy moje — ciągnął dalej — skłonią panią do pierwszej próby ćwiczeń spirytystycznych, proszę oddać im się z serdecznem, ciepłem uczuciem dla owych istot nadprzyrodzonych, które zechcesz zwabić do siebie. Duchy, roztopione w atomach powietrza, żyją i myślą tak jak my, wzniosłej, doskonalej od nas. Głos ich powinien prowadzić nas w krainę jasności i bezwzględного dobra.”

List Edmunda przyszedł w chwili, w któ-

rej Julia, jak zwykle, zaczęła oczekiwać codziennych swych gości.

— Będziemy mieli dziś o czem mówić— pomyślała, rozcinając kartki niewielkiego, rysunkami wywoływanych duchów, ozdobionego tomiku.

Cieszyła się z góry tematem wieczornej gawędy z przyjaciółmi. Lekka ironia drgała w kącikach jej ust, podczas czytania listu i przeglądania książki.

W jasnym, ciepłym, grupami niskich miękkich kanapek zastawionym jej saloniku, odbywały się zwykle długie rozprawy: Antoni—filozof, Teodor—doktor, Gustaw—przyrodnik, schodząc się u niej wieczorami, poruszali najżywotniejsze zagadnienia wiedzy. Ona słuchała ich pilnie i kierowała poniekąd formą pogawędki. Umiała zawsze w porę rzucić sceptyczny dowcip, podtrzymujący ruch dysputy i jej ożywienie; nie dopuszczała sprzeczek nigdy do martwego punktu, to jest do chwili, w której przeciwnicy z uporem i zaciętością zaczynają obstawać przy raz wypowiedzianych argumentach, nie szukając już nowych dla obrony tez swoich, wirując w błędnem kole jednych i tych samych zdań,

jednych i tych samych gościów, wyrazów, myśli.

Przywykła tak dalece do długich tych narad wieczornych, iż życie bez nich wydawało się jej dziwnie puste, pozbawione treści.

Dziś—pierwszy raz oddawna, miała spędzić wieczór sama.

Żal i niechęć do przyjaciół, których trochę deszczu zatrzymało w domu, rosły z każdą chwilą.

— Bali się niepogody dla parasoli i kaloszy swoich—myślała, wzruszając ramionami.

Jan zapalił światło. Płomień lampy wiszącej, o wielkiej żółtej bani, rzucił snop mdłego blasku na gipsaturę sufitu, na blado niebieską tapetę ściany, na niskie żółte kanapki i fotele, na ekran kominka, na barczystą marmurową postać Thorwaldsenowskiego Herkulesa, bielejącą z za grupy palm i filodendronów, tworzących rodzaj klombu pośrodku salonu. W jednym z jego rogów, zahaczona o mosiężne kółko klatki, przykrytej muslinem o chińskim deseniu, drzemała papuga. Biała kotka angora przeciągała się na wielkim perskim dywanie, którego tło majaczyło w świetle żółtej lampy symfonią barw przyćmionych.

Cicho było w pokoju. Zegar w kształcie weneckiej gondoli, ustawiony na hebanowej półce, wydzwonił dziewiątą.

Stanowczo nikt tym razem przyjść już nie mógł.

Zapaliwszy świecę i postawiwszy ją niedaleko siebie na małym stoliku, Julia wsunęła się w głąb kanapki i zaczęła czytać książkę przyslaną przez Edmunda.

Wzrok jej biegł szybko od wiersza do wiersza. Przerzucała kartki jedne po drugich z gorączkową niecierpliwością, jak gdyby chciała dobieść prędzej do ostatniej.

Zatopiona w czytaniu, nie słyszała służącego, który wszedł z filiżanką herbaty i postawił ją na stoliku, przed nią.

Parę godzin minęło, zanim, uczuwszy lekkie zmęczenie powiek, złożyła książkę.

Deszcz padał, jak przedtem, strumieniami głośniejszej ulewy. Wicher, kołacząc do okien, wywoływał huk, podobny do stukania czyjejs ręki upartej.

Odsunąwszy na bok książkę, narzuciwszy na siebie szal ciepły, pijąc zwolna herbatę, myślała nad treścią przeczytanego dzieła.

Szereg niewyraźnych, blado lub wcale

jeszcze niesformułowanych wątpliwości budził się w jej umyśle. Dotąd w tym stopniu nie doznawała ich nigdy.

Zdawało się jej, że ma swój odrębny system wyrobionych z biegiem czasu przekonań filozoficznych, którego nic już poruszyć i nic zachwiać nie zdoła.

— To, co widzę, czego dotykam, dźwięki, które słuch mój chwytą, wrażenia, jakimi podzielić się mogę z tymi, co odbierają je na równi ze mną, to wszystko istnieje niezaprzeczalnie, niezbitie — mówiła w chwilach, gdy poruszano przy niej zagadnienia bytu.

— Czy jest co po za tem! — dodawała — tego nikt nie wie i nikt chyba nigdy dowieść nie będzie w stanie.,.

Wykształcenie jej było niesystematyczne. W pojęciach swych, pojęciach samouka, miała luki, które wypełnić było trudno. Czasami czuła je wyraźnie; niekiedy zapominała o nich.

Czytała bardzo wiele, lecz czytała bez planu, w miarę kapryśnych upodobań swoich i zmiennych rzutów woli. Niejednokrotnie postanowiła zasięgnąć wskazówek u przyjaciół swoich: lata jednak mijały, a ona nie

miała czasu zapytać o nie, naradzić się z nimi nad treścią samokształcenia swego.

Wieczory schodziły tak szybko; tematów do rozmowy było zawsze tak wiele!

Dziś — pierwszy raz znalazła chwilę, w której mogła oddać się samotnym, głębszym rozmyślaniom.

Skończywszy czytanie, pytała sama siebie:

— Czy rzeczywiście wierzyć należy w to tylko, co wzrok, słuch nasz, czucie nasze jako wrażenia świata zewnętrznego nam przynoszą? Dlaczegożby to „ja,” które w nas pracuje, nie miało być istotą najzupełniej samodzielną, związaną chwilowem tylko trwaniem ze skorupą ciała; dlaczegożby ono nie miało być duchem, a jeżeli nim jest, dlaczegożby, jak chcą spirytyści, całe szeregi istot, wyswobodzonych z powłoki krwi i mięśni, nie miały błędzić w przestrzeni?

— Żongler ciąglem ćwiczeniem do doskonałości doprowadza zmysł, który my w słabym zaledwie stopniu posiadamy rozwoju; magik i akrobata dowodami zręczności i siły każą przypuszczać niejednokrotnie potęgę czarów: dlaczegożby ktoś, co silnym rzutem woli i skupieniem całej swej istoty usiłuje zbadać świat, którego my nie znamy; dlaczegożby ten

ktoś nie miał osiągnąć cząstkowego chociażby wyniku trudów swoich?

Lekka ironia drgała podczas tych rozmyślań na wargach jej i w błyskach źrenic. Potrząsała głową, jak gdyby sama twierdzeniem, a raczej przypuszczeniom swoim rzucała krótkie, szybko rozstrzygające „nie.” Śmiała się sama do siebie, wodząc wzrokiem po zawoalowanej postaci widma, wyrytej na okładce książki.

Kilka długich chwil zeszło jej na nardzie samej ze sobą, kilka chwil, w ciągu których ironia i uśmiech schodziły z ust jej powoli.

Zawierucha szalała coraz silniejsza; wicher wył i jęczał żałośnie; deszcz czasami tak gwałtownym pędem uderzał o szyby okien, że te, brzęcząc, zdawały się wydawać okrzyk przerażenia.

— Nie położę się w tej chwili; będę czuwała, dopóki burza nie przejdzie—myślała.

Zegar wydzwonił dwunastą, gdy zerwała się nagle.

Oczy jej błyszczały. Twarz zdradzała silne, gorączkowo powzięte postanowienie.

Szybko, jedno po drugich, zaczęła zesta-

wiać ze stolika graciki, którymi był zarzucony.

Ironia zniknęła z ust jej zupełnie: zaciśnawszy wargi, kręciła się po pokoju, szukając kilku potrzebnych jej w tej chwili przedmiotów.

Stolik już został ogołocony z chińskich figurek, z wazonów i wachlarzy, jakie stały na nim. Przysunęła go bliżej do kanapki, na której usiadła.

Położywszy przed sobą arkusz papieru, wzięwszy w rękę ołówek, postanowiła czekać wśród głuchej nocnej ciszy, aż który z duchów, błędzących w przestrzeni, podyktuje jej słowo, lub znak jakiś, zdradzający bliskość i byt jego.

Miała to być pierwsza próba posiedzenia spirytystycznego, do którego tak bardzo nakłaniał ją Edmund, a które na złość trzem przyjaciółom swoim—pozytywistom, pragnęła dokonać z powodzeniem.

Płomień lampy, palącej się od kilku godzin, zaczął drgać wolniej i słabiej. Tajemnicze cienie zaległy stopniowo wewnątrz pokoju. Bielały w nich tylko, nakształt plam ruchomych, kotka—angora, śpiąca na dywanie, barczysta postać Herkulesa, o ramieniu

wyciągniętem nad wachlarzem palmy najwyższej. Łagodne, miękkie tony zmroku tuliły do snu główki azalii, hiacyntów i chryzantemów, wychylające się z głębi chińskich wazonów, rozstawionych po rogach.

W oczach Julii przebijało trochę trwogi a jednocześnie zaciśnięte jej wargi i brwi mocno zmarszczone, zdradzały akt woli niezlomnej.

Według wskazówek, podanych w książce i w liście Edmunda, miała uspić w sobie wszelki ruch myślenia, a siłę i pracę skupionej wyobraźni skierować tylko na wezwanie ducha.

Utkwiwszy wzrok w papier, nie oglądała się za siebie, nie dostrzegała nawet ciemniejącego zwolna światła lampy, nie widziała, jak kotka, obudziwszy się, wolno, na miękkich swych łapkach podeszła ku niej i oparła biały swój łebek o fałdy jej szlafrocza.

Po pewnej chwili oczy jej, w biały punkt wpatrzone, zaczęły doznawać znużenia: czerwone i zielone plamy migały pod powiekami szybko.

Zegar wydzwonił pierwszą, kiedy już nie przed sobą dostrzedz nie była w stanie; ręka

z ołówkiem zaczęła drzeć silnie, kreśląc na papierze niewyraźne zygaki.

Opanował ją nagły przestrah. Chciała wstać, rzucić ołówek, odsunąć stolik z hałasem i przejść do sypialni: jednocześnie akt woli, tak silnie naprężonej, przykuwał ją do miejsca.

Smuga ostatnich płomyków gasnącego światła, odbita w lustrze, pod którem siedziała, drgała na papierze, jak coś żywego, coś ruchomego, coś, co może zwiastowało bliskość ducha...

Zaczęła drzeć całym ciałem. Głowa jej zwisała na piersi. Zamknęła powieki; w uszach uczuła silne dzwonienie...

Przygryzłszy wargi, postanowiła czekać: nie zdejmowała ręki ze stołu...

Deszcz z gwałtownej ulewy przeszedł w łagodne i powolne mżenie. Wicher przestał jęczeć. Mgła ciężka, dusząca zaległa powietrze i zdawała się przedostawać przez szyby szczelnie zamkniętych okien, do wnętrza saloniku, w którym światło żółtej lampy zgasło przed chwilą.

Uspokoila się nagle; trwoga jej minęła; natomiast w całej swej istocie uczuła bierne ociążenie.

Sen kleił zwolna jej powieki. Drzemające już w połowicznych halucynacjach myśli rzucały na mózg jej luźne, dziwacznie poplątane obrazy, stanowiące echo odbieranych niegdyś, a zatajonych w stanie czuwania wrażeń.

Gasnąca świadomość mówiła: „masz pisać!”—jednocześnie pamięć rozbiegała się szeregiem majaków.

Jeden z nich zawisł silniej i dłużej. Pod wpływem ostatniego napięcia woli pisała sztywnemi; snem ułeczwanionemi palcami słowa, które dyktowały jej resztki wyobrażeń, niknących naksztalt chińskich cieni...

Świtało. Mgła rozplynęła się w powietrzu. Cichy, pogodny ranek jesienny drgał uśmiechem na skrajach horyzontu. Po nocnej ulewie niebo, blaskiem perłowym migocące, kłębami białych obłoków, niby wełną baranka usłane, zapowiadało różowy wschód słońca.

Na ulicach budził się ruch zadrzemany. Otwierano rygle sklepików. Podnoszono zasłony w mieszkaniach niskich parterowych do mów, gdzie zbudzeni ze snu robotnicy mieli dążyć do pracy.

Podniosła głowę, opartą przez kilka godzin na obu rękach, które jej zdrętwiały.

Pochylona nad stolikiem, spała mocno. Ból mięśni, trzymany w nierównym wygięciu, obudził ją.

Otworzyła powieki, przeciągając się zwolna,

Dziwiło ją perłowo-szare świtanie; nie rozumiała, co się z nią działo, gdzie była, dlaczego nie spała w łóżku swoim, pod zwojami przezroczystych koronkowych kotar?

Błady koloryt wschodzącego ranka przybierał stopniowo sinawo-błękitną barwę przebudzenia. Kontury przedmiotów, rozstawionych w pokoju, odrzynały się słabo od tła ogólnego. Mdły, niewyraźny światłocień zawisł w przestrzeni.

Papuga, czując dzień blizki, poruszała się niespokojnie na mosiężnym kółku klatki. Kotka, przesunąwszy się z dywanu na kanapę, oparta łebkiem o kolana swej pani, elektryzowała ją ciepłem białej sierści.

Ziewając, Julia przeciągnęła się po raz ostatni i wstała z kanapy, aby przejść do sypialni.

Kotka i papuga, rozbudzone szelestem jej sukni, odezwały się, jedna niskim miauczeniem, druga — powtórzonym kilkakrotnie,

jak gdyby przez sen wyrazem, którego uczono ją dnia poprzedniego.

Julia oprzytomniała nagle. Treść minionego wieczoru zarysowała się w umyśle jej wyraźnie. Otworzywszy oczy szeroko, spojrzała na arkusz papieru leżący przed nią. Ręce jej zadrżały. Na białej karcie czytała najwyraźniej:

„Janina Wikorya Jasińska, zmarła w listopadzie, poleca pamięci duszę swoją.”

Kilka nieczytelnych zygzaków kończyło zdanie.

Co miały znaczyć te słowa? Co miało znaczyć nazwisko, którego nie знаła, nie słyszała w życiu swoim nigdy?

Czyżby naprawdę duch, pokutujący wśród nocnej ciszy, odezwał się na niedołężne jej wezwanie?

Pąki różowych blasków zadrgały na widnokręgu, zwiastując wschód słońca.

Zwiesiwszy głowę na poręcz kanapy, Julia siedziała nieruchomie. Oczy jej, otwarte szeroko, goniły machinalnie grę białych światełek, pełznących od strony okna po arabeskach dywanu.

Mózg jej pracował.

Tysiąckrotnie, z drobiazgową ścisłością

usiłowała; przypomnieć sobie każdy szczegół minionego wieczoru.

Jakim sposobem słowa przedostały się na papier, jak i kiedy pisała?—nie wiedziała, nie pamiętała.

Tysiąckrotnie, przebiegając myślą szeregi osób, znanych dawniej i teraz, pytała sama siebie, kto mógł nosić imię i nazwisko, które dziś tak niespodziewanie znalazła na białej karcie papieru, własną ręką wynotowane?

Stanowczo nie pamiętała nikogo takiego; stanowczo znać nikogo takiego nie mogła.

— Może kiedy, przechodząc, przeczytałaś imię i nazwisko podobne na klepsydrze ulicznej; może imię to i nazwisko utkwilo w głębi twego umysłu bez woli twej i wiedzy i dopiero senna halucynacja na jaw je wyprowadziła?—mówiły myśli jej, przyzwyczajone w ciągu szeregu lat do racjonalnego rozstrzygnięcia kwestyj.

Wstrząsała głową przecząco. Usta jej i oczy wyrażały niepewność, chaos pojęć rozbieżnych.

Zwolna, stopniowo umysł jej uspokajał się; zwolna, stopniowo opanowywała go idea

którą wczoraj jeszcze drwiącym witała uśmiechem.

Parę godzin przesiedziała na kanapie bez ruchu, z głową opartą o boki miękkiej, atlasowej poduszki.

Gdy wstała, kilka lekkich zmarszczek przecięło białe jej i gładkie, jak u dziecka, czoło.

.

Zmierzch dnia pogodnego zsunął się już oddawna z promieni gasnącego w aureoli purpury słońca.

Zegar wybił zwolna ósmą godzinę.

U drzwi mieszkania Julii rozległ się głos dzwonka, kilkakrotnie, w krótkich, szybko po sobie następujących przerwach powtórzony.

Gustaw, Teodor i Antoni stawiali się na zwykłą wieczorną pogawędkę.

— Jestem chora; nie przyjmuję dziś nikogo—oznajmiła służącemu Julia od rana.

Jan odprawiał gości, każdego z kolei, tłumacząc panią swoją bólem głowy.

Wsunięta w głąb fotelu, przed kominem, na którym od godziny płonęło kilka wiązek drewek, Julia podawała ramiona, szyję i ręce falom promieniającego ciepła.

Cały dzień czuła się dziwnie zmęczoną. Myśl rozmowy z przyjaciółmi, którą tak bardzo cieszyła się zwykle, dziś napelniała ją niechęcią. Cienie głębokiej zadumy grały w jej oczach; patrzyła przed siebie, jak lumnatyczka, nic nie postrzegając.

Ogień na kominku wygasł już oddawna; cienie ponurej nocy jesiennej zaległy pokój, gdy podniosła się na koniec.

We wzroku jej błysnęło nagle postanowienie. Zadzwońszy na służącego, kazała mu zapalić światło. Gdy Jan automatycznie spełnił rozkaz, usiadła przy biurku, wyjęła z małej teczki podręcznej arkusik ponsowego papieru o postrzępionych brzegach i nie zastanawiając się nad doborem słów, nie kreśląc żadnego z nich, szybko; pewnym i stanowczym ruchem ręki pisała:

„Wczoraj jeszcze żartowałam ze spirytystycznych teorii pana; dziwiło mię, jak człowiek myślący mógł je wyznawać. Dziś zwijam sztandar dawnych swych przekonań. Jest rzeczywiście coś dziwnego, coś niewytłomaczonego w świecie, coś, co wymyka się z pod samowiedzy naszej, czego nie rozumiemy nigdy, co istnieje jednak, co jako fakt postrzegać, śledzić i rzutem silnej woli wy-

woływać możemy. Za radą pana odbyłam pierwsze posiedzenie; szczegółów jego opisywać nie będę. W przyszłym tygodniu odwiedzę pana w Paryżu: będziemy mogli pracować razem. Znajdziesz mię przeobrażoną zupełnie.”

Skończywszy list, wsunęła go w kopertę, położyła na niej adres Edmunda i zakleiła ją zwolna.

Głowa jej po chwili napowrót zwiśla na piersi; napowrót wpadła w głębokie, długie, nieme zamyślenie.

Zegar, uderzając dwunastą, wyrwał ją z niego.

Podniosła się i zadzwoniła na służącego.

— Odnies to na pocztę jutro, zaraz z rana—rzekła, gdy Jan stanął w progu pokoju.

Podając mu list w ponsowej kopercie, z adresem Edmunda, uśmiechnęła się sama do siebie: w umyśle jej zapanował spokój; przestąpiła pierwszy i najtrudniejszy próg nowej wiary.



TRZECI ROBER.

Julek, skończywszy politechnikę, zaczął starać się o otrzymanie najskromniejszego choćby zajęcia. Kilka dni z rzędu chodził do dyrektora jednej z większych fabryk, Straszewskiego, z listem polecającym od wujka, u którego raz do roku, w dzień św. Antoniego, dyrektor bywał na partyjce winta; zawsze jednak od służącego, który mu otwierał drzwi, słyszał: „pana niema w domu;” „pan śpi;” albo „pan nie przyjmuje...”

Raz wreszcie pan kazał prosić.

Z bijącym sercem wszedł do ciemnego, kotarami i lambrekinami zawieszonego gabinetu.

Straszewski, spojrzawszy w stronę drzwi, kiwnął głową niedbale. Końcami palców ujął podany przez młodego człowieka bilecik i przejrzał go zaledwie do połowy, rzuciwszy wzrokiem na podpis.

Odwrócony twarzą do okna tak, że siedzący w cieniu za biurkiem młody człowiek, tylko profil jego mógł widzieć, bąknął przez zęby:

— Bardzo mi przykro, że muszę odmówić pańskiemu wujaszкови; chciałbym spełnić jego życzenie, ale nawet dla niego posady nie stworzę. Takich listów, jak ten — tu stuknął palcami po rozłożonym arkusiku papieru, który trzymał w ręce—odbieram po dziesięć dziennie.

Zadzwonił na lokaja.

— Jest tam jeszcze kto więcej do mnie?—zapytał.

— Nie ma nikogo—brzmiała odpowiedź.

Julek wstał, skłonił się niezręcznie, uczuł bowiem nagły zawrot głowy, i wyszedł.

Straszewski, zajęty świeżym gatunkiem cygara, jakie właśnie zapalał, spojrzął za odchodzącym i kiwnął mu głową dopiero wtedy, gdy ten już był przy drzwiach.

Nazajutrz po południu wuj Julka, pan Antoni, ubrawszy się w świąteczny tużurek, sam podążył do ex-kolegi szkolnego.

Lokaj, otwierając drzwi, już miał na ustach słowa: „pan nie przyjmuje” — gdy

Straszewski usłyszawszy głos pana Antoniego, sam wyszedł do niego.

— Jak się masz Antosiu?—zawołał, witając towarzysza szkolnej ławy i prowadząc go do gabinetu. Dawnośmy się już nie widzieli! Usiądź, proszę.

Wskazał gościowi miejsce na perskiej otomanie w głębi pokoju. Usiadłszy obok niego, ziewnął parę razy, przed kilkoma minutami bowiem rozbudził się ze zwykłej poobiedniej drzemki; w końcu rzekł:

— Tak rzadko przypominasz sobie o mnie, że chyba gwałtowny interes sprowadza cię w moje progi?

— Nie mylisz się—odparł Antoni. Wczoraj był tu u ciebie—u kolegi—dodał, poprawiając się—mój siostrzeniec. Przysłałem go, aby się sam sprezentował: zdolny, dobry i pracowity chłopak. Chciałbym za waszem pośrednictwem wyrobić mu jakiekolwiek zajęcie: bardzo potrzebuje pracy i tego, co ona za sobą przynosi... Gdybyście tylko mieli dobrą wolę..

Straszewski przy pierwszych słowach pana Antoniego zerwał się z krzesła i biegnąc po pokoju z rękoma w tył założonemi, słuchał czas jakiś; ostatnie jednak zdanie przer-

wał koledze, odzywając się krótko, ze zniecierpliwieniem w głosie:

— Mój kochany, służysz sam; wiesz przecież, że posady nie wyrastają, jak grzyby po deszczu. Żądasz odemnie niemożliwości. Tyłu ludzi męczy mię codzień o protekcję! Nie czytam nawet próśb, składanych na moje ręce. Głowa by pękła, gdyby człowiek chciał się przejmować wszystkim. Brat poleca brata, ojciec syna, wujaszek siostrzeńca! zlitujcież się! Toć nie mam kantoru stręczenia robót!...

Pan Antoni chrząknął, przygotowując się do dłuższej mówki. Straszewski, spojrzawszy na niego, przeczuł to. Usiadł przy nim, położył mu rękę na ramieniu i spokojniej, aniżeli przedtem, dorzucił:

— Daremna twoja fatyga: nie sil się na frazesy. Powtarzam raz jeszcze: posad nie stwarzam. Twój siostrzeniec może czas jakiś obznajmiać się z robotami w fabryce; to mu ułatwię. Na płatne zajęcie jednak niech czeka. Postaram się pamiętać o nim, dużo wszakże nie obiecuję...

Drugi rok mijał. Julek, zrazu pełen dobrych nadziei, pod koniec zaczął się niecierpliwieć, figurując na urzędowej liście fabrycz-

nej zawsze tylko, jako kandydat do posady.

Kilkakrotnie pan Antoni kołatał do kolegi dyrektora; ten jednakże odpowiadał za każdym razem:

— Niech czeka, niech czeka!...

Zbliżało się lato, a z niem — i uroczystość imienin pana Antoniego, w którym to dniu — od czasu skończenia szkół — kilku kolegów, niegdyś najbliżej z sobą żyjących, a pozostałych w mieście, zbierało się u solenizanta na tradycyjną partyjkę preferansa lub winta.

Straszewski, spotkawszy pana Antoniego na parę tygodni przed trzynastym czerwca, przypomniał:

— A nasz wint? Zbierzemy się, zbierzemy! Pietraszewski i Badyński wyjechali wprawdzie, ale Hartman i Biedrzycki będą na pewno. Punkt ósma. Do widzenia!

Nadszedł trzynasty. Straszewski i Biedrzycki stawili się rzeczywiście o punkt ósmej. W kwadrans przyszedł list od Hartmana, w którym ten doniósł, iż skutkiem nagłej choroby żony przybyć nie może.

Straszewski, poprawiając okulary, mówił: „to źle, to szkoda.” Biedrzycki kiwał

głową na znak zupełnej aprobaty słów kolegi. Pan Antoni stał nad rozłożonym stolikiem, wpatrzony w zielone sukno i w świeżuteńkie talie kart, przygotowane do gry.

— Co tu począć?—pytał sam siebie; jak zabić cały długi wieczór we trzech tylko, z kolegami, z którymi widywał się zaledwie parę razy do roku, z których każdy miał odrębne stosunki i odrębne interesy, których dziś łączyła tylko nić wspomnień, sztucznie nawiązana na nowo. O czym mówić? Co robić?

Podczas, gdy gospodarz domu rozmyślał, a Straszewski i Biedrzycki ze zniecierpliwieniem oczekiwali jakiegoś postanowienia z jego strony, cichutko, nieznacznie wsunęła się do gabinetu żona pana Antoniego, pani Felicya.

Powitawszy gości, rzekła do męża:

— Julek przyszedł; może on mógłby zagrać z panami?

— A któż to taki ten Julek?—zagadnął Straszewski.

— Nasz siostrzeniec—odpowiedziała pani Felicya. Ten, za którym mąż mój tyle razy prosił pana dyrektora...

— Nie bardzo go sobie przypominam—odparł Straszewski.

— A dlaczegożby on nie miał zagrać z nami?—dorzucił następnie.

— Naturalnie, dlaczegożby nie miał zagrać?—powtórzył za nim Biedrzycki.

— No, to niech przyjdzie — rzekł pan Antoni, zwracając się do żony.

Julek wszedł, wprowadzony ostentacyjnie przez ciotkę.

Od pierwszego zaraz wejrzenia wydał się dyrektorowi bardzo sympatycznym, miłym i dobrze wychowanym młodym człowiekiem.

Podał mu rękę uprzejmie.

— No, że ja go sobie też przypomnieć nie mogłem!—rzekł, zwracając się do pana Antoniego.

Rozebrano karty. Partnerzy zajęli miejsca. Pierwszą grę miał Straszewski z panem Antonim, a Julek z Biedrzyckim.

Julkowi sprzyjało szczęście. Pierwszego robra wygrał ze stu, drugiego—zasiadłszy na zmianę z wujaszkiem—ze stu pięćdziesięciu...

Straszewski był przegrany. Karta mu nie dopisywała, przytem z partnerami nie mógł dojść do porozumienia. Przy pierwszym robrze zaraz wpadł w zły humor, mruczał pod nosem, sykał przez zęby. Przy drugim wołał na Biedrzyckiego:

— Zastanów się, co robisz! Nie wiesz sam, czego się trzymasz! Grasz bez planu!...

Była chwila, w której o mało nie rzucił kart i nie wstał od stolika. Czerwony z wysiłku, żyły miał nabrzmiące na czole i w skroniach. Szarpał się na krześle, stukał obcasem o podłogę, chrząkał i przerywał grę co minuta, mówiąc:

— Nie, stanowczo już dosyć. Dłużej nie wytrzymam! Jak można tak wychodzić!...

Miał na sobie zapisanych dwieście pięćdziesiąt punktów. Sapał ze zmęczenia po skończonym drugim robrze. Trzeciego wypadło mu grać z Julkiem.

Wstając na zmianę, kazał sobie podać wody, bo w gardle mu zaschło: mówić wcale nie mógł. Wypiwszy wodę, prosił o otwarczenie okna, gdyż bardzo mu było gorąco. Munsztuk papierosa, który trzymał w zębach, cały był pogryziony. Włosy na głowie, przed godziną jeszcze równo nad prawem uchem przedzielone, szczotką i fiksatuarem do poziomego położenia zmuszone, w tej chwili stały sztywnymi kępkami dokoła skroni. Twarz miał czerwono-siną. Siatka żyłek na białkach oczów krwią mu nabiegła zlekka.

Przeszedłszy się parę razy po pokoju, rzekł do Julka:

— No, młody kolego, tylko graj ostrożnie! Z wujaszkiem i z Biedrzyckim sfiksować było można! Nic dziś nie rozumieją! Mówią „pas,” kiedy powinni deklarować kolor!... Dawno już, dawno takiej podłej gry nie miałem.

Julek skupił całą uwagę. Karta, która przy pierwszych dwóch robkach dopisywała mu względnie nieźle, teraz zaczęła iść wyjątkowo świetnie.

Twarz dyrektora rozjaśniała się z każdą sekundą. Oczy promieniały. Kąty ust rozbiegły się w uśmiechu zadowolenia.

— No, młodzieńcze—wołał—zakasowałeś starych! Grasz jak anioł! Dawno już nie zdarzyło mi się mieć takiego dzielnego partnera.

Co chwila potem dodawał

— Doskonale, świetnie, znakomicie!...

Biedrzycki z panem Antonim dogadywali sobie nawzajem.

— Antek, decydujesz się za prędko!—wołał Biedrzycki, niezadowolony z kombinacji kolegi.

— Uwagi swoje możesz zostawić na boku: kart nie zmienię—odpierał pan Antoni.

Straszewski mitygował ich:

— Dalibyście pokój — mówił—sprzeczacie się, jak dwa żaki...

Rober był na ukończeniu. Rozdano karty po raz ostatni. Licytacja wykazała, że przeciwnicy mają swój silny kolor. Julek podbijał ich ciągle, podtrzymywany dzielnie przez dyrektora. Pan Antoni i Biedrzycki stanęli na pięciu kierach. Słowo „pas” dało się słyszeć. Julek, mając ostatni głos, zadeklarował wielkiego szlema w karo.

Gdy obliczono robra, Straszewski, pomimo dawniejszych niepowodzeń, był wygrany na czysto trzydzieści punktów.

Wstał, rozpromieniony, proponując na zakończenie „kozaczka.” Pani Felicya jednak, wszedłszy do gabinetu, postawiła veto, prosząc wszystkich na kolację.

Biedrzycki we drzwiach stołowego pokoju zwrócił się do pana Antoniego, mówiąc:

— Gdybyś był w przedostatniej grze wyszedł w kiery, zamiast w piki, bylibyśmy o sześćdziesiąt punktów mniej przegrali...

Pan Antoni zmarszczył brwi, nachmurzył czoło i odparł cierpko:

— Wielka szkoda, że mentorstwo zbyt późno przyszło ci na myśl. Mogłeś mi pokazać kartę we właściwym czasie...

Sprzeczała się jeszcze o fałszywą licytację w grze, którą stracili, mogąc zrobić cztery trefle, gdy pani Felicya, podając gościom sama przekąski, zawołała:

— Antosiu, pan dyrektor czeka: częstuj wódką!

— Jestem dziś bardzo przy apetycie—rzekł Straszewski, zwracając się do gospodyni domu.

— Zrabujemy pani dobrodziejce całą śpiżarnię: nie można takich wilków często prosić...

Śmiejąc się, conceptując, brał jedną tartinę po drugiej. Chwalił kawior, zachwycał się łososiem, pił powtórnie wódkę.

Biedrzycki z panem Antonim jedli mało, mówili jeszcze mniej.

— Oni teraz jak dwa koguty — rzekł dyrektor, wskazując na nich.—Już ja kwituję z ich sąsiedztwa. Pozwoli pani dobrodziejka—dodał, zwracając się do gospodyni domu—usiąść przy sobie. Mój szczęśliwy partner niech będzie sąsiadem z drugiej strony. Dzielny chłopiec; takich lubię!

— Jak dawno skończyliście kursa, kolego?—zapytał nachylając się w stronę Julka.

— Trzynastego czerwca, dwa lata temu, zdałem ostatni egzamin. W trzy miesiące potem miałem zaszczyt przedstawić się panu dyrektorowi—rzekł Julek śmiało, bez trwogi, patrząc w oczy Straszewskiemu. — Odtąd—dodał—wzdycham do posady, na którą mi pan dyrektor wciąż każe czekać cierpliwie...

— No, jaki to uszczęśliwiony!—zawołał Straszewski, śmiejąc się i uderzając Julka ręką lekko po ramieniu.

Zwróciwszy się następnie do sąsiadki, dorzucił:

— Siostrzeniec pani naprawdę dzielny młodzieniec!

Zniżając głos, szepnął:

— Teraz, kiedy go poznałem, nie zapomne o nim: możecie państwo być tego pewni.

Podano szynkę na gorąco, obłożoną *purée* z grochu! Pani Felicya sama położyła sąsiadowi dwa ładne kawałki ze środka. Po szynce przyniesiono kurczęta z różną, szparagi i kompoty. W przerwach między jednym daniem a drugim, gospodarz nalewał w kieliszki starego węgryzyna. Wznoszono toasty: najpierw na uczczenie trwałości koleżeńskiego

przymierza, następnie—za zdrowie solenizanta i jego małżonki.

Po kremach i galaretach, których dyrektor był wielkim zwolennikiem, podano czarną kawę i likiery własnoręcznej fabrykacji pani Felicyi. Straszewski, podochocony, wołał jeszcze o wino, aby wychylić kieliszek na cześć młodego sąsiada i jego przyszłej kariery. Uśmiechnięty, z oczyma trochę rozmazanymi, z głową chwiejącą się cokolwiek to w tył, to naprzód, ścisnął Julka, powtarzając:

— Już będę pamiętał o tobie! Spuść się na mnie! Dzielny z ciebie chłopiec!

Kolacja skończyła się późno. Straszewski trzymał Julka przy sobie. Wychodząc, wziął go pod rękę i nie puścił, aż przed bramą swego domu. Przez drogę powtórzył kilka razy:

— Z twoją głową, powinienes zająć da-leko! Stanowczo pomyśl o tobie!

Nazajutrz w fabryce, dopytawszy się, gdzie pracuje, sam pierwszy przystąpił do niego, podając mu rękę na powitanie i twierdząc, iż oddał się zbyt ciężkiej pracy.

Dwa miesiące nie upłynęło, kiedy Julek dostał nominację na pomocnika jednego ze starszych inżynierów. W pół roku potem,

dzięki wakansowi, jaki się otworzył, został kierownikiem przy oddziale kotłów parowych. Po roku podwyższono mu znacznie pensję.

Straszewski, klepiąc go po ramieniu, powtarzał często:

— Karyera przed tobą, chłopcze, karyera! Nie dla kształtu masz głowę!



PODSŁUCHANE.

Przyszedłem na wieczór do państwa Z. dosyć późno: byłem, prawdopodobnie, ostatnim z zaproszonych. Goście w grupach porozsiadali się około małych stoliczków, stawiając na nich filiżanki z herbatą i talerzyki z ciastkami.

Dla mnie nie było już miejsca.

Powitawszy gospodarstwo i córkę ich, pannę Maryę, pierwszy raz występującą na raucie rodziców, jako dorosłą, w długiej sukni — stanąłem we drzwiach, prowadzących do stołowego pokoju i, oparty o framugę, przyglądałem się towarzystwu.

Brzęczało, jak w ulu. Wszyscy rozmawiali. W jednej z grup dał się słyszeć głośny śmiech panien, rozweselonych opowiadaniem młodego profesora, posiadającego wielki dar naśladowniczy. W drugim kółku — bliżej mnie — mamy rozmawiały o kremie, bitym

Podsiuchanie

na sposób turecki, bardzo smacznym i trwałym. Tuż przy oknie, pod liśćmi olbrzymiego filodendrona, siedziała młoda parka, nie pijąca herbaty i niejedząca ciastek. Nią—była panna Marya, córka gospodarstwa; nim—młody prawnik, pan Aleksander, bawiący tu chwilowo w przejeździe z Petersburga do Rygi.

Za daleko byli odemnie, abym mógł pochwycić ich rozmowę; z gościów jednak, z wyrazu twarzy i wielkich, łzawych oczu panny Maryi widziałem, iż towarzystwo młodego prawnika jest jej nader przyjemne. On wydawał mi się również mocno zajęty słowami i osobą debiutantki owego wieczoru. Patrzył w łzawę oczy z namaszczeniem, mówił z przejęciem. Głos jego musiał wibrować, nastrojony na kamerton niski i głęboki, modulowany tak, aby długo mógł brzmieć w uszach dziewczęcia.

Uwagę moją, zwróconą na młodą parę, oderwał dramat, jaki się odbył tuż koło mnie. Staś, najmłodszy synek państwa Z., stojąc za plecami matki, napierał się od kilku chwil makaronika z pomadką, bardzo pojętnie wyglądającego na tacy. Matka, zajęta rozmową z sąsiadką o bitym kremie na

sposób turecki, początkowo nie zwracała uwagi na żądanie chłopca; w końcu jednak, znudzona powtarzającym się ustawicznie wykrzyknikiem: „mamo, mamo, ciastka!”—skinęła i kazała wyprowadzić malca.

Na progu, we drzwiach, przy których stałem, rozległ się głośny płacz Stasia. Panna Julia nie umiała uspokoić małego rycerza: krzyczał coraz donośniej.

Pani Z., rozpoczynając właśnie traktat o przecieraniu masy jabłkowej na galaretę, przerwała go w połowie; schwyciła leżący na tacy makaronik, wybiegła z nim do jadalnego pokoju i podając go Stasiowi, rzekła:

— Wstyd, mazgaisz się, jak baba: czy to przystoi mężczyźnie? Jak Marynia była mała i płakała, to jej mama nic nie mówiła, bo panience wolno płakać; ale ty, chłopiec!... wstyd! No, skończ już, tylko prędko! Goście się z ciebie śmieją, żeś taki duży a jeszcze mazgaj!...

Staś zjadł ciastko i poszedł, prawdopodobnie spać, gdyż już go nie widziałem od tej chwili. Mama podjęła przerwany w połowie traktat o galarecie jabłkowej. Ja—nie mając co robić ze sobą, nie wiedząc do której grupy się przyłączyć, przeszedłem do

świeżo urządzonego buduaru panny Maryi. Blado różowe światło wiszącej lampy zalewało pokój, pełen miękkich blado-różowych kozetek i foteli, gipsowych medalionów, rozwieszonych nad biurkiem, marmurowych wazonów i popiersi, bielejących w mdławym blasku, chińskich parasoli, rozpostartych w dwóch rogach ścian, nad palmami i umieszczoną pośród wachlarzowych liści klatką ze śpiącą papugą.

Tajemnicza cisza i łagodny półzmrok upajały, rozmarzały!...

Zapadając w toń miękkich sprężyn, myślałem o ładnej Maryni. „Ile razy ona tu, na tej kozetce” pytałem sam siebie—„wpatrzona w błądy płomyk lampy i fantastyczne ozdoby ścian, gonić będzie myślą marzenia, których dotąd jeszcze może nie miała? Ile razy, nasłuchując bicia własnego serca, będzie powtarzała: „Dla kogo ono żyje?” Czy zna już *jego*? Kiedy *on* się zjawi? Ile razy, spoczawszy po chwilowym zmęczeniu na wygodnej kozetce, wśród tajemniczego półświatła, nie będzie miała ochoty wstać, nawet gdy zmęczenie przejdzie, i cały wieczór przemarzy, może przepłaczę wśród niepokoju tęsknoty, którą tak łatwo budzą w młodem

sercu cienie zapadającej nocy i wieczorna cisza, gdy jej się poddać?”

Byłem ruchliwy, bynajmniej do marzeń nieskłonny, a jednak nie chciało mi się wyjść z tego przybytku ciepła, wygody i tajemniczości. Zasiadłem głębiej na puchowej kozetce. Nikt nie wchodził tutaj; nikt nie miał zamiaru przerwać mi słodkiego *dolce far niente*.

Bałem się zapalić papierosa w panieńskim ustroniu. Aby rozwiać tęsknotę za nim, sięgnąłem ręką po album w ozdobnej okładce, leżące na stoliczku tuż przy kozetce.

Otworzywszy je bliżej początku, spostrzegłem na pierwszej zaraz stronie trzy słowa: „bądź zawsze kobietą!”—i—pod niemi—podpis przełożonej pensyi, którą panna Marya cztery miesiące temu skończyła.

Zamknąłem je napowrót i otworzyłem od końca.

„Wśród tegoczesnej fali społecznej—czytałem—kobiety, przejęte ideą równouprawnienia, zatracają to, co stanowi dla mężczyzn ich powab i urok największy: zatracają kobiecość swoją. Nam—miłą jest nawet ich czułościowość, łzy i zdwojona—w stosunku do naszej—wrażliwość. Wolimy nerwy

w kobiecie, niż rozum i energię. My żyjemy po to, aby silnem ramieniem i pracą woli osłaniać je przed burzą losów. One—niech zostaną tem, czem były od wieków: gołąbkami łagodnej uległości, ogniskiem gorących, rzewnych uczuć. Łzy w oczach przy każdym wzruszeniu, rumieńce wstydu na czole i twarzy, niewinność i prostota — to wdzięki, bez których nie chciałbym widzieć ciebie, Maryniu, w przyszłości...

Stary przyjaciel."

W salonie zaczęło się robić coraz duszniej i coraz ciasniej. Kilka pań, wysączywszy do dna herbatę z filiżanek, rzuciwszy na spodeczki okruchy niedojedzonych ciastek, wstały, kierując kroki swe ku buduarowi.

Spostrzegłszy je, zerwałem się szybko i drugimi drzwiami wybiegłem z pokoju.

Znalazłszy się napowrót w salonie, spojrzalem mimowoli w kącik przy oknie.

Pod liśćmi filodendrona, Marynia w dalszym ciągu rozmawiała z panem Aleksandrem. W dalszym ciągu — ona patrzyła nań łzawemi, rozmarzonymi oczyma; on — modulował głos, kokietując dziewczynę.

Podszedłem ku nim, chcąc się do nich

przyłączyć. Albo mnie jednak nie widzieli, albo też—nie chcieli na mnie zwrócić uwagi.

Zajęty przypatrywaniem się ogromnym liściom i poplątanym korzeniom filodendrona, nie odchodziłem od okna.

Pan dawno spotkał moją kuzynkę?— spytała panna Marya pana Aleksandra po chwilowej pauzie w rozmowie.

— Dwa tygodnie temu — brzmiała odpowiedź.

— Zmieniła się bardzo?

— Ani trochę. Pomimo tyloletniej studenteryi nie zatraciła ani odrobiny swej dawnej kobiecości.

— Co pan nazywa kobiecością?

— Wrażliwość, tkliwość, słodycz spojrzenia, rzewność uczuć, marzycielstwo, no— i skłonność do łez, tych ciepłych, obfitych łez, które tak często lubią spływać z pięknych oczu...

Pan Aleksander zniżył głos. Ostatnie wyrazy wypowiedział prawie szeptem wprost do ucha panny Maryi.

Ona—spuściła powieki i, zaczerwieniona, zasłaniając się drżącym w jej ręce wachlarzem, spytała:

— Czy naprawdę mężczyźni tak lubią, gdy kobieta płacze?

— Na to panie jesteście stworzone, aby narzeczeni i mężowie wypijali z kącików ust waszych słodkie, perłowe łezki, sączące się z pod powiek.

Panna Marya podniosła głowę, spuściła wachlarz i spojrzała na pana Aleksandra dumi, szeroko otwartymi, wilgotnymi oczyma, pełnymi promiennego blasku. Wargi jej drżały lekko. Zdawało mi się, że chce szepnąć w tej chwili: „Jestem kobietą! Umiem płakać!”

Tęsknota za papierosem owładnęła mną nadmiernie.

Opuściłem kącik przy oknie. Minąwszy przedpokój, skierowałem kroki ku gabinetowi, w którym — przy dwóch stolikach — winowano zawzięcie.

Prawą ścianę gabinetu zajmowała wielka nisza, zasunięta więcej niż do połowy, ciężką, perską kotarą. Nikogo tam nie było. Ucieszony tem, wszedłem do środka, postanowiwszy, do kolacyi przynajmniej, nieopuszczać rozkosznego ustronia. Zasiadłszy wygodnie na perskiej otomanie, ukryty za kotarą, oddałem się — papierosom, których akurat okrągłą godzinę nie miałem w ustach.

Nie zdołałem jeszcze wypalić drugiego, kiedy usłyszałem kroki dwóch mężczyzn, wchodzących do gabinetu, a następnie — każdy wyraz rozmowy, prowadzonej szybko lecz wyraźnie.

— Nareszcie cię przydybałem — zawołał pierwszy.

Po głosie poznałem, że był nim Ludwik, przyjaciel Aleksandra.

— Tak zawzięcie gadałeś z Marynią! Cóż, może nabierałeś facetkę na miłość?

— Dajno lepiej papierosa.

— Masz, leży ich tu gromada.

Usiedli na dębowych zydlach, stojących tuż przy przepierzeniu kotary, z kąd jeszcze lepiej dochodziły mi słowa każdego z nich.

Chrząknąłem kilka razy, aby dać poznać swoją obecność. Nie wiem, czy słyszeli mnie czy nie — dość, że w dalszym ciągu mówili półgłosem, lecz dobitnie.

— Co słyhać w Pitrze? — pytał Ludwik.

— Nic, to samo co i rok temu.

— Dostałeś się podobno do Rygi?

— Jadę tam najpóźniej za dwa tygodnie.

— Słyszałem, że zabierasz z sobą paru kolegów na pomocników swoich?

— Dwóch ich jedzie. Niech szukają szczęścia nad Bałtykiem.

— Wiesz Olek, żebyś ty tam i dla mnie coś wytrząsnął! Tu ani myśleć, żebym się kiedy czego porządnego dochrapał...

— Przedewszystkiem nie mów mi „Olku,” jeżeli nie chcesz, abym wpadł w zły humor. Ładne, dobre i mile stworzenie, słodkie stworzenie—takiej, jak ona, drugiej nie znajdę, choćbym świat cały przewędrował—nazwała mnie „Lolo;” uważasz „Lolo,” z akcentem na drugiej zgłosce. To brzmi ładnie, prawda? Trochę z chińska; w każdym razie niezwykajnie. Teraz—nie chcę, aby na mnie wolano inaczej. Słodka boska, wspaniała niewiasta!

Chrząknąłem w tym punkcie, ale to znowu nie przerwało dalszego biegu prowadzonej rozmowy.

— Stara?—zapytał Ludwik.

— Może o trzy lata starsza od Maryi Z., z którą przed chwilą rozmawiałem: trochę nawet do niej podobna; tylko—ta będzie sentymentalną i rozmarzoną, a moja Olga to ogień, życie, samo życie! Ani razu nie widziałem jej płaczącej. Poczekaj, przeczytam ci

list, który od niej wczoraj dostałem: poznasz ją z niego najlepiej. Była zupełnie niewinna, gdyśmy się poznali: masz, czy znajdziesz tu choć cień wymówki? choć jedną łzę rozmazaną na atramencie?

— Czemuż się z nią nie żenisz?

— Ba, myślisz, że mi to nie przechodziło przez głowę. Chiński mur nas dzieli. Szkoda dziewczyny! Ten, co ją weźmie, może być pewien, że nie pozna spasmów do końca życia.

— Cóż ona robi? Skądżeś ją wytrząsnął?

— Siostra doktora; mieszka przy bracie; rodziców niema już oddawna; pracuje w redakcyi jednego z najbardziej rozpowszechnionych pism codziennych, którego korektę prowadzi. Poznałem ją przypadkiem. Witulski mnie jej przedstawił.

Nastąpiła chwila pauzy, podczas której usłyszałem za portyerą szelest wyjmowanego z pugilaesu i rozkładanego papieru. Chrząknąłem znowu, co jednak po raz trzeci przeszło niepostrzeżenie. Oszukawszy sumienie, siedziałem dalej spokojnie, rad, że mnie nie ruszają z miejsca.

— Drogi Lolo!—czytał Aleksander.

— Lolo, Lolo! — powtórzył kilka razy. Jak ona to zawsze filuternie wymawiała!

— Drogi Lolo! Po twoim wyjeździe zabrałam się do pracy, która mi musi osładzać rozstanie nasze. Sprowadziłam sobie masę książek. Czytam wieczorami, wróciwszy z redakcyi, jakkolwiek wzrok mój, zmęczony całodzienną koretką, odmawia mi nieraz posłuszeństwa. Twoi koledzy, Witulski i Florjański chcą mię gwałtem pocieszać. Czeka ją na mnie codzień wieczorem w bramie redakcyi. Bardzo ich lubię; wesoło mi z nimi, ale nigdy dłużej nie daję im dotrzymać sobie towarzystwa nad czas, którego wymaga przejście z Newskiego na Fontankę. Wstąpiłam z nimi kiedyś do cukierni, na butersznyt i kieliszek koniaku, ale to tylko raz jeden. Zresztą kończy się na urywanej rozmowie wśród gwaru ulicznego.

Skala mego humoru obniżyła się cokolwiek. Niestety, to, cobym gorąco pragnęła ukryć przed światem i rodziną, staje się coraz bardziej widoczne. Co z sobą pocznę—jeszcze nie wiem na pewno. W każdym jednak razie bądź o mnie zupełnie spokojny. Życie moje, pełne wspomnień o tobie, zanadto mi jest mile, abym śmiała naśladować

Werthera. Że nie zwaryuję, jak Małgorzała, również jestem pewną. Patrzę z ufnością w przyszłość, wdzięczna przeszłości za chwile upojenia, jakich dzięki tobie doznałam. Pisz, o ile czas, dobre chęci i wspomnienie wiernej Olgi do pióra cię będą skłaniały. Listy twoje są dla mnie obecnie najmiłą rozrywką; wierz jednak, że nie wpadnę w ponurą rozpacz, gdy mi je przestaniesz przysyłać. Żądam tak mało od życia, a miłość naszą pamiętać będę tak długo! Stanem moim nie kłopotcz się bynajmniej, jeszcze raz cię o to proszę. Za kilka tygodni doniosę ci coś stanowczego o sobie. Zdaje mi się, że to, co wczoraj sama obmyśliłam, będzie najlepsze. Twoja Olga kocha cię dotąd. Kochaj i ty ją, o ile nie spotkasz na drodze swego życia lepszej, ładniejszej i miłszej odemnie.

Adres mój, w ciągu dwóch ostatnich tygodni, ten sam jeszcze, co i dawniej. Potem—zmienię go chwilowo, o czem nie omieszkać cię zawiadomić.

Bywaj mi zdrów, drogi Lolo! Powtarzam myślą i głośno twe imię po wiele razy, tak, jak lubileś, abym je wymawiała: z akcentem na drugiej zgłosce.

Czy w kraju—wszyscy twoi — nazywają cię tak samo?"

Głos czytającego ucichł. Słyszałem znowu szelest składanego i chowanego prawdopodobnie do pugilaresu papieru.

— Zuch dziewczyna! — prawda?—zawołał Aleksander.

— Takich więcej — a życie przestałoby być beczką Danaïd dla łez niewieścich—odpowiedział Ludwik.

W salonie odezwały się dźwięki fortepianu.

Marynia zaczęła akompaniament do piosenki Boglera, którą miała zaśpiewać na ogólne żądanie.

Panowie Aleksander i Ludwik wyszli z gabinetu.

Przed samą kolacją, udając się na miejsce, wskazane mi przez gospodarstwo, przeszedłem obok panny Maryi.

Ludwik i Aleksander rozmawiali z nią.

— Slicznie pani śpiewała!

— Łzy drżały w jej głosie — rzekł pierwszy.

— Jesteś pani prawdziwą kobietą—szepnął drugi, nachylając się nieznacznie do prawego uszka.



PESYMISTKA.

Helena do Stasi.

Draga moja! Nie wiem dobrze, jak dawno przestałyśmy pisywać do siebie. Ostatni mój list, przesłany pod twoim adresem dwa, czy trzy lata temu, zawierał kilka suchych kwiatów i wiersz do albumu: czyś je odebrała? Przypuszczam, że tak i czuję się w prawie zrobienia ci wymówki, że prędko, zbyt prędko zapomniałaś o wzajemnych naszych przyrzeczeniach jaknajczęstszego pisywania do siebie. Mnie tak wyraźnie stoją w pamięci wszystkie chwile z tobą przebyte! To, czem imponowałaś mi zawsze, energia i żywość twoja, dziś jeszcze każą mi myśleć o tobie z tem samem uwielbieniem, jakie okazywałam ci, gdyśmy były razem, dziś, jak trzy, cztery i pięć lat temu, zazdroszczę ci twego szczęśliwego, wesołego, wiecznie czynnego usposobienia, twego hartu woli,

i wyciągam ręce do ciebie, jak do bohaterki.

Czy pamiętasz pierwszą naszą rozmowę przed siedmiu, czy ośmiu laty, kiedy ja tylko co wstałam na pensję, gdy ty byłeś tam już od roku?

Siedziałam osowiała w klasie, jak zwykle: koleżanki, biegające podczas pauzy po wielkiej sali rekreacyjnej, wydały mi się stadem rozhukanych wilków, które czyhają na mnie, biednego, wystraszonego, w kącie tulącego się baranka. Ty zbliżyłaś się do mnie i na okładce brulionu, który wyrwałaś mi z ręki, zaczęłaś rysować karykaturę nauczyciela naszego, Niemca, grubego „antalka,” z twarzą, jak wydęty czerwony pęcherz, do środka, którego przyczepiono kulkę w kształcie sinofioletowej bergamotki, nos starego piwosza... Mówiłaś zawsze, że gdyby ktoś na końcu owego nosa umieścił cyrkiel, obrót jego równałby się doskonałemu geometrycznemu okręgowi koła, jakie stanowił właśnie główny kontur oblicza „antalka...”

Nie zdołałaś wykończyć rysunku swego: ręce, przyczepione do boków korpusu, naksztalt łap krokodylich, jak u clownów w cyrku, były naszkicowane kilkoma rzutami ołów-

ka za ledwie, gdy jedna z koleżanek naszych, czarna Jóźka, podbiegłszy ku nam, wyrwała ci kajet z rąk. Rozpoczął się hałas i krzyk nie do opisania; wszystkie klasy obstały Józję: nawet szóstaki zagadywały do niej uprzejmie, aby im tylko zechciała pokazać karykaturę „antalka.” Brulion mój przechodził z rąk do rąk, wywołując kaskady śmiechu i okrzyki dzikiej radości: gruba Julia z łydkami, jak globusy, skakała z nim nawet po klasie. Ja jedna tylko siedziałam w kącie nieporuszona: zdawało mi się, że nademną huczą miliony bąków i os zjadliwych, które rzucą się na mnie, aby mię zadziobać. Ty przybiegłaś do mnie, i spojrzawszy mi w twarz dużemi swemi, błękitnemi jak skrawki nieba, oczyma, spytałaś:

— Czemuś ty taka smutna? Dlaczego nie śmiesz się wraz z nami?

Nazywałeś mnie „rozmazańcem,” „dzikusiem,” „naleśnikiem rozlanym na patelni.”

Jak dzikus, spuściłam powieki i mruknęłam z cicha:

— Nie lubię śmiać się; mam przesąd: zdaje mi się, że po każdym śmiechu spotka mię jakieś zmartwienie i będę płakała.

Ty rzuciłaś na mnie pytające, pełne zdziwienia spojrzenie.

— Kto cię nauczył zabobonów? — zagadnęłaś z uśmiechem.

— Nikt — odrzekłam, nie podnosząc powiek; — życie smutne, to rzecz wiadoma...

Wybuchnęłaś głośnym śmiechem. Wykręciwszy przedemną młynka na pięcie, zawołałaś:

— Chyba kto chory u was, kiedy wygłaszasz takie pesymistyczne zdania. U nas wszyscy zdrowi i weseli; rodzice gniewają się na mnie, ilekroć, choć przez chwilę, spuszczę nos na kwintę: to też — nie rozumiem, jak można narzekać i dowodzić, że źle na świecie... Ja chciałabym być Matuzalem. Milion lat życia jeszcze byłoby mi mało... Na starość — ubiorę się w ciepłe pantofle, skasuję grzywkę, żebym nie miała kłopotu z czesaniem, będę nosiła szerokie flanelowe kaftany, każę wprawić sobie zęby, urządzę się tak, żeby mi było jaknajwygodniej i nigdy, przenigdy nie dam się wziąć śmierci... Niema nic rozkoszniejszego, słodsze, milszego, bardziej uroczego nad życie!...

Wyciągnąwszy ręce nad głowę i pukając palcami, niby kastanietami, zaczęłaś wykręcać piruety bolera. „Zupa nic” (pamiętasz, tak nazywaliśmy bladą, konopiasto-włosą Kazię Janicką z czwartej klasy), stanęła naprost ciebie: tańczyłyście razem tak ładnie, że nawet „Krokodyl” i „Żyrafa,” dwie damy klasowe, jedna chytra i zła jak jaszczurka, druga — sztywna jak gors krochmalnej koszuli, — dały wam brawo.

Ja nie patrzyłam na was: spuściwszy oczy i oparłszy głowę na rękę, myślałam:

— Czemu nie mogę być taka wesola, jak one, dlaczego, jak one nie umiem śmiać się i dokazywać?

Posłuchaj historyi mego dzieciństwa, którą dziś dopiero rozumiem.

Przyszłam na świat wątłem, nerwowem dzieckiem. Od najmłodszych lat cierpiałam na spleeny, po których następowały zawsze wybuchy naglej, szalonej radości. Skakałam wówczas po pokojach, suwałam krzesła z hałasem, przewracałam zabawki, śmiałam się i biegałam w kółko, jak opętana.

Matka moja zawołała mnie raz w takiej chwili do siebie i wzięwszy na kolana, odezwiała się uroczystym głosem:

— Moje dziecko, wpadasz w dwie ostateczności: albo godzinami całemi siedzisz w kącie, osowiała, jak gdyby spotkało cię największe w świecie nieszczęście, albo też—biegasz, skaczesz, jak waryatka. Jedno i drugie niedobre: płakać będziesz musiała nieraz z konieczności, gdy dorosniesz, a do śmiechu nie powinnaś zanadto przywykać, żeby łzy nie kosztowały cię później zbyt wiele. Życie nie wesołe, przekonasz się o tem niejednokrotnie.

Dzika moja radość skończyła się jednej chwili. Usiadłam w kącie, zasępiona, pytając sama siebie:

— Dlaczego ja z konieczności będę musiała płakać, gdy dorosnę? Dlaczego życie niewesołe?

Urodziny moje wypadły w same Zadzuszki. Od najmłodszych lat moich, matka brała mię tego dnia zawsze na cmentarz. Paliliśmy świece na mogiłach dwóch moich zmarłych braciszków; klęcząc, modliliśmy się tam do późnego wieczora. Dokoła nas słychać było płacz i tłumione łkania. Matka moja, wskazując mi coraz to jakąś postać, wylaniającą się we mgle zmroku, mówiła:

— Patrz, ta pani bardzo nieszczęśliwa: miała jedyną córeczkę i straciła ją rok temu.

Wtem—spozstrzegłam zdaleka, iż matka moja nadchodzi. Przerażona, wiedząc, że spotka mię kara, chciałam ześlizgnąć się nieznacznie z gałęzi, na której zawisłam; już docierałam do zgrubiałej osady pnia, gdzie kończyły się gałęzie, gdy nagle wiatr silniej szarpnął drzewem, a matka jednocześnie, spozstrzegłszy mię, zaczęła wołać:

— Ty paskudna, niezdolna dziewczyno, zobaczysz, co spotka cię za to!...

W trwodze i przerażeniu odczepiłam ręce od pnia i—nie wiem już, co się zemną stało, usłyszałam tylko nagle głośne stuknięcie i uczułam ból w prawej skroni...

W chwilę później przyniesiono mię do domu zemdloną. Kilka godzin minęło, zanim doszłam do przytomności. Pamiętam, szaro było w pokoju, kiedy otworzyłam oczy i ze zdziwieniem spozstrzegłam, że leżę na łóżku i że nie ma dokoła mnie nikogo.

Serce zabiło mi z przestachu. Czarna kotka podeszła do mnie, patrząc mi w twarz żółtemi jak topazy oczyma; każde jej stąpienie wydawało mi się głośnym łoskotem: bałam się czegoś; strach zapierał mi oddech; chciałam zamknąć powieki a nie mogłam: jakaś niepojęta siła kazała mi wpić wzrok

wprost przed siebie w arabeski wielkiej dywanowej portiery, które skakały przedemną, przybierając kształty olbrzymich zygzakowatych potworów.

Co przecierpiałam przez tę jedną chwilę, tego określić nie umiem: to pewne, że wtedy powiedziałam sobie:

— Mama ma słuszość: nie trzeba śmiać się... Gdybym nie była taka wesola z rana, może teraz nie byłoby mi tak smutno i nie bałabym się tak strasznie i nie czułabym takiego bólu w skroni.

Od tego dnia w umyśle moim powstała zabobonna trwoga: ilekroć zaczęłam bawić się z kotem albo z lalką wesolo, zaraz mówiłam sobie:

— Za chwilę z pewnością będę płakała... i poważniałam natychmiast.

Przywykłam do przesiadywania całymi godzinami w kącie, za długim, brązowym szeslongiem, który stał w pokoju moim i bony; przywykłam do częstych, samotnych rozmyślań. Raz, patrząc na zapadający zwolna zmierzch po skwarnym dniu letnim, zapytałam sama siebie:

— Dlaczego po kilku godzinach słońca, następuje zawsze noc głucha, ponura?...

Odpowiedziałam sama sobie natychmiast, nie zastanawiając się długo:

— Dlatego, że na świecie długo dobrze być nie może...

Rozumiesz teraz, z kąd powstał mój zabobon, który niegdyś zdziwił cię tak bardzo?...

Trwa on dotychczas; dziś jeszcze nieznośny głos sępa, czy puchacza, krzyczy we wnętrzu mnie, ilekroć spotka mię co dobrego:

— Nie ciesz się długo: radość swoją odpokutujesz łzami rzęsimi...

Jak Don Kiszot z wiatrakami, tak ja walczę wiecznie z urojonym smutkiem i szeregiem czyhających na mnie zewsząd przykrości...

Świadomość urojeń nie wpływa na wyleczenie się z nich: doznaję wrażenie człowieka, któremu na głowę rzucono czarny kaptur, z kłutwą noszenia go przez całe życie...

Moje spleeny wracają coraz częściej i trwają coraz dłużej. Kiedy śmiałam się po raz ostatni?—nie pamiętam. Niekiedy wpadam w kilkogodzinne zamyślenie, w ciągu którego wzrok mój, jak wzrok pijaka lub waryata patrzy w jeden punkt nieruchomie. Gdy ktoś wówczas wypowie moje imię, drżę całym ciałem, jakby ze snu zbudzona i odpo-

wiadam nieprzytomnie na zadawane mi pytania...

Boję się o siebie i dlatego, po kilku latach przerwy w korespondencji naszej, piszę ten list. Gawędząc z tobą, widzę wyraźnie pogodną twarz twoją i to mnie uspokaja, jak porcja bromu, zażyta w czasie ataku spazmów.

Któregoś dnia, dla rozweselenia się, otworzyłam całą pakę bilecików, jakie pisałaś do mnie w czasie wakacyi między czwartą a piątą klasą. Miałyśmy wtedy po lat czternaście. U nas w domu zaszła wielka zmiana. Pewnego ranka po bardzo burzliwej nocy, w czasie której panował u nas ruch wielki, ojciec oznajmił mi, że mam braciszka.

Syn był marzeniem rodziców. Moje przyjście na świat, jako dziewczyny, powitali niegdyś oznaką niezadowolenia.

— Cieszę się—rzekł ojciec, całując mnie w głowę—że nie będziesz już sama: przybyła nam śliczna, mała laleczka, którą będziemy bawili się wszyscy...

Nigdy jeszcze nie widziałam go tak szczęśliwym i rozpromienionym, jak wtedy.

— Sam zajmę się wychowaniem malca, sam będę myślał o nim: muszę go wykiero-

wać na człowieka, muszę dać mu rozum, zdrowie, naukę... powtórzył kilkakrotnie.

Gdy wprowadzono mię do pokoju mamy, abym poznała braciszka, nie mogłam pokryć wrażenia przykrego zawodu, jakiego naraz doznałam: malec był siny, brzydki, przypominał żabę, którą się brzydziłam; piąstki miał zimne, skulone; pisał jak kociak.

— Nie pocałujesz go?—spytała matka.

Wybiegłam z pokoju. Nie byłam w stanie przewyciężyć się: coś odpychało mię od tej malej, sinej istotki, którą kazano mi kochać, dlatego że była moim bratem...

Matka do dziś dnia nie może darować mi przykrości, jaką zrobiłam jej wtedy: stała się surową, wymagającą względem mnie, na każdym kroku mówiła, ilekroć zrobiłam coś nie według jej woli:

— Chłopcze by to uszło, lecz dziewczynce... wstydz się, wstydz!

Od pierwszej chwili przyjścia na świat naszego malca poznałam, jak wielka różnica między chłopcem a dziewczyną: syna wita się z tryumfem, jak patryarchę rodu; córkę z rezygnacją, jak krzywdę losu...

Józiek odebrał mi serce rodziców w zupełności. Od czasu śmierci dwóch moich bra-

ci marzyli oni o chłopcu: skoro życzenia ich zostały spełnione, każda myśl ojca i matki obracała się dokoła małej żabki, która wyrażała na ładne, zdrowe i figlarne dziecko. Mnie zaniedbano w zupełności. Mogłam całymi godzinami być po za domem: nikt nie troszczył się o to.

Korzystałam ze swobody tyle tylko, iż na pół dnia biegłam pod ów pamiętny kasztan na podwórzu, z książką w ręku. Lalkami bawić się nie lubiłam: martwy wyraz szklanych ich oczów, sztywny kadłub, który można było kłuć szpilkami bez wywołania bólu, sprawiały mi wstręt niewypowiedziany. Z dwojga złego, wołałam uczyć się na zapas francuskich słówek, aniżeli piastować milczące te, bezduszne manekiny.

Nieraz opanowywała mię straszna, niepojęta nuda: zdawało mi się, że dzień trwa wiek cały, że słońce nie zajdzie nigdy; mdliło mię formalnie; nie mogłam znaleźć sobie miejsca; włóczyłam się z kąta w kąt, jak błędna owca...

Lubiłam czytać, lecz nie dawano mi książek; ilekroć upominałam się o nie, matka odpowiadała:

— Nie nudź mnie: dosyć jeszcze czasu będziesz miała na czytanie, gdy dorosniesz.

Brałam więc do ręki powiastki, które ty jeszcze w drugiej klasie przysłałaś mi na imieniny i, po raz setny może, płakałam nad przejściami „biednego Henrysia,” nad „pamiętnikiem młodej sieroty,” nad „wspomnieniami wygnanki.” Zazdrościłam im, że byli naprawdę tacy nieszczęśliwi: smutek mój wydawał mi się biernym wobec prawdziwych, wielkich cierpień...

Nieraz miałam ochotę pomówić z kim o sobie, o wrażeniach i uczuciach, jakich doznawałam: niestety, rodzice, jednym słowem nie zachęcili mnie nigdy do poufnej gawędy, a ty... ty pisałaś takie wesołe, swobodne listy, tak ci było dobrze na wakacyach u krewnych, że nie chciałam skargami swemi mącić radosnych twych okrzyków.

Oto leży przedemną świstek, wydarty z kajetu zapewne, na którym piszesz mi, odbywając podróż na wieś sama:

„Jadę pierwszą klasą, mam na sobie aksamitny stanik, czytam francuską książkę i jem karmelki: wszyscy biorą mię za hrabinę...”

A potem—obszerny list z tragi-komiczną

historią pierwszego twego romansu; pewnie nie pamiętasz? Przytaczam zwierzenia twe dosłownie:

„Ah, gdybyś wiedziała, co się tu działo przedwcześniej! Tydzień temu przyjechał na wieś do cioci Maniek, brat Florki, rówieśniczki naszej, która tu bawi oddawna. Maniek skończył w tym roku gimnazjum i po wakacjach wstępuje na przyrodę, ma już mundur z galonami i ogromny szary płaszcz, jak generał; bardzo mu w nim dobrze, tylko trudno skakać przez płoty...

„Maniek od pierwszego spojrzenia zakochał się we mnie: powiedział do Florki i do Kazi, mojej siostry ciotecznej, że takich oczów, jakie ja mam, nie widział jeszcze u żadnej kobiety... Czytał przed przyjazdem tutaj jakąś powieść Zoli, (żałuję, że ja nie czytałam jej również: mielibyśmy temat do poważnej rozmowy); otóż, o bohaterce tej powieści Zola mówi ciągle: „oczy ma koloru barwinku...” Maniek twierdzi, że ja przypominam mu w zupełności tę bohaterkę: przez Florę oświadczył mi się onegdaj i prosił, abyśmy zostali narzeczonymi, na znak zaś, że ja jestem mu wzajemną, żądał przysłania mu pukla moich włosów...

„Panny dorosłe mają narzeczonych: dla czego ja miałabym pozbawiać się go dobrowolnie? — pomyślałam — i pozwoliłam Florce odciąć sobie pukiel grzywki, maciupeńki, jak pół twojego piątego palca... Związała go przy mnie jedwabną nitką; w pół godziny później Maniek, przechodząc koło mnie, szepnął nieznacznie „dziękuję pani”, takim drżącym głosem, że o mało nie rozplakałam się z radości. Wyobrażałam sobie w tej chwili, że jestem dorosła i że za rok najpóźniej weźmiemy ślub z Mańkiem... Nazajutrz taki sam pukiel tylko nie jasnych, jak moje, lecz ciemnych, prawie czarnych włosów, dostałam ja znowu z rąk Florki, która była dumna, że kieruje naszą miłością.

„Jakiś odurzający zapach bił od tych włosów: miałam ochotę pocałować je i do serca przycisnąć: zdawało mi się, że tak robią panny dorosłe...

„Florka zostawiła mnie samą, wiedząc, iż tak będzie najlepiej; ja bawiłam się w dalszym ciągu zwitkiem włosów, myśląc, jak to dobrze kochać i być kochaną... Coś kusilo mnie coraz bardziej, aby ucałować dar Mańka. W chwili, gdy podniosłam go do ust z po-

wagę i namaszczeniem tęsknej oblubienicy, usłyszałam za sobą ostry głos męski:

„—Co to znaczy? Co trzymasz w ręku?—pytano mnie.

„Zdzisław, brat mój cioteczny, stał za mną i sięgał po pukiel, różową niteczką związany.

„Byłam zgubiona. Zdzisław nie mógł nie poznać włosów Mańka, kręconych i lśniących, jak jedwab.

„Pukiel wypadł mi z rąk. Ukłękłam przed Zdzisławem i błagałam, żeby mnie zabił, otrul, powiesił, zrobił ze mną, co zechce, aby tylko nie powiedział wszystkiego mamusi, która od tygodnia bawiła na wsi...

„Znasz moją mateczkę, wiesz, że jest dobra dla mnie i kocha mnie, lecz, że surowo karci każde moje waryactwo.

„Zdzisław przyrzekł milczeć. Zdawało mi się, że sprawa skończona. Spaliłam włosy Mańka i postanowiłam nie myśleć o nich...

„Nieszczęście mieć chciało, iż w parę dni później wypadł odpust w parafii, a ciotka moja, pobożna do niemożliwości, zażądała, abyśmy wszyscy poszli do spowiedzi. Mateczka, która zwykle przed spowiedzią z dro-

biazgową skrupulatnością roztrząsa mi sumienie, spytała, patrząc mi w oczy:

„— Przypomnij sobie, czyś nie zataiła czegośkolwiek przedemną w tych czasach? Wiesz, że to najcięższy grzech mieć tajemnice przed matką...

„Nie umiem opowiedzieć ci, co się ze mną stało w tej chwili: upadłam jej do nóg: szlochając, drżącym ze strachu głosem wyznałam wszystko.

„Kazia i Zdzisław wysłuchali całej mojej spowiedzi w sąsiednim pokoju; byłabym ich zabiła ze złości: śmieli się wówczas, gdy mnie serce pękało z trwogi, żalu i upokorzenia...

„Mateczka wysłuchiwała mnie spokojnie.

„— To bardzo źle, żeś przyjęła włosy Mańka i posłała mu nawzajem swoje, bez poradzenia się mnie — odparła po chwili:—to bardzo źle: mam nadzieję, iż podobna okoliczność nie zajdzie już nigdy; daj mi słowo, że od dnia dzisiejszego nie będziesz miała tajemnic przedemną.

„Przyrzekłam uroczyście. Mateczka ucłowała mnie i prosiła, abym zażądała przez Florę zwrotu moich włosów.

„Od tego czasu czuję, że mateczka nie spuszcza ze mnie oka, gdy rozmawiam z Mań-

kiem. Drzę wówczas, czerwienię się i spuszczam powieki, sama nie wiem, czemu?

„Ah, gdybyż to raz już być dorosłą panną i unikać tej nieznosnej kontroli starszych!...

„Kazia po całych dniach siedzi w ogrodzie z narzeczonym swoim: z pewnością całują się, a jednak nikt ich nie śledzi...

„Nam, czwartoklasistkom, wszystkiego zabraniają: pomimo to, dobrze się bawię. Maniek namawia mnie, aby wstąpić do uniwersytetu: myślę o tem. Chciałabym zostać doktorem, ciebie mianowałabym wówczas felczerką swoją!... Maniek ma studyować przyrodę: jeżeli pobierzemy się kiedy, każę botanizować mu lecznicze zioła!...

„Tragiczna historia z włosami zbliżyła nas do siebie. Maniek wie o wszystkim. Nie wyręczamy się teraz już Florką: co mamy powiedzieć sobie, mówimy wręcz sami... Codzień, niby mimowolnie, spotykamy się zrana w oranżeryi: mateczka pije wody wówczas i chodzi po wielkim parku, nie czuję zatem kontrolujących jej spojrzeń...

„Za pięć lat pobierzemy się z Mańkiem na pewno: powiedzieliśmy to sobie...

„Bawię się tutaj świetnie; wczoraj były

ujął cię w pól i niby przez gazetę, a w rzeczywistości bez żadnego przewodnika, pocałował cię w same usta...

Ta śmiałość oburzyła cię do najwyższego stopnia. Kazalaś wyjechać Mańkowi tego dnia zaraz i odtąd wypowiedziałaś mężczyznom otwartą wojnę. Zamiar wstąpienia na medycynę rósł i dojrzewał w twym umyśle. Zrobiłaś ślub przed ołtarzem pensjonarskiej kaplicy, że nie wyjdiesz za mąż nigdy. Na marginesach brulionu, na stołach i ławkach, na tablicy kredą, zaczęłaś wypisywać słowa głębokiego przekonania swego, a mianowicie: „Mężczyźni są bezczelni.”

„Krokodyl” i „żyrafa” raz o mało nie zostawiły cię w kozie za ten aforyzm, a przełożona wystąpiła z oracyą, której kwintesencyę stanowił wniosek, że mężczyźni są wprawdzie bezczelni i to nawet bardzo, że nie wypada jednak młodym panienkom myśleć i mówić o tem, a cóż dopiero wypisywać zdanie podobne kredą na tablicy w chwili, gdy nauczyciel wchodzi do klasy...

Czy pamiętasz rozmowy nasze w szóstej klasie? Ty myślałaś już tylko o swojej medycynie. Mężczyźni zbrzydli ci tak, że odwracałaś się tyłem do wszystkich studentów

i robiłaś im na ulicy nawet najstraszniejsze impertynencye.

Leczenie chorych stało się ulubionem twem zajęciem. Urządziłaś sobie domową apteczkę i zaczęłaś wykradać ojcu swemu książki medyczne. Opowiadałaś mi zawsze z powagą apostołki, że życie swoje poświęcisz tylko pracy i społeczeństwu. Ja płakałam, słuchając ciebie, byłaś dla mnie zjawiskiem, przed którym chyliłam czoło w pokorze...

— Powinnaś zostać bohaterką jakiej powieści—rzekłam raz, gdyś ty z ogniem i zapalem wygłosiła tyradę, potępiającą wyłączność przywilejów męskich i domagającą się równouprawnienia kobiet.

Zaśmiałaś się i, niby ironicznie, lecz w gruncie rzeczy z pewną dumą zadowolenia, powiedziałaś:

— Sama napiszę romans o sobie, tytuł mam gotowy: „Falszywa dyagnoza, czyli tyfus brzuszny, podstawiony jako *ekzema*.”

Jaką mądrą wydałaś mi się w tej chwili!...

Tyle słów umiałaś, których ja nie pojmowałam zupełnie!...

Pamiętasz popis nasz ostatni? Ty byłaś

odznaczona za zdolności i szybkie postępy w nauce. Przepowiadano ci przyszłość uczonej. Ja dostałam nagrodę za pilność i wzorowe sprawowanie. Przełożona wręczyła mi ją uroczyście wobec całego grona nauczycieli, z których każdy kolejno ścisnął mnie za rękę i życzył, abym przez całe życie była tak staranną i uważną, jak dotąd. Znajomi, matki koleżanek winszowały rodzicom moim tryumfu mego. Ja byłam odurzona, upojona nim; wśród radości, jakiej doznawałam, przyszło mi na myśl jednak pytanie:

— Czy za to szczęście chwilowe nie spotka mnie wielki jaki smutek?...

Radość moja uleciała naraz, jak spłoszona jaskółka: uczułam na piersiach gniotący ciężar. Rzuciwszy nagrodę na stół obojętnie, wyszłam z salonu, gdzie było mi duszno, gdzie raził mnie gwar i widok kilkuset zebranych osób. Usiadłam w pustej naszej klasie. Wciśnięta w ostatnią ławkę, zasłoniłam chustką oczy, gdy ty wpadłaś do mnie nagle z hałasem.

— Dziś wieczorem odjeżdżam!—zawołałaś.—Nie zobaczymy się już może nigdy. Żegnaj cię; za chwilę wychodzę; mama i ciotka zabierają mnie ze sobą. Bądź zdrowa. Nie

maż się w przyszłości tak, jak teraz. Spraw sobie jasne okulary, żebyś nie patrzyła na ludzi, jak na żałobników lub kominiarzy. Ile kroć zbierze ci się na płacz, spojrzij na globus, a przekonasz się, że świat i bez twoich łez mokry: więcej na nim wód, aniżeli ładu. Jeżeli przyjdzie ci kiedy ochota wypowiedania się ze smutnych rozpamiętywań swoich, napisz do mnie: ja mogę wprowadzić listów twych nie czytać, lecz ty ulżysz sobie przynajmniej upustem skarg...

Wyciągnęłaś mię z ławki na środek klasy i obracając mną, jak manekinem, wydałaś kilka okrzyków dzikiej, szalonej radości.

— Za rok już będę daleko stąd!—zawołałaś w tryumfie. Schwyciwszy leżący na pulpicie ławki otwarty scyzoryk, zrobiłaś nim kilka zamasztych cięć w powietrzu na znak, iż niebawem będziesz z takim samym rozmachem krajała trupy w prosektoryum...

Byłaś szczęśliwa, rozpromieniona, wierzyłaś w samodzielną przyszłość swoją, garnęłaś się do niej z zapalem. Moje myśli bierne, słabe, nie mogły mieć tego polotu. Uścisnęłam cię serdecznie, nie zazdroszcząc niczego, myśląc jednak:

— Wolałabym być nią, aniżeli sobą...

Cztery lata minęły od tego czasu i cóż?...

Ty bliską już jesteś zapewne biretu: ja... „rozmazaniec, naleśnik, rozlany na patelni,” wyczekuję na męża i w tej chwili wyczekiwanie to dławi mię w gardle, jak złe połknięty ogryzek twardej gruszki...

Ty nie masz czasu rozmyślać nad tem, że być „panną na wydaniu,” to znaczy, pilnować wdzięków swoich, jak sezonowych nowalii w inspektach; to znaczy stać na straży spojrzeń i słów swoich, sztukami zręcznego żonglera zaznaczać każdej chwili wartość swoją moralną i umysłową, chwalić się nieznacznie, niedostrzegalnie, lub—dla kontrastu—podnosić czasami wady swoje, nie te prawdziwe, które mogłyby obniżyć w oczach kupca cenę towaru, lecz urojone, z którymi do twarzy kobiecie, nie mającej jeszcze lat dwudziestu pięciu, które wykazywane głośno, świadczą o szczerości i mają pozór lekkiej, słodkiej szumowinki, zebranej z barwnej, wonnej konfitury... Rodzice, przyjaciele, znajomi, służba, towarzyszki i rówieśniczki, urojeni lub rzeczywiście wielbiciel, wszyscy oni sprzysięgają się do kształcenia w nas tej obłud, mianując ją „finezyą i sprytem,” którymi zwycięża kobieta kamienne serca.

Ilekoć rozmawiam z X^{-em} lub Y^{-kiem}, którego wskazują mi jako konkurenta, ilekoć spojrzeniem, słowem, gestem staram się zwrócić uwagę jego na cnoty, jakich nie posiadam, czuję niesmak, podobny—przypuszczam—do zgagi pijaków nazajutrz po całonocnej orgii. Wyrzucam sobie fałsz, obłudę, a jednak—wracam do nich, gdyż matka, ciotka, znajomi, przyjaciele twierdzą, iż bez t. zw. sprytnej kokieterii panna nie wyjdzie za mąż; gdyż mężczyźni omijają mię w salonie, kiedy jestem sobą, to znaczy—kiedy wpadam w jeden z długich swoich spleenów, w ciągu których świat wydaje mi się koszlawą, sztucznie wzdętą banią, lecącą w przepaść.

Nazajutrz po skończeniu pensyi usłyszałam, jak matka moja odezwała się do ojca:

— Trzeba będzie pomyśleć na zimę o zawarciu nowych jakich stosunków. Musimy zrobić z siebie poświęcenie i zacząć bywać w świecie dla naszej Heli: inaczej — nie wydamy jej za mąż...

W kilka dni później, przy obiedzie, matka podniosła kwestyę strojów, w jakich miałam wystąpić na wieczorkach zimowych. Jedna z ciotek, która była obecną przytem, dodała wówczas pół seryo, pół żartem:

— Staraj się podobać: inaczej—nie wyjdiesz za mąż, a rodzicom spadnie wielki ciężar z piersi, gdy los twój ustalą.

„Ustaleniem losu” nazywa się wydanie panny za człowieka, z całej osoby którego najdokładniej znanym jest otoczeniu krój tużurka, w którym odbywa konkury i firma kapelusza, z jakim wchodzi do salonu...

Myśl ta błyskawicznie przebiegła mi przez głowę, nie zastanawiałam się nad nią jednak, przez wrodzoną uległość dla starszych, którzy innego byli zdania. Całą uwagę natomiast skupiłam na słowa: „Staraj się podobać!...” Co one mają znaczyć? W jaki sposób powinienam zastosować się do nich?—spytałam sama siebie.

Codzień rano od tego czasu zaczęłam się przeglądać w lustrze, badać kolory, w których najwięcej mi do twarzy, upinać włosy, przymierzać staniki, porównywać figurę swoją, oczy, usta, zęby z figurą, oczami, ustami Jóźki, Adeli, Zosi i innych rówieśniczek moich. Czułam instynktowną niechęć do siebie w czasie podobnej samoobserwacyi, a jednak—z każdym dniem bardziej zaczęła mię ona pochłaniać. Tyle godzin czasu miałam przed sobą, a taką pustkę w sobie i dokoła siebie!...

Na pierwszym raucie u dalekich krewnych, którym rodzice wraz ze mną złożyli wizytę, wystąpiłam w uczesaniu greckiem, które postarzało mię wprawdzie, lecz uwydatniało za to biały mój karczek, zachwycający dotąd tylko pokojówkę Joasię, i drobne, jasne kędziorki, opadające na szyję w sztucznie sfryzowanych loczkach.

Serce biło mi, kiedy wchodziłam do sali: pierś falowała tak silnie, iż przypuszczałam, że kwiat, przypięty do stanika, spadnie, sto czy się lada chwila na gładką, froterowaną posadzkę.

Grupy pań i panów zlewały się w jedno koło pstrych, brzęczących postaci: nie mogłam rozróżnić na razie nikogo; nazwiska i tytuły przedstawianych mi osób brzmiały w uszach moich, jak wyliczania fantów, licytowanych w lombardzie. Byłabym uciekła z salonu, gdyby nie mama, która szeptała mi ciągle:

— Nie bądź taka dzika. — Patrz na wszystkich uprzejmie. Podaj rękę każdej z witających cię panien. Starszym paniom kłaniaj się nisko, z szacunkiem.

Posadzono mię w rogu pokoju pod wielką gipsową figurą, która — zdawało mi się —

miała wyraz satyra, szczerzącego ku mnie zęby szyderczo, a która w rzeczywistości wyobrażała natchnionego mistrza-poetę.

Wachlowałam się szybko, niecierpliwie, nie mając pojęcia, czy to uchodzi lub nie na wstępie do salonu. Pod powiekami migaly mi światła lamp i kinkietów, wydłużając się w natrętne smugi, których żar obezwładniał... Byłam bliska zemdlenia z gorąca i duchoty, gdy w tem owiał mię prąd lodowy. Wysocki brunet w binoklach, przedstawiony mi przed chwilą, przystąpił do mnie, prosząc, bym pozwoliła mu zająć puste krzesło obok siebie.

— Czy wolno mi nazwać panią wiosną? — spytał drżącym zlekka głosem, patrząc na mnie z prawdziwym czy udanym zachwytem. — Chabrowe oczy i usta barwy polnych goździków każą zapomnieć, że na dworze ostry szron zimowy i zawierucha...

Zasypał mię tyloma naraz komplementami, które brzmiały w uszach moich, jak rozkoszne brzęczenie drobnych owadów i muszek w przestworzu cichego, wonnego powietrza, — że przestałam lękać się naraz i salonu z kalejdoskopem pstrych postaci, przypominających rój pszczół, do ula zebranych, i potopu światel i gładkiej, ślizkiej posadzki, na

której—sądziłam, iż padnę lada chwila... Serce moje zaczęło bić normalnie, nie czułam już ani upału, ani chłodu lodowego: zdawało mi się, iż pływę, jak ptak, na rozpiętych szeroko skrzydłach w przestrzeń szafirowych obłoków, gdzie dobrze, spokojnie, błogo, gdzie nimfy i chochliki wachlują zwojami gazy.

Towarzysz mój, pan Julian Sławiński, który—nie wiem czemu—przypominał mi wyklętego twego Mańka, wiedział, że jestem po raz pierwszy z salonie, że parę miesięcy temu skończyłam pensyę, pomimo to nie pytał mnie ani o profesorów, ani o ulubione przedmioty nauk, lecz mówił ze mną, jak z panną, oddawna bywającą w świecie. Opowiadał mi, że czeka mnie wiele rozrywek w ciągu bieżącego karnawału, że w kółku wspólnych naszych znajomych zapowiada się świetny bal kostyumowy, na którym ja powinnam wystąpić jako pierotka, gdyż biały kolor znakomicie odbija od barwy moich włosów i cery twarzy; że w lecie powinnam prosić rodziców, aby zawieźli mię do kąpieli morskich w Nerderney lub Heringsdorfie, gdzie czarowałabym z pewnością wszystkich „Wassergierlów”...

Gdy dano hasło, aby przejść z salonu

do jadalnego pokoju, ofiarował mi ramię, prosząc, abym zechciała przyjąć go, jako sąsiada przy kolacyi. Bawiąc mię następnie przez półtorej godziny zawzięcie, powtarzał od czasu do czasu ze znaczącem, powłóczystem spojrzaniem:

— Wiosna, cudowna, uroczą wiosna tchnie z oczów i ust pani...

Rozmawialiśmy, sama nie wiem o czym. W głowie kręciło mi się, z nadmiaru wrażeń. Odpowiadałam na pół przytomnie. Byłam przekonana, że Sławiński oświadczy mi się lada chwila...

Po skończonej kolacyi długiem uściśnieniem ręki dziękował mi za chwilę ze mną spędzone. Wyraziwszy przytem mocne ubolewanie, iż tego wieczoru zbyt prędko od „słońca i wiosny” uciekać musi, gdyż czeka nań w sąsiednim domu biały mazur, którego komendę przyjął na siebie,—dodał:

— Mam nadzieję, że pani nie pozwoli zatrzeć się wrazeniu, jakiego doznałem dzisiaj, spędziwszy kilka chwil u jej boku; sądzę, iż spotkamy się nieraz jeszcze u wspólnych znajomych: zamawiam sobie zawsze możność zapisania się do rydwanu pani, jako rycerz „błękitnej barwy”...

Tu wymowne spojrzenie rzucił na jasno-niebieską szarfę, której brzegi miałam w palcach nielitościwie.

Wymknął się po angielsku, nie pożegnawszy nawet gospodarstwa.

Ja zostałam sama na środku salonu pod wielką lampą wiszącą z czteroramiennymi kandelabrami, które — przypuszczałam — runą na mnie lada chwila.

W głowie kręciło mi się coraz mocniej. Echo słów Sławińskiego brzmiało mi w uszach, jak szmer kaskady, wonią hyacenty, róż i heliotropów nasyconej. Gwar rozmowy, którą prowadziło towarzystwo, nie bacząc na osamotnioną jednostkę, szelest potrącających mnie co chwila jedwabnych spódniczek, trzepotanie wachlarzy, niby ruch ptasich skrzydeł, rozpinanych i składanych co chwila, zapach ixory, fiołków i rezedy, unoszący się w salonie, odurzyły mnie do reszty. Padłam na fotel, wsunięty za wielki słup marmurowy z popiersiem Szopena i oparłszy głowę na rękę, wysłuchałam popisu utalentowanego skrzypka, który przy akompaniamencie fortepianu, wykonał koncert Brucha.

Muzyka uspokoiła mnie. Po skończonym koncercie spojrzałam przytomniej dokoła sie-

bie, a nawet, po chwili, przyłączyłam się do grupy panien, prowadzących zaciętą sprzeczkę o to, czy blondynki mogą nosić bez ujmy dla kolorytu cery swojej żółty kolor, czy nie?...

Wyszliśmy z wieczoru pierwsi, ojciec bowiem czuł się zmęczony.

— Czy uważałeś, jak Sławiński asystował Helci—szepnęła matka w chwili, gdyśmy przestępowali próg bramy.

Słowa jej pochwyciłam mimowoli. Uczułam lekką podniecie. W głębi mego umysłu budziła się ambicya kokietki, która pragnie widzieć u stóp swoich stu mężczyzn, błagających kornie o jedno jej spojrzenie.

Matka szeptała ciągle coś do ucha ojcu. Dźwięk sanek, nawoływania stójkowego i ciężkie miarowe kroki stróżów nocnych głużyły jej słowa, mimo to jednak słyszałam, iż mówiono o mnie: rodzice zachwycali się powodzeniem, jakiego doznałam.

Nie mogłam zasnąć tej nocy długo, bardzo długo. W półsennych halucynacjach płątał mi się szereg obrazów z minionego rautu; grupy pań i panów, których poznałam, migwały pod powiekami memi, nakształt mknących szybko chińskich cieni. Ponad wszystki-

mi jednak żywo i ciągle unosiła się twarz bruneta w binoklach, wpatzonego we mnie.

— Co to znaczy, gdy się kogoś tak wyraźnie widzi przed sobą?—spytałam sama siebie, myśląc o Sławińskim.

Naraz przypomniał mi się dramat Szekspira, który czytałyśmy w piątej klasie razem podczas pauzy, w sekrecie przed „żyrafą” i lizusem szkolnym, czarną Józką.

Romeo od pierwszego wejrzenia pokochał Julię; Julia od pierwszego wejrzenia uczuła w piersiach swoich gorącą miłość dla Romea...

Czy ze mną ma być tak samo? Czy los przeznacza mi Sławińskiego jako Romea, który powinien rozbudzić we mnie serce?

Gdy nad ranem sen skleił mi powieki, śniło mi się, że Sławiński był poprostu przeistoczonym twoim Mańkiem, który najpierw ofiarował mi pukiel świeżo obciętych włosów, a następnie—chciał mię całować. Uciekałam przed nim, lecz przeszkadzały mi spętane we śnie nogi.

Słońce zaglądało przez szyby okien, gdy matka stanęła nademną, a widząc, iż otwieram oczy, spytała:

— Jakżeż ci się podobał wczorajszy twój

asystent? Czy wyszłabyś za niego, gdyby ci się oświadczył?

Pytanie to tak żywo wpadło w tok sennych moich halucynacyi, rzeczywistość przez usta matki tak legalizowała je niejako, że czułam się w zupełnem prawie snucia nadal marzeń swoich i badania pulsu serca, które na każdą wzmiankę o Sławińskim uderzało żywiej.

Zaczęto prześladować mię nim na dobre. Jeżeli którego dnia nie miałam ochoty wyjść na spacer, lub za sprawunkami, matka odzywała się półżartem, półseryo, patrząc na mnie z ukosa:

— Gdybyś wiedziała, że spotkasz Sławińskiego, pewnie nie ociągałabyś się.

Jeżeli dziękowałam za jaką potrawę, którą częstowano mię przy obiedzie, śniadaniu, lub kolacyi, ciocia Zosia, bawiąca u nas teraz stale, szeptała mi do ucha:

— Gdyby Sławiński był tutaj i podał ci w tej chwili to samo, napewno byś mu nie odmówiła...

— On chyba dla mnie przeznaczony—myślałam podczas długich zimowych wieczorów, w ciągu których słowa: „jak Helka

wyjdzie za mąż," nie schodziły z ust mamy i cioci Zosi.

Tęskniłam za Sławińskim. Nieraz, zamknięta w swoim pokoju, wyciągałam ramiona w pustą przestrzeń, marząc o nim, przywołując, jak Julia, Romea z balkonu, wśród snopów księżycowego blasku.

Wzdychałam do cichych, jasnych, letnich nocy, do uroczych gawęd we dwoje, do szepotu słów, którym mówilibyśmy sobie:

— Tyś mój, tyś moja!...

Dźwięki niebiańskiej muzyki, coś podobnego do nastrojonych wysoko skrzypiec w orkiestrze, których melodia przelewa się i kołysze, naśladując brzęczenie komarów i szelest drzew w lesie,—opływały zmysły moje. Czułam w powietrzu wyraźnie woń fiołków, rezedy, hyacyntów i heliotropów. Padalam na fotel odurzona, szepcząc półgłosem:

— Ja go kocham!...

Na spacerach, w teatrze, na koncertach, rautach, wszędzie z niepokojem oglądałam się za bóstwem swoim.

Jak wyglądał?—zapomniałam. Niekiedy godzinami całami pracowałam nad przypomnieniem sobie najogólniejszych choćby rysów

jego twarzy, połysku włosów, barwy oczów. W chwili, gdy obraz jego stawał przedemną, jak żywy, uczuwałam nagle w sobie niepojętą siłę, która wyrwała mi go z pod powiek, zostawiając pustkę...

Tęskniłam za nim, jak musiała tęsknić Julia za Romeem... Zaspana dotąd fizycznie, naraz uczułam dziwną wibrację w całym swym jestestwie. Drżałam, czerwieniłam się, czułam tętno serca aż w samej krtani w chwili, gdy ktokolwiek, choćby mimochodem, wspomniał imię lub nazwisko Sławińskiego.

Nadszedł wreszcie termin następnego miesięcznego zebrania u krewnych mojej matki, gdzie wiedziałam, iż spotkam go napewno.

Przed wyjściem na wieczorek, ciocia Zosia sama upięła na mnie fałdy białej batystowej sukni, związała mi wstążkę u włosów, przybrała stanik kwiatami; obejrzawszy mnie wreszcie ze wszystkich stron, powtórzyła kilkakrotnie:

— Musisz być dziś ładna, aby wzmocnić wrażenie!...

Gdym wychodziła z domu, pokojówka Joasia zegnała mnie życzeniem, bym wróciła narzeczoną, a matka zrobiła nieznacznie krzyż nad moim czołem.

Sławiński tym razem zjawił się znacznie później, niż poprzednio; do kolacji podał ramię młodej, bardzo ładnej mężatce, z którą flirtowało kilku mężczyzn. Ze mną zamienił parę słów w przejściu za ledwie.

Tego wieczora jeszcze, wszyscy obecni dowiedzieli się, iż został narzeczoną bogatej wdówki, mieszkającej na wsi, pod Warszawą...

Historia Sławińskiego powtórzyła się ni mniej, ni więcej, jak trzy razy w ciągu dwóch lat ostatnich z panami: Cichockim, Daszewskim i Kosińskim. Każdy z nich kolejno prawil mi komplementy na wieczorach; dwaj ostatni złożyli nawet wizytę rodzicom moim nazajutrz po balu, na którym zostali mi przedstawieni. Daszewski przez pięć tygodni bywał u nas niemal codzień, aby po upływie tego czasu zniknąć, nie wiadomo dla czego, bez wieści.

Prawdopodobnie, każdy z tych panów liczył na posag, a przekonawszy się, iż go nie mam, cofał jak najszybciej kandydaturę swoją na męża.

Matka moja zaczęła zastanawiać się nad „pechem“, jaki towarzyszył mi w życiu.

— Dziwna rzecz — mówiła nieraz do

ojca lub do cioci Zosi — inne panny tyle mają szczęścia, że zaraz po skończeniu pensyi wychodzą za mąż; nasza Hela widocznie pod złą gwiazdą urodzona, z pewnością nikt się jej już nie trafi...

Gniew zdeptanej, potarganej ambicyi burzył się we mnie, ilekroć usłyszałam coś podobnego. Nie chciałam by litowano się nademną, nie chciałam czekać w zaczajeniu na pana i zwycięzcę swego, który zechce łaskawie zwrócić ku mnie pogromcze swe spojrzenie. Żądza tryumfu odezwała się naraz we mnie z całą siłą.

Z zaciętością kokietki, która ryzykuje, lecz wie dla czego, rzuciłam się w wir zabaw, postanawiając ciągnąć za sobą rój wielbicieli.

Skąd we mnie cichej, nieśmiałej, lękliwej, obudziły się tak wyzywające zachcianki, sama nie rozumiem. Przypuszczam, iż był to oddźwięk strun, które, gdyby nie potrącono ich szorstką, brutalną ręką, byłyby spały, zatajone...

Rok cały bawiłam się, jak szalona. Nie chodziło mi o hołd jednego: liczyłam na tryumf ogólny. Każdego wieczora musiałam mieć za krzesłem swoim lwów salonu, których za-

zdroszcily mi przyjaciółki i rówieśniczki moje. Wracałam z balów i rautów odurzona, upojona bezbarwną, mdławo-słodką, jak banany, garścią komplementów i piankowych frazesów.

Po roku zaczęłam doznawać dziwnego wrażenia. Niby cieszył mnie projekt każdej zabawy. Na myśl o niej uczuwałam rozkosz; starczyło jednak kilku słów mamy lub cioci Zosi w rodzaju: „śpiesz się! już czas kłaść suknię! fryzyer czeka!“ — aby słodka owa, pełna niepokoju i oczekiwania wibracja, z jaką dotychczas wchodziłam na każdy bal, mijała, zostawiając po sobie niesmak, gorycz, niechęć...

Drwiąc sama z siebie, stawiałam na progu salonu. Wstrętem i lekceważeniem napęnliali mnie ludzie zebrani tu, jak stado baranów, do jednej zagrody, beczący wszyscy na jedną nutę, gdyż, ktokolwiek zmieni ton zasadniczy i weźmie go kwintę wyżej lub niżej, bywa wyklęty, za „arogancję i samowolę“...

Co przyszło mi z kilku lat życia, w ciągu którego nastrojałem się do ogólnego kamertonu?

To, że obecnie czuję wrażenie nudy, niechęci, przesytu, że mówię sobie:

— Nieznośne, męczące, wiecznie jednokowe, jak zdarta moneta, te frazesy, rzucone przez rozziwane usta pań i panów w salonie...

O co zagadywały mnie najczęściej towarzyszeki moje?

O toalety artystek w modnych sztukach paryskich, lub o blondynów, szatynów, brunetów, świeżo poznanych na ostatnim raucie.

O czym mówili owi blondyni, szatyni i bruneci w przerwach między partyą winta i robrem flirtu?

Wyprowadzali horoskopy pokoju lub wojny z nadchodzącą wiosną, powtarzali reporterskie wiadomości z gazet.

Opanował mnie straszny, męczący jak zmora, przesyt. Czem jestem? Dla kogo żyję? Co robię? — zaczęłam pytać sama siebie.

Flirt, czarne fraki gogów, uśmiechy prowizorycznych przyjaciółek moich, cała ta atmosfera rautowo-balowa, która przed rokiem jeszcze sprawiała mi zawrót głowy, teraz budziła we mnie wstręt nie do opisania. Świat wraz z czczym swoim szablonem wydał mi

się pustą, sztucznie wzdętą banią, zawieszoną w bezcelowej próżni...

Przestałam bywać. Siedząc sama godzinami całemi i tonąc w ponurych rozmyśleniach, wpadam nieraz w silne rozdrażnienie. Palce drżą mi przy szydełkowej robocie, którą czas zabijam; niekiedy zdaje mi się, iż część mózgu mego wiruje dokoła stalowego haczyka, jakim wiązę oczka i słupki w powietrzu. Czytam dużo, nie przebierając w rodzaju i treści książek. Stryj Józef, brat ojca, przynosi mi co parę dni coś nowego. Z nudów i ciekawości pochłaniam jednym tchem powieści, traktaty filozoficzne, broszury przyrodnicze, romanse historyczno-obyczajowe. Te ostatnie rozdrażniają mnie jeszcze bardziej. Czułe rozmowy bohaterów i bohaterek angielskich, namiętne uściski i pocałunki kochanków Zoli, oraz Maupassant'a, sentymentalne spojrzenia powściągliwych oblubieńców Marlitt i Ouidy budzą we mnie niezdrowe pożądania, których wstydzę się sama przed sobą. Niejednokrotnie, dobiegłszy do najbardziej zajmującego rozdziału, muszę rzucić książkę i przerwać czytanie, aby wstać, przejść się po pokoju. Długi spoczynek na miejscu mężczy mnie: czuję w gardle coś naksztalt kuli,

opadającej mi na piersi lub rozsadzającej krtań ciężarem swoim.

Przychodzą na mnie chwile, w których tracę oddech, a wówczas, mam ochotę rozrywać na sobie ubranie, tłuc szkło, zdierać tapety, gryźć mur zębami. Nie rozumiejąc sama siebie, nie wiedząc, co dzieje się ze mną, doznaje trwogi tak strasznej, iż radabym, jak kret, wkopać się w ziemię i osypać brudnym jej pyłem, aby tylko nie czuć, nie wiedzieć, nie słyszeć tętna własnych piersi.

Dwa dni temu, w napadzie podobnej trwogi zaczęłam płakać gwałtownie, a potem — płacz mój przeszedł w śmiech, którego nie byłam w stanie powstrzymać. Lekarz wezwany, po opukaniu mnie i zbadaniu pulsu, rzekł do mamy:

— Histeryczka! Trzeba wydać ją za mąż czempredzej: inaczej—mogą przyjść nowe powikłania choroby...

Nie umiem opowiedzieć ci wrażenia, jakiego doznałam, usłyszawszy te słowa: uderzyły mnie one, jak nagłe potarcie szkła o twardy piaskowiec; czułam się upokorzoną niemi, niemal zhańbioną: nie śmiałam oczów podnieść na mamę.

Postanowiłam odtąd całym wysiłkiem

woli strzedz się wybuchów płaczu. Wczoraj gryzłam palce do krwi, chcąc wrażeniem bólu opanować dręczący mnie niepokój.

Tracę sen i siły. Chwilami sędzę, że jestem waryatką: oczy moje, mgłą przysłonięte, chwytają połowicznie zaledwie kontury przedmiotów; w uszach huczą mi nieznośne szmery krwi, przelewającej się nierówno; myśli chaotyczne, pógmatwane, błędzą, jak stado rozpierzchłych gołębi.

Dziś rano, obudziwszy się po źle prześpanej nocy, z wrażeniem nieznośnego gniotącego ciężaru na piersiach, z uczuciem gorączkowego drgania w każdym nerwie, pomyślałam sobie:

— Spróbuję pracować: może to mnie wyleczy i uspokoi...

Przypomniałam sobie ciebie, taką energiczną, taką czynną zawsze, nie wpadającą nigdy w ataki rozdrażnienia: ty mi wskażesz, czem mam się zająć. Tyś mądrzejsza, bardziej pomysłowa i rzutka odemnie: zlituj się nademną, wynajdź mi robotę, któraby pochłonęła mój umysł, a jeżeli nie pochłonęła, to przynajmniej zdołała zabić kilka godzin długiego jednostajnego dnia. Życie brzydnie mi wśród bezcelowości, jaka mnie otacza. Te-

raz dopiero zaczynam rozumieć rolę manekina, jaką odgrywam w świecie. Doznaję wrażenia człowieka, któremu zdjęto kataraktę z oczów, i który, przejrzawszy nagle, pojął całą nicość swoją. Wyczekiwać na męża, wszystkie siły zużywać po to tylko, aby pociągnąć za sobą do ołtarza pierwszego lepszego dudka, który, przepytawszy się o posag, bierze ciebie dla tego tylko, że masz trzos o funt cięższy, aniżeli przyjaciółka twoja, na jaką zerknął jeszcze dwa dni temu, — być zere-m, mającem zamienić się w znaczącą cyfrę dopiero wtedy, gdy na kobiercu ślubnym podasz rękę jednostce w czarnym fraku i białym krawacie, flirtować z urzędu, jak za pańszczyznę — to gorsze chyba od ciężkich robót w podziemiach!

Rozumiem, że celem i zadaniem kobiety jest wyjść za męża, być dobrą żoną i matką, ale — nim wyjdę za męża, nim zostanę matką, niechże zapełnię sobie czemkolwiek przerażającą lukę życia: niech społeczeństwo zdejmie ze mnie anatemę biernego, w szal rozpaczy bezcelowością swoją wprawiającego istnienia.

Mówią mi, żem kokietka: co mam robić, jeżeli nie godzinami, dniami całymi rozmyślać nad efektem słów, spojrzeń, gestów i ruchów

swoich? Gdzie mam szukać zadowolenia ambicyi, jeżeli nie w zdobyciu, jak płotek na wędkę, kilku serc męzkich?

Serc? — raczej worka komplementów, przesiąkniętych wonią piżma, które odurza, podnieca i wzmaga gonitwę za żonglerskimi sztukami flirtu.

Jeżeli się nie jest tępą i głupią, jeżeli bawiąc ludzi czas jakiś sobą, w zabawę tę wciela się część swego istoty, której nie zwraca ani szelest czarnych fraków, ani połysk wyfiksaturowanych wąsików, jak szybko flirt ten zaczyna nużyć, jaką ohydą napęnia umysł i każdą fibrę czucia!

Gdybym miała siłę, rąbałabym kamienie, piłowała drzewo z traczami, aby tylko nie siedzieć beczynnie, jak teraz, i nie czuć wzgardy dla siebie, jako dla zera...

Mężczyzna ma wskazany kierunek życia, odkąd oczy na świat otworzy. Zostaje adwokatem, przemysłowcem, doktorem, urzędnikiem, bankierem, rolnikiem. Jeżeli gubi się w poczuciu powołania swego, — jego w tem wina, nie społeczeństwa...

Dla czego te z nas, na które nie odrazu pada szczęśliwa ręka wyborców, w nudzie

i beczynności wlec muszą nędzne, lichy go-dziny życia?

Jeżeli powiadacie, że kobieta-doktor, ad-wokat, rzemieślnik, urzędnik, przemysłowiec nie może być kobietą-matką — to pozwólcie jej zabawić się w adwokata, lekarza, prze-mysłowca, rzemieślnika przynajmniej przez czas wyczekiwania na macierzyństwo swoje. Jeżeli narzekacie na nią, że pusta i traci pie-niędzy na stroje, to narzekajcie lepiej, iż część „kobiecości“ swojej gubi w mozolnem szperaniu po książkach, lub w ćwiczeniu sił fizycznych w rzemiośle.

Kibić jej uroni coś ze swej wiotkości, ręka i ramiona rozrosną się, lecz za to — na-będzie spokoju i rozwagi umysłu, która uchro-ni was od dziecinnych jej kaprysów.

Zabawa w książki lub rzemiosło mniej szkodliwa od piżmowego wyziewu flirtu w sa-lonie, a jeżeli wy, mężczyźni, dla odpoczynku po pracy potrzebujecie odurzenia się piżmem, to i tak zostaną kobiety jednostki, które bez poczucia krzywdy losu w dalszym ciągu na aksamitnych, białych ramionach będą dźwiga-ły zero swego bytu i które berła estetycznej swej przewagi nad wami nie ustąpią za za-

dną cenę. One nie przestaną darzyć was rakietami drażniących półsłówek, ogniem spojrzeń, wyciętymi karczkami i odsłoniętą szyją. Przy nich znajdziecie wypoczynek, jeżeli tak nazwać chcecie łaskotliwą podnieętę nerwów; one będą nadal zasypywały was kaskadą bengalskich płomyków, z po za których oczy ich, usta i białe ramiona nęcą was, jak porwy wyobraźni, której wolicie nie zamieniać w twardą, może szpetniejszą, lecz sprawiedliwą rzeczywistość...

Pozwólcie bawić się we flirt tym, które chcą flirtu, lecz dajcie pracę tym, które nurzają się w poczuciu automatyzmu swego...

W tej chwili, ty jedna możesz wyrwać mię ze zwątpienia, w jakie wpadam. Pożałowałabyś mnie, gdybyś wiedziała, jak strasznie cierpię. Trawi mię głód moralny, stokroć chyba gorszy od fizycznego. Pragnę coś robić, a nie wiem, w którą stronę zwrócić swe zdolności, jeżeli je mam w jakimbądź kierunku. Poradź mi, dopomóż jak najprędzej! Pierwszy krok na każdej drodze ciężki, bądź spokojna jednak: trudności nie zrażają mnie. Czuję potrzebę pracy takiej, o jakiej Niemiec mówi: „*dass ich sie mir ueber die Zähne*

beisse“. Coś kotłuje się we mnie; chwytam mię ustawiczny skurcz żył, nerwów, mięśni, które wywracają cały mój organizm tak, iż dziwię się, że mogę jeszcze ustać na nogach równo i prosto, że pióro, którem piszę, nie wypada mi z palców: to siła, popychająca mię do stworzenia czegoś, sama nie umiem powiedzieć czego, lecz wiem, że zwaryowałabym, gdyby miesiąc jeszcze potrwał stan mój obecny...

Jeżeli zrozumiesz mię i odczujesz wszystko, co przechodzę, pośpieszysz z odpowiedzią natychmiast; w przeciwnym razie — nie wiem, co pocznę. Ożywia mnie i uspokaja nadzieja otrzymania listu. Według obliczeń moich, powinnaś być już obecnie na trzecim lub czwartym kursie medycyny. O ile cię znam, z pewnością i wiarą w siebie zdobywasz sobie byt niezależny. Zazdrościłam ci dotąd pogodnego usposobienia: — dziś nie zazdrozczę ci niczego, lecz pragnę gorąco mieć siły twoje i energię czynu.

Pisz prędko: do chwili nadejścia twego listu będę w ciągłej gorączce.

Twoja *Hela*.

Stasia do Heleny.

Drezno d...

Kochany rozmazańcze!

Chorobę twoją rozumiem dobrze: postaramy się coś zaradzić, przedewszystkiem jednak uważam sobie za obowiązek sprostowania przekonania twego co do zajęć moich terazniejszych.

Nie jestem na medycynie i nie wstąpię na nią, przypuszczam, już nigdy. Plany moje uległy całkowitemu przeobrażeniu. Poczeka: opowiem ci wszystko po kolei.

Rodzice moi, póki byłam na pensyi, uważali jako żart każdą wzmiankę o przyszłych moich studiach medycznych. Nie przejmując się projektami temi na seryo, pozwalali mi mówić o nich swobodnie. Przekonawszy się jednak, iż przy zamiarach swych obstaruję poważnie, stawili bezwzględny opór „niedorzecznej mej zachciance“...

Oboje, jakkolwiek od lat najmłodszych przyzwyczajali mnie do pracy, przeciwni byli medycynie, jako zajęciu, nie odpowiedniemu dla sił, zdrowia i „dobrej opinii“ kobiety.

Możesz wyobrazić sobie, jak ciężkie przeszłam chwilę. Myśl stworzenia sobie bytu niezależnego tak dalece zrosła się ze mną, iż nie umiałam żyć bez niej. Rozpacz moja nie miała granic.

Po jednej z gwałtownych sprzeczek z rodzicami ucieklam do kuzynki Julki, tej, o której wspominałam ci niegdyś, na pensyi jeszcze, że jest na medycynie w Paryżu, a która, skończywszy kursa, na wsi, u siebie, przygotowywała następnie rozprawę doktoryzacyjną. Pod jej kierunkiem postanowiłam pierwszy rok pracować. Nie mając pieniędzy, nie wiedziałam dokładnie, co zrobię nadal, wierzyłam jednak w dobrą gwiazdę swoją i nie chciałam się wyrzec przyszłości takiej, jaką sama sobie od lat najmłodszych nakreśliłam.

Pół roku spędziłam po za domem. Żal do rodziców za upór ich i przesady umacniał mnie w postanowieniach.

Niejedną przykrą chwilę przeżyłam wówczas. Raz kiedyś, myśląc długo w nocy samotnie, zadałam sobie pytanie:

— Dla czego na świecie nie idzie wszystko tak, jak z góry sobie postanawiamy? Dla czego w najlepszych, najszlachetniejszych dą-

zeniach naszych spotykamy opór tam, z ką jak najmniej oczekiwać go powinniśmy?

Z twoim gestem, z twoją płaczącą miną i skrzywionemi boleśnie w ryjek, jak u dziecka, ustami, odpowiedziałam sobie:

— Życie jest smutne!

Pierwszy raz nie wydałaś mi się śmieszna ze swoim rozmazaniem; pierwszy raz zrozumiałam, że można być zdrową fizycznie, a jednak — zwątpić i narzekać na świat, na głupie, niedorzeczne jego urządzenie...

Przez pół roku rodzice nie pisali do mnie wcale. Sądziłam, iż zapomnieli o mojem istnieniu. Z ciężkiem sercem, z myślą pełną goryczy pracowałam. Adaś, kuzyn mój, uczył mię łaciny. Julka przechodziła ze mną początki anatomii dla ułatwienia mi przyszłych zajęć prosekcyjnych.

Ktoregoś dnia w chwili, gdy odmieniałam przed Adamem cały szereg słów łacińskich, człowiek przyniósł z poczty pierwszy list, do mnie adresowany.

Po sześciu miesiącach głuchego milczenia ojciec donosił mi w krótkich, suchych, urywanych słowach, że matka moja bardzo chora i grozi jej życiu niebezpieczeństwo, że je-

dynem pragnieniem jej przed śmiercią jest zobaczyć mię raz jeszcze.

Wróciłam do domu natychmiast, zostawwszy u Julki wszystkie książki i szpargały.

Zastałam matkę mizerną, bezsilną, zmienioną do niepoznania. Pierwsza moja pieśszcota ożywiła ją jednakże. Kurcze nerwowe, które dokuezały jej dotąd, ustąpiły po dwóch dniach mego pobytu. Po tygodniu zaczęła wstawać z łóżka i chodzić po pokoju. Po dwóch tygodniach odezwiała się któregoś wieczora do mnie:

— W twoich rękach życie lub śmierć moja. Jeżeli wbrew woli naszej, wstąpisz na drogę, którą uważamy za zgubną dla ciebie, cierpienia moje wrócą. Wiesz o tem dobrze, że żyć bez ciebie nie mogę, a ojciec twój nie przystanie nigdy na przełamanie uporu swego i stawia nadal za konieczny warunek zgody twojej z nami, abys planów swoich wyrzekła się na zawsze.

— No... to nie wrócę do nich nigdy— odpowiedziałam krótko.

Zdawało mi się w tej chwili, że ktoś ciemny kaptur zarzucił mi na oczy. Głuchą pustkę uczułam wewnątrz siebie: co miałam

robić jednakże? Jak postąpić, aby zadowolić i siebie i rodziców.

Uroczysta abdykcyja moja zapewniła spokój ojcu i mamie na długie lata.

W tej chwili mateczka moja, zdrowa, pogodna, wesola, jak jaskółka na wiosnę, przesyła ci serdeczne pozdrowienia i zaprasza, abyś przyjechała do nas; będzie nam dobrze razem; przypomnimy sobie szkolne czasy...

Ale-bo też, zacząwszy od potopu, nie usprawiedliwiłam jeszcze nagłówka listu,

Skąd znalazłam się w Dreznie?—myślisz zapewne, niecierpliwie szukając wyjaśnienia w drobnym maczku niniejszego listu.

Czekaj. Od kropki na nowo.

Staciwszy wypieszczone myślą i sercem drogie plany, wydałam się sobie rozbitkiem, skazanym na stracenie. Pół roku, może więcej, rozpaczałam, aż nareszcie przypadek wskazał mi nową drogę pracy.

Wiesz, iż cały dom nasz przepada za muzyką; ojciec i mateczka marzyli zawsze, abym mogła wydoskonalić się w śpiewie lub grze na fortepianie. Będąc na pensyi, grywałam nie wiele i pod przymusem: gamy nudziły mię, czytanie nut męczyło i niecierpliwiło...

Któregoś dnia, niedalej, jak dwa lata

temu, zniechęcona do książek, których pochłanianie wydało mi się w danej chwili bezcelowem, zasiadłem do fortepianu, ot, tak sobie, dla przerwania nudy... Na pulpicie rozłożone były nuty z piosenką, którą kilka minut temu śpiewał Zdzisław, bawiący u nas chwilowo (że pamiętasz go, świadczy o tem list twój).

Bezwiednie prawie, wystukując palcem niektóre tony, zacząłam ją nucić; nucenie moje przeszło powoli w śpiew coraz wyraźniejszy, aż na koniec zaatakowałam parę nut tak mocno, iż sama zdziwiłam się dźwiękiem swego głosu.

Zdzisław, zwaryowany na punkcie śpiewu, wpadł natychmiast do mnie, wołając:

— Masz skarby w krtani; rzuć książki, do których przylepiłaś się, jak liszka do drzewa i śpiewaj: przyszłość przed tobą...

Godzinę następnie, a może dłużej, badał skalę moich tonów, budowę krtani, skład szczęk i ust.

— Doskonale! Znakomicie! — wołał co co chwila. — Nic nie grozi porządnej emisji: głos czysty, jak lza...

— Uczcież ją na gwałt; nie ma czasu do stracenia: może śpiewać, jak Patti — nalegał na moich rodziców.

Znasz go: rozmawiałś z nim raz, gdy przyszedł odwiedzić mię na pensję: wiesz, jak jest energiczny, rzutki i szybki w postanowieniach, jak prozelitycznie działa na tych wszystkich, których chce przekonać.

Rodzice uwierzyli mu i polecili wyszukać nauczyciela.

Udzieliwszy mi kilka pierwszych wskazówek, Zdzisław sprowadził do mnie mistrza, jedynego podobno w całym mieście wytrawnego muzyka, któremu powierzył kierunek nademną.

Mistrz orzekł:

— Materyał jest, skala dosyć rozległa, skład ust, jak u śpiewaczki: pracy tylko, pracy, pracy!..

Zaczęłam tedy śpiewać. Możesz sobie wyobrazić, z jakim upragnieniem, stęskniona za robotą, rzuciłam się na to nowe pole zajęć.

Patrzyłam odtąd na świat przez pryzmat solfegii. Tony piersiowe, falset, tony z głowy odbierały mi sen. W nocy zrywałam się nieraz, próbując, czy umiem wziąć górne *re* tak, jak udało mi się na ostatniej lekcji wyciągnąć je przy nauczycielu.

Przeszłam już cały kajet solfegii, prze-

śpiewałam wszystkie gamy, wyuczyłam się kilku piosenek z repertuaru Troszla, kiedy wypadł pierwszy mój popis u nas w salonie.

— Metal w głosie! — wołała jedna grupa gości.

— Emisya, jak u Scalchi Lolli — dawali inni.

Galerya dalszych i bliższych znajomych otoczyła mię kołem: winszowano mi, przepowiadano przyszłość Patti.

Przy całym zawrocie głowy, jakiego doznałam wówczas, czegoś mi brakowało.

Rozejrzałam się po salonie.

W jednym z jego rogów, pod liśćmi palm i aronów, siedziało dwóch najserdeczniejszych moich przyjaciół, pp. Aleksander i Ludwik, których nie znasz, o których warto wspomnieć jednak, jako o jedynych mężczyznach, widzących w kobiecie siostrę, koleżankę i przyjaciółkę, nie zaś usta do całowania, rękę do ściskania, szyję do liczenia na niej żyłek niebieskich

Otóż Lutek i Olek — tak nazywają ich tutaj ogólnie — wysłuchali mię w milczeniu; w milczeniu też i biernie patrzyli na składane mi hołdy.

— Dlaczego ani ganicie, ani chwalicie? spytałam, podszedŝy do nich.

Jeden z nich, Olek, który nie umie kłamać, rzekł, wstając z krzesła:

— Szkoda pracy: artystką nie zostanie pani nigdy; brak jej muzykalnego ucha i tego, co nazywają „iskrą bożą“, to jest poczucia dramatycznego. Głos pani wprowadzie nadaje się do koloratury, lecz martwy, jak to drzewo.

Tu uderzył ręką o poręcz krzesła, przy którym stałam.

Lutek, mniej od Olka śmiały, spuścił oczy i głuchem milczeniem potwierdził słowa przyjaciela.

Jakiego wrażenia doznałam wówczas! W gardle coś mi ścisnęło, w sercu zakłuło. Pobiegłam do swego pokoju i płakałam.

Goście rozeszli się, a ja jeszcze leż nie mogłam uspokoić. Cała noc zeszła mi na głuchej rozpacz.

— Rzeczywiście — myślałam — śpiewam, jak pozytywka: nie umiem w głos swój wlać tej serdecznej, ciepłej wibracji, która cechuje artyzm prawdziwy...

I znowu, jak pół roku temu, wydałam

się sobie nędznem, lichem stworzeniem, nie wiadomo po co kołaczącem się na świecie.

Postanowiłam albo zakończyć raz nieznośną męczarnię życia i powiesić się lub utopić, albo też — nie zważając na nic — wrócić do porzuconej medycyny.

Tak się to mówi w nocy, kiedy mrok i cisza sprzyjają śmiałości i odwadze mknących po głowie planów. Pierwszy brzask jutrzeńki rozprasza harde zamiary i zmienia dekorację pomysłów.

Rano, gdy zaświeciło słońce, zrobiło mi się żal życia, skazanego na zatracenie; nie miałam również odwagi powiedzieć rodzicom:

— Cofam przyrzeczenie: Wracam do pracy, której mi wzbraniacie.

Kilka dni zeszło mi na głuchej wewnętrznej rozterce; płakałam całymi godzinami, zamknięta w swoim pokoju, to znowu pocieszałam sama siebie, myśląc:

— Przecież artyzmu, jak każdej umiejętności, można nabyć z czasem...

Po tygodniu wróciłam do śpiewu... Wolałam to, aniżeli nudę bezczynności...

Popisy moje w salonach zaczęły powtarzać się coraz częściej. Na rauty, mniejsze i większe wieczorki, na popołudniowe herbat-

ki zapraszano mię z nutami. Obrażano się, robiono tysiące wymówek, jeżeli śpiewać nie chciałam. Głos mój zdobywał sobie coraz większe uznanie; chwalono mię bez miary.

Po pewnym czasie jednak ten i ów zaczął przebąkiwać;

— Materyał wspaniały, tylko... tylko brak metody...

Radzono mi bezwarunkowo zmienić nauczyciela. Jedni zachwalali pannę W., która tylko co przyjechała z Paryża i skończywszy tam konserwatorium, uczy znakomicie; inni proponowali amatorkę, pannę S., która dla przyjemności pracowała czas, jakiś pod kierunkiem Artôt-Padilla.

Opinie, rady, wskazówki zmieniały się codzień, naksztalt dekoracyi teatralnych w sztuce o kilku aktach.

Zdzisław wyjechał: dotąd jego zdanie przeważało w naszym kółku. Nie mając stałego doradcy, zaczęliśmy słuchać całego szeregu przygodnych. Stosownie do woli bliższych i dalszych znajomych, rzucałam jednego nauczyciela dla drugiego. Każdy na swój sposób ustawiał mi głos. X. uznał go za mezo-sopran, Y. za kontralt, Z. przerabiał go na sopran koloraturowo-dramatyczny,

W przeciągu roku zdołałam obiedzić wszystkich artystów i amatorów śpiewaków, wszystkie artystki i amotorki śpiewaczki, jakie bądź stale, bądź chwilowo bawiły w mieście naszym.

Szereg znawców, kierujący opinią ogółu, zaczął wołać w końcu:

— Nie ma unas w kraju dobrej szkoły. Chcąc pracować poważnie, należy bezwarunkowo jechać zagranicę...

— Zagranicę, zagranicę! — powtórzyła za nimi chórem galerya oportunistów.

Biedni moi rodzice, nie wiedząc co począć, poszli za wyrokiem tłumu i — oto jestem w Dreźnie, zkąd list niniejszy wysyłam. Towarzyszy mi mateczka: ojciec pozostał w Rydze, gdzie, jak wiesz, mieszkamy teraz stale. On to epistolę twoją, na jego ręce adresowaną, wyprawił tydzień temu wprost do mnie.

A teraz — pomówmy o tobie i kłopotach twoich.

Cóż ci mam poradzić? — W tej chwili tak jestem oddana muzyce, że nie wyobrażam sobie, jak można pracować w innym kierunku. Śpiewam godzinami całemi. Lamperti (syn), obecny mistrz mój, umiał wzbu-

dzić wiarę w zdolności moje; tak dobrze przysięgam, z takim zrozumieniem, z genialnem niemal poczuciem i intuicyą wytrawnego pedagoga zabrał się do postawienia mego głosu, iż obecnie nie tracę nadziei, że staranie moje, czas i to wielkie, gorące pragnienie dobiecia się czegoś w życiu, jakie w pracę swoją wkładam, nie pójdą na marne.

Jaką przyszłość widzę przed sobą, tego w danej chwili powiedzieć ci dokładnie nie umiem. Głowę pełną mam marzeń: które z nich spełni się, które upadnie? — termin dwu, trzy lub najdalej czteroletni rozstrzygnie. Tymczasem każdej znanej, głośniejszej śpiewaczce zazdroszczę sławy i powodzenia. Rodzice moi, prawdopodobnie, stawialiby wielki opór, gdybym kiedykolwiek chciała wstąpić na scenę: czuję w sobie jednak dosyć zapału dla przekonania ich. Wszak mama, dla przyzwoitości, mogłaby lornetować mię z za kulis w czasie moich występów.

Zresztą — o projektach tych później, w którym z następnych listów: — teraz wróćmy do ciebie.

O ile wnosić mogę ze słów twoich, nie straciłaś ani krzty tego rozmazania, z jakim

tak nie do twarzy było ci na pensyi, a które stanowczo szpeci pannę „na wydaniu.“

Kształć się na artystkę, jeżeli nie chcesz być nią. Mężczyźni umieją szanować kobiety „zawodowe.“ O żadnej z nich nie powiedzą „stara panna“ ze skrzywieniem ust, które znać: „nudna, gderliwa, sucha, zwiędła, pełna form i grymasów, obrzydzących życie...“

Czy nie odkryłaś w sobie dotąd którego z talentów, uprawianych przez dziewice w twoim wieku?

Gdyśmy były na pensyi, wspominałaś mi, że grywasz trochę. Sądzę, iż byłoby dobrze wrócić do przeszłości. Fortepian taki cierpliwyl... Bębniąc po nim, może zdołałabyś uspokoić rozstrojone swoje nerwy: to sprawia pewną ulgę, gdy złość swoją można wyrzucić choćby na martwym przedmiocie...

Żart na stronę. Proponuję ci zupełnie poważnie muzykę, jako przedmiot stałych zajęć. Grywaj jaknajwięcej i co chcesz, abyś tylko nabrała trochę wprawy. Wezwij następnie którego z mistrzów warszawskich i poproś o wypróbowanie twego głosu: jeżeli okaże się, że go masz, przyjeżdżaj tutaj natychmiast. Zamieszkamy wspólnie. Poprotestuję cię do ukochanego mego Lampertiego, w któ-

rego metodę wierzę, jak Grecy we wróżbę Pytyi. Będziemy uczyły się razem: zobaczysz, że nie pożałujesz tego kroku. Artyzm odurza, jak haszysz. Pijąc tu pełną piersią atmosferę kariery artystycznej, o której słyszy się i mówi na wszystkie strony, musisz uwierzyć, iż sama z czasem zostaniesz artystką...

Wpadniesz w ekstazę, gdy uda ci się pierwszy falset, gdy pochwałą cię za pierwszy niski, przy pełnym oddechu wzięty ton piersiowy, za pierwsze dociągnięcie do *re* lub *sol* górnego. Zaczнешz marzyć o sławie, burzy oklasków, o hymnach pochwalnych krytyków: to wszystko odurza; pije się wzrokiem kielichów teatralnych kinkietów, jak gdyby piło eliksir przyszłych swych tryumfów.

Cieszyłoby i mnie i matczkę moją, gdybyś tu przyjechała. Obie z mamą tęsknimy za krajem, nie chcąc jednak, aby studia moje uległy przerwie, myślimy odwiedzić krewnych i znajomych nie wcześniej, jak po trzydziestu lat trzech. Zresztą — praca, marzenia o przyszłej karierze, wir artystycznego życia zabijają po trosze nostalgię.

Kwintesencja niniejszego listu: wstąp na drogę, jaką ja obrałam. Nuż mistrz nasz odkryje w tobie mezzo sopran koloraturowy?

Mogłybyśmy wówczas stworzyć sobie cudowny repertuar, którym, jako dwie „*inséparables*“ czarowałybyśmy Europę i zbijały dolary w Ameryce.

Zapalam się do tego przypuszczenia i wierzę w tej chwili prawie na pewno, że masz talent nieoceniony, słyszę przez intuicję głos twój w aryi pazia z Hugonotów:

„Dama piękna i wspaniała...”

Gdyby każde marzenie mogło stać się rzeczywistością w chwili swego powstania: gdyby między myślą a faktem dokonany nie było często obszaru lasów dziewiczych nie do przebycia, — życie możnaby było nazwać prawdziwie „pięknem i wspaniałem.”

Zresztą — nawet z wirem marzeń, oczekujących spełnienia, jest mi dobrze, nie narzekam...

„*Mio dolce Fernando*“ — arya ta, transponowana na mój głos, od kilku godzin leży na pulpicie, szczerząc ku mnie czarne łebki nut: zapomniałam o niej, wpadłszy na tor gawędy z tobą.

„O mój Fernando, jabym szczęśna, radosna...” Co za przepyszne przejście tu w kilku dalszych taktach od piersiowych do falsetu!..

Zaśpiewać to tak, jak czuję, że śpiewać potrzeba — to najgorętsze pragnienie moje w tej chwili...

Do widzenia! Żegnam cię! Graj, śpiewaj i przyjeżdżaj tutaj a nie doznasz zawodu!

Gdybyś wiedziała, jakie przepyszne *do* wzięłam z głowy w chwili usadzenia niniejszego kleksa! Lamperti (syn) uściskałby mnie za nie!..

Do widzenia. Napisz znowu kiedy!..

Stanisława.

Helena do Stasi.

List twój nadszedł w chwili, kiedy, doprowadzona do ostateczności nudą i bezczynnością, nie mając ani talentu ani upodobań pedagogicznych, postanowiłam, dla zabicia czasu, uczyć ośmioletniego syna kucharki naszej.

Rady twoje wywołały całkowity przewrót w planach moich.

— Może rzeczywiście, posiadam zdolności, które czas i praca wykształci? — Niejeden talent drogą przypadku dochodzi do sławy: dlaczegóżby fakt podobny nie miał mieć miejsca ze mną? — pomyślałam, przeczytawszy list twój.

Mając lat trzynaście, brałam lekcye muzyki od ucznia konserwatorium, który cierpiał na astmę, niedokrwistość i newralgię w prawej skroni. Trupio blady, o wielkiej rachitycznej głowie, pluł, kaszlał za każdym błędem, jaki zrobiłam. Każdy źle lub wcale nie wzięty krzyżyk, każdy nie w porę uderzony bemol wprowadzał go w szal gniewu.

— Od początku, od początku! — syczał przez zęby tak zjadliwie, z taką pasją w głosie, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Trzeba być idiotką, żeby grać podobnie... Naprowadzając palce na właściwe tony, ścisnął czubki ich tak mocno, iż mało nie mdlałam z bólu.

Po roku nauki znienawidziłam nietylko nauczyciela, lecz wszystko, cokolwiek i w jakikolwiekby sposób z muzyką mogło być w związku. Wzdrygałam się, patrząc na klawisze, których żółte, płaskie zęby napępiały mnie strachem. Wyprosiwszy sobie u rodziców przerwanie lekcyj, od piętnastego roku życia nawet na żarty nie wzięłam nut do ręki. Uciekałam, jeżeli Józiek kiedy w przystępie dobrego humoru zaczął wystukiwać palcem po klawiszach: „wlaź kotek.“

Możesz sobie wyobrazić, ile mnie to ko-

sztowało, gdy nazajutrz po otrzymaniu twego listu, po raz pierwszy usiadłam do fortepianu, aby z trudem i mozołem przypomnieć sobie zaniedbane gamy, etiudy, wprawki!

Przez parę tygodni grywałam po cztery do pięciu godzin na dobę; za każdym razem jednak wstawałam od fortepianu z takim szumem w głowie, gamy i wprawki tak natrętnie huczały mi w mózgu, jak gdyby wtłoczone w najdrobniejsze jego skręty, że biegając po pokoju w kółko, jak szalona, pytałam sama siebie:

— Może ja zwaryowałam?..

Dziś jestem jak rostrojona, że myśli zebrać nie mogę. Nurtuje mię jedno tylko pytanie:

— Po co ja żyję? Co komu przyjdzie ze mnie? Czy nie lepiej byłoby dla mnie i dla otoczenia mego, gdybym umarła?..

. ,

Dopisek w dwa tygodnie później.

Od pięciu dni jestem na wsi, Proponowana przez ciebie muzyka zdenerwowała mię tak bardzo, iż musiałam przystać na poradę lekarza, który kazał mi wyjechać z miasta bezwzględnie. Natychmiast mama napisała do

kuzynki naszej Ewy, właścicielki wsi i kilku folwarków w Krakowskim, z prośbą, aby przyjęła mię do siebie na parę miesięcy. Ewa przyjechała po mnie sama i oto jestem „w Jaskółkach“, pod kopułą nieskończonego szafirowego nieba, które patrzy na mnie, jak ja patrzę na pyłek szarej ziemi, płaczącej się u stóp moich.

Pierwszy raz wydostałam się za mury ciasnego, dusznego, zakurzonego miasta. Przyroda robi na mnie szalone wrażenie. Mamy tu bardzo piękne widoki. Okna mego pokoju wychodzą na czubek wzgórza, zajęty ruinami warownego niegdyś zamku. Przy pełnem słońcu czerwone zgliszcza cegieł parują blaskiem, tworzącym rodzaj srebrnej gazy, topazami i dyamentami przetkanej. Wydłużone łuki w wąskiej ścianie głównej fasady, ślady całego szeregu istniejących tu niegdyś gotyckich okien, mienia się w jaskrawem świetle południa, jak oczka gipiury, pod którą podłożono szych srebra i złota. Mchy, paprocie, gałęzie dzikiego ostu i karłowata jarzębina, zahaczona gdzieś o boki rumowiska, rozchylają pory wątłych swych liści ku promieniejącemu ciepłu. Resztki okrągłej, mrowanej baszty, sterczące w górze przetrąconym

ukośnie odłamem, bieleją w lśniących oparach, rzucając długi cień ruchomy na zręby prostopadłej skały. Utkwione gdzieś niegdzie w granicie klamry żelazne każą przypuszczać ślady istniejącego tu niegdyś mostu zwodzonego. Bok wzgórza od strony ażurowej fasady zamku obrzucony dywanem miękkiej, puszystej trawy, usiany główkami jaskrów, rumianków, macierzanki, mięty i gwoźdźników, które zbieram co rano.

Dziś, obudziwszy się wcześniej niż zwykle, wyszłam z domu na palcach i wdrapałam się na szczyt ruin, aby zobaczyć ztamtąd wschód słońca.

Nie masz pojęcia, jakiego wrażenia doznałam, sama jedna wśród śpiącej dookoła mnie przyrody.

Szaro było jeszcze. Białe opary ciążyły w powietrzu nad dachem pałacyku naszego, nad krętą wstęgą doliny i strumyka, nad czubkami świerków, jodeł, sosen, pokrywających wzgórza i parowy okoliczne.

Działam z zimna. Chłodna mgła lizała stopy moje, wciskała się we włosy, okrywała mnie mokrym, ruchomym płaszczem, pod którym krzepły członki moje.

Długi czas było cicho i szaro dookoła.

Mnie zdawało się, że usypiam zwolna wśród grobowego chłodu i milczenia. Naraz — od wschodu zajaśniała perłowa smuga świtania, a za nią — musnął firmament blado różowy promień jutrzeńki. Wiatr zerwał się raptownie i rozdarłszy krepę oparów, popędził je ku zachodowi. Z doliny i ze stoków gór doleciał cichy zrazu i niewyraźny, a potem coraz głośniejszy szczebiot ptactwa. Nie upłynęło pół godziny, kiedy z za różowych promieni wyjrzał brzeg tarczy słonecznej: mgła znikła powoli; natomiast — na niebie i ziemi rozpoczęła się gra światłocieni.

Stałam jak wryta. Zdawało się, że słońce i brzegi skał zaróżowionych znikną mi z przed oczów, jak papierowe dekoracje, zmieniające się na scenie co chwila, że znowu, za minutę, zobaczę to, na co patrzyłam dotąd przez całe swoje życie: kurz i brud miejski, wśród którego wzrosłam, oraz czubki muryowanych domów, sztywne, twarde w konturach, świadczące o suchej potędze cywilizacji, walczącej z przyrodą. Opanowała mnie trwoga i niepokój. Miałam ochotę podbiec do najbliższej skały, objąć rękami chłodny granit i zawisnąć tak na czubku jego, aby nic już

nie wyrwało mnie z tego zakątka, gdzie tak było pięknie, tak wspaniale.

Tysiące uczuć obudziło się naraz we mnie. Kochałam w tej chwili, sama nie wiem, co i kogo: czy wschodzące słońce, lazurowy firmament, koronkowe wzgórze i zygzaki doliny, czy też... ale, dajmy temu pokój.

Serce biło mi i oczy rozbiegały się, nie wiedząc, na co pierwszej patrzeć; czy na drzewa, obmyte kroplami rosy, czy na basztę zamku, sterczącą u szczytu, skąpaną w różowo-ametystowem świetle, czy na kaskady potoku w dół, szarpiącego omszone bryły granitu...

Bałam się poruszyć, bałam się zaczerpnąć oddechu, bałam się podnieść, opuścić lub zwrócić w bok głowę, aby za najlżejszym szelestem nie stracić krajobrazu, który, przypuszczałam, że widzę we śnie...

Słońce już weszło dosyć wysoko, gdy naraz doznałam wrażenia takiej dzikiej, szalonej, nieokiełznanej radości, że jak waryatka, śmiejąc się i płacząc naprzemian, ścisnęłam wątły pień jarzębiny i sosny, wyrosłej na zrębie rumowiska, a potem — padłam na ziemię i przytuliwszy twarz do chłodnego, miękkiego kobierca trawy, całowałam ją, muskałam czubkami jej szyję, oczy i usta swoje.

Jak długo trwało upojenie moje, nie pamiętam. To tylko wiem dobrze, że straciłam chwilowo poczucie swej istności, że sądziłam, iż życie moje jest złudzeniem dla mnie samej, a byt prawdziwy mają tylko lasy i wzgórza, ułożone w panoramę dokoła, niebo, rozpięte w górze wielką, szafirową kopułą...

„Ja“ zamarło we mnie, natomiast wewnątrz piersi i mózgu powstał głos, w harmonię akordów przyrody wcielony, zlany w jedną, wielką całość z gwarem brzęczących komarów, ze szmerem liści, z szelestem górskiego strumienia...

Nikt mnie nie uczył, że trzeba kochać przyrodę. Zetknąwszy się z nią, doznałam wrażenia ślepca, któremu prąd elektryczny otworzył nagle oczy.

Ile myśli od tygodnia przebiegło mą głowę. Ile sądów i zapatrywań wytworzyłam sama z siebie! — Czuje, że rozwijam się z dniem każdym i przeraża mię śpiąca martwota umysłu, wśród której żyłam dotąd.

Obcowanie z przyrodą — to najmądrzejsza księga.

Prócz przyrody, mistrzynią moją tutaj jest Ewa, którą zaczynam kochać.

Ruchliwa to, energiczna i szybka w po-

stanowieniach swoich kobieta. Pracuje od świtu do nocy. Nie wielkie jej, lecz ciekawe i bystre oczy zajrzeć muszą wszędzie. Chwila, dzieląca akt powstałej w niej woli od spełnionego czynu, mija jak błyskawica. Cały dzień słyhać głos jej, rzucający tu i owdzie rozkazy, Nizka jej postać o rumianej, ogorzalej twarzy, zaokrąglonych ramionach, pełnych piersiach i giętykujących wiecznie rękach, toczy się, jak na kółkach, po obszarze dworskich posiadłości.

Ojciec Ewy, sparaliżowany od lat pięciu, nie wstaje z łóżka i ostatnimi czasy zniechęcał zupełnie. Ona sama, najzupełniej niezależnie prowadzi gospodarstwo, którego dochody składa, jak twierdzi, dla... podrzutka.

Codzień rano, otwierając drzwi swego, pokoju, patrzy, czy kto nie położył jej na progu zawiniętego w czyste, białe pieluszki niemowlęcia, które chciałaby wziąć za swoje.

Dotąd jeszcze nikt nie spełnił jej życzenia, co ją gniewa i oburza.

Oryginał z tej Ewy: ma lat trzydzieści pięć, jest zdrowa, silna, czerstwa, pasyami lubi dzieci i czuje potrzebę macierzyństwa, a jednak nie chce wyjść za mąż? Konkuren-

tów, którzy proszą o jej rękę odprawia słowami:

— Hypoteka mego majątku mocno obciążona: łatwiej dojdzie się do oczyszczenia jej samej jednej, aniżeli we dwoje...

Nieprawda, hipoteka czysta jak łza, tylko Ewa mści się na mężczyznach za jednego, który rozczarował ją do wszystkich...

Historia jej taka: mając lat szesnaście, zakochała się do szaleństwa w rządcy majątku swych rodziców, który przez dwa lata udawał zakochanego w niej również do szaleństwa. Po dwóch latach, obdarzony jej zaufaniem, zniknął bez wieści z sumą 10,000 rubli, którą miał zahypotekować na domu swej matki w najbliższym miasteczku...

Odpokutowawszy miłość swoją długą i ciężką chorobą, Ewa na razie chciała wstąpić do klasztoru, czynne jej jednak i energiczne usposobienie wróciło ją światu. Dziś — prowadzi jedno z najwzorowiej urządzonych gospodarstw w okolicy, otrzymuje na wystawach rolniczych złote i srebrne medale za świetne krzyżowanie kaczek i kokoszek, miewa od czasu do czasu dla sąsiadek odczyty o chowie drobiu i najlepszych sposobach spożytkowania produktów wiejskich, a przytem

wszystkiem — z troskliwością siostry miłosierdzia, pielęgnuje chorego ojca.

Charakterystyczną cechą jej stanowi to, że nie znosi powieści i romansów w najpoważniejszej nawet formie, że wpada w gniew, gdy wspomnieć przy niej o miłości i twierdzi głośno, iż ta istnieje tylko w słowach poetów, którzy roznoszą ją po świecie, jak prąd wiatru bacyllusy żarazy...

Na biurku jej znajdziesz cały stos książek: czyta po parę godzin dziennie, lecz tylko dzieła treści społecznej lub mające związek z jej „rzemiosłem...”

Rozwijam się przy niej moralnie i umysłowo. Tego rodzaju kobiety, jak ona, to wielkie świeczniki postępu w kulturze. Gdyby ich było więcej, równouprawnienie płci naszej przestałoby być kwestyą...

Od pierwszej chwili pobytu w Jaskółkach zapędziła mnie do pracy.

— Mianuję cię pomocnicą we wszystkich moich zajęciach — powiedziała mi zaraz na wstępie. — Musisz biegać wszędzie wraz ze mną, musisz być w polu, w ogrodzie, na łąkach: to cię uzdrowi...

Według niej, człowiek choruje tylko z nu-

dów: praca leczy najdotkliwsze cierpienia każdego...

Nie poznałabyś mnie, gdy, opasana wielkim białym fartuchem, pielę klomby, obcinam wybujałe pędy drzew, polewam kwiaty, czyszcę młode krzewy z robactwa, a przytem — parę godzin dziennie, pod kierunkiem Ewy, uczę się koszykarstwa, aby jeżeli zostanę tu przez zimę, wykształcić w niem gromadkę chłopskich dzieci. Zajęcia te tak dobrze wpływają na stan mego zdrowia, iż czuję się jakby odrodzoną. Z pogardą myślę o ślimaczu swem życiu w mieście, o żalach i tęsknotach, które pielęgnowałam w sercu, sądząc, iż każda ich drobina stanowi świat odrębny, przezemnie dla mnie samej tylko stworzony. Co znaczą niedołężne porywy człowieka wobec wspaniałej, niezbadanej maszyneryi bytu, która rodzi prawo do prawa podobne, a pierwsze, zarówno jak ostatnie zdumiewa systematem, rutyną i trwałością swoją?..

Z każdą chwilą staję się gorliwszą, zapamiętałą zwolenniczką determinizmu i twierdę, że wielkie to słowo ten tylko zrozumieć może, kto bliżej zetknie się z przyrodą...

W ogrodzie, pod oknem mojem, jaskółka samiczka, kołysząc się na gałęzi bzu, karmi

piskłęta swoje; dwa białe motyle, furkając skrzydłami przelatują z liścia na liść; konik polny cyka w klombach nasturcyi; komary brzęczą w powietrzu, jak lekko potrącone struny skrzypiec, gałęzie drzew szumią chórem, a słońce, przeświecając przez blaszki liści, niby przez płyty szkła jasno zielonego, drga życiem, ruchem, gwarem w pędzie rośliny... Dyamentowe strzałki muskają twarz moją blaskiem i ciepłem; tak mi dobrze, tak dobrze w tej chwili, że aż się boję, abym tych dni szczęścia i spokoju nieodpokutowała długim, ciężkim smutkiem... Napadają mię tu niekiedy ataki takiego szalonego śmiechu, że Ewa patrzy na mnie, jak na waryatkę. Bawią mię typy charakterystyczne, jak do powieści, których tu pełno: śmieję się na samą myśl o nich. Pyszna jest np. gospodyni, stara Borzemska, która skarżąc się na wieczny brak apetytu, nie chcąc nic jeść podczas obiadu i kolacyi, całą spiżarnią ma u siebie w pokoju za piecem i zamyka drzwi na klucz w chwilach posiłku, a wczoraj zgromiła mię, jak przestępczynię, kiedy dobijałam się do niej...

Znakomita również ciotka Ewy, wdowa, która od lat dziesięciu stale, o jednej porze, między podwieczorkiem a spacerem o zmierz-

chu oplakuje nieboszczyka męża, tak samo, jak stale od szóstej do ósmej z rana uczy się słówek angielskich i tłumaczy powieść z francuskiego, jak stale, o jedenastej w południe spożywa dwie marchewki, ogórek i kalarepkę, które pokojówka Józia przynosić jej musi zawsze na jednej i tej samej miseczce z karykaturą mandaryna chińskiego...

Nieoceniony także gorzelany, który, przechodząc do dworu, stroi się w wielkie pstre fontazie i kraciaste spodnie, pomaduje głowę cynamonowo-migdałowym olejkiem i każde sprawozdanie zaczyna od słów:

— Bom rzec winien, żem zgneębiony.-,

Najpyszniejszy ze wszystkich rządcą sąsiedniego folwarku, który, podupadłszy na wzroku, nie mogąc odcyfrować listów, jakie otrzymuje, biega po pokoju z arkuszem i kopertą w ręku i krzyczy na cały głos:

— Albom zwaryował albo jestem w domu waryatów: uważasz pan, pisz pan wyraźniej, dobrodzieju, bo do sądu cię zaskarżę.; Sąsiedzi i sąsiadki nasze wzbogaciłyby znakomicie album twoich karykatur: co niedziela, gdy okolica zjeżdża się do nas, myślę o tobie...

Co robisz teraz? Nie wiem, dlaczego martwi mię, iż porzuciłaś medycynę: zdaje mi

się, że lepszym byłabyś doktorem, aniżeli artystką.

Na dziś dosyć gawędy. Przesyłam ci uściśnienie i proszę o odpowiedź.

Helena.

Helena do Stasi.

Jesień już, jaskółki odrzuły na południe, a jeszcze nie mam listu od ciebie...

Rodzice naglą mnie do powrotu. Mama pisze, iż dla samej opinii ludzkiej zimę muszę spędzić w Warszawie. Kłopotuje ją, coby powiedzieli znajomi, gdybym na tak długo wyjechała z domu?

Mnie tak się nie chce myśleć o mdłym życiu miejskiem! Co mnie tam czeka? Kilka nudnych rautów, trochę plotek i ta wieczna gonitwa za mężem, która obrzydziła mi życie...

Jestem teraz zdrowa zupełnie: nic mi nie dolega, prócz nieokreślonych obaw i smutków, które napadają mnie często bez przyczyny. Wdrożyłam się w pracę pod kierunkiem Ewy. Ułożyliśmy już sobie plan robót na rok przyszły. W ogrodzie zaprowadzamy całkowitą reformę: przytem kwiaty będą pod moją wyłączną opieką. Tak przykro rzucać na raz wszystko! Ewa, u której dotąd nigdy łąz

nie widziałam, płacze na myśl rozstania się ze mną. Dziś od rana zaslania rękami małe, ruchliwe swoje oczki, aby nie schwycić jej na akcie rozrzewnienia.

Wrzesień mieliśmy smutny, szary, deszczowy: za to październik błyszczący szeregiem dni pogodnych. Czerwono-żółte liście kasztanów mienia się w słońcu, jak roztopione dukaty. Białe nitki pajęczyny, błędząc w powietrzu, zahaczają się o czubki drzew miękkim, puchowem swem dotknięciem. Szara, zorana ziemia, drzemiąc posepnie, przypomina wprawdzie niedaleki pogrzeb swój pod całunem śniegów, niebo jednak, jak zalotnica, dla której istnieje tylko wiosna, połyskuje puchem obłoków, niby mlecznymi opalami, wstawionymi w oprawę turkusów, i niweczy żalobę jesieni.

Złoty deszcz liści żegnał mnie dziś w alei kasztanów, gdy błędziłam tam, prawdopodobnie po raz ostatni. Jutro rano mam wyjechać stąd. Chcę, żeby się rozdeszczyło. Miałabym złudzenie, iż cichy dworek tutejszy, niebo, gałęzie więdnących kasztanów, puszyste liście szparagów w ogrodzie i wielka bazylika ruin na wzgórzu płaczą po mnie. Z wiosną wrócę tu: tą myślą tylko będę żyła.

Do widzenia! Stanowczo nie napiszę teraz pierwsza. Czekam listu z Drezna. Jestem niespokojna o ciebie.

Helena.

Stasia do Heleny.

Ostatni twój list odbył całe szeregi wędrówek, zanim dostał się do rąk moich, od miesiąca bowiem nie jestem w Dreźnie, lecz w Hamburgu.

Co robię tutaj na gruncie „wolnego portu“, na rynku olbrzymich manipulacji giełdowych, ja, ze swoim gardłem śpiewackim i wymarzoną przyszłością głośnej primadony? — pomyślisz zapewne.

Stało się tak. Rodzice, którzy długi czas byli przeciwni karierze mojej teatralnej i chcieli wy kierować mnie co najwyżej na śpiewaczkę estradową, czyli inaczej powiedziawszy „filantropijną“, spotkawszy tym razem opór z mej strony, niczem nie zwalczony, musieli przystać na występy moje; podali jednak warunek, aby się odbyły nie w kraju i nie pod mojem staro-szlacheckim, dotąd publicznie chyba tylko na plakatach pogrzebowych, lub w herbarzach ogłaszaniem nazwiskiem.

Naturalnie przyjął ich zastrzeżenie i od-

tąd gardło moje otrzymało pseudonim „*dal Braghi*“.

Traf zrządził, że w ostatnim roku pobytu mego w Dreźnie poznałam reżysera opery hamburskiej, który przyjechał tam dla zbadania miejscowego teatru. Polki mają szczęście do cudzoziemców, to rzecz wiadoma. Nie wiem, co we mnie zachwyciło reżysera, gosić, że po kilku zamienionych ze mną słowach, stał się najgorętszym moim przyjacielem i obiecał urządzić mi trzy debiuty w operze hamburskiej. Lamperti wyuczył mnie doskonale trzech partycyj koloraturowych: w „Cyruliku Sewilskim“, „Łucyi“ i „Hugonotach“. Za tydzień ukażę się zdumionemu Hamburgowi jako Rozyna, za dwa tygodnie jako Łucya, a za trzy—jako królowa.

Czemu nie możesz być paziem moim, jak o tem marzyłam?

Co za kostyумы przepyszne przygotowałam sobie z pomocą modniarek i mateczki!...

Ta ostatnia płacze chwilami na myśl, że naszyjniki i dyademy brylantowe, które ongi na czołach i szyjach prababek moich ukazywały się dworom europejskim, dziś ściągną wzrok niejednego żydka z paradyzu, a może

znajdzie się ktoś, co pomyśli o nich, że są sztuczne...

Mam nadzieję jednak iż pierwszy mój tryumf osuszy jej łzy i przerwie wspomnienia prababek.

Dotychczas nie doznaję ani odrobiny tego, co nazywają „tremą“.

Ale-bo też trafiliśmy tutaj na dobrych, serdecznych ludzi, którzy nie dopuszczają złych myśli. Reżyser zapoznał nas z garstką bawiących w Hamburgu stale polaków. Dwaj z pomiędzy nich zajmują poważne stanowiska: pierwszy—dyrektora jednego z towarzystw żeglugi parowej na Elbie, drugi—naczelnika jakiegoś biura prywatnego, a reszta—to studenci wydziału handlowego, mili, rozkoszni chłopcy, którzy nawet ludzi noszących się z myślą samobójstwa, zdolaliby doprowadzić do śmiechu. Jest ich pięciu, a wszyscy bardzo brzydcy i dlatego stanowią klub t. zw. „piękników“, którego prezesem zrobią mnie, jeżeli przejdę ospę, lub postaram się o piegi na twarzy...

„Piękniki“ oddają mi wielkie usługi. Od godziny trzeciej po południu mam ich do rozporządzenia. To też, naśpiewawszy się zrana i odbywszy wszelkie praktyki, potrzebne do utrzymania gardła w porządku, biegam z nimi

po mieście. Podziwiam codzienną Alsterę, łukami mostów na kilka basenów podzieloną; każdy z nich obramowany pękiem zieloności, każdy płonie wieczorem miliardem światel, na bulwarach rozpalonych i w głębi wód atlasowych skąpanych. Podziwiam, a raczej zachwycam się w starej dzielnicy miasta szeregiem domków, robiących zdaleka wrażenie dekoracyi z grubej tektury. Jedne z nich niskie a szerokie, inne zaś wąskie a sterczące ku górze, jak słupy; wszystkie, zakończone trójkątem okopconych dachówek, zdają się chylić ku upadkowi. Pełno w nich okien. Jedno tuż przy drugim. Oddzielone do siebie wąskimi skrawkami muru, wyglądają, jak najdelikatniejszy ażur koronki. Szyby ich błyszczą w słońcu, jak brylanty, oprawiane w zaśniedziałe stare srebro. W każdym z nich białe jak śnieg firanki i porcelanowe doniczki z kwiatami. Z każdego z nich o zmierzchu lub rano, bardzo rano, wyglądają zdrowe, czerstwe twarze rzemieślników i wyrobników.

Przyjechawszy tutaj, pierwszego dnia pomyślałam:

— Gdzie ten ruch olbrzymi, cechujący wielkie miasto portowe? Gdzie zgiełk, go-

rażka życia, szybka niecierpliwa działalność, o której mi opowiadano?

Na bulwarach spokojnie. Ludzie bez pośpiechu przechodzą z trotuaru na trotuar, bez pośpiechu, z uśmiechem dobrobytu, jak obywatele, których nie przeraża nagły przewrót giełdowy, zapijają czarną kawę w pawilonie lub pod arkadami Alstery...

Ruch, gorączka, życie zaczyna się w porcie dopiero. Tu setki ludzi wyczekują pracy. Nadchodzą olbrzymie okręty ładowne i w tej chwili beczynna setka dostaje zajęcie. Lasy masztów, burty okrętów i srebrna łuska Elby połyskują w słońcu. Nikt nie zwraca uwagi na panoramę krajobrazu: wszyscy zajęci. Tym, co jadą, lub idą tędy, zawsze pilno. Gorączka niepewności, pośpiech, myśl, kombinująca szybko, bez zwłoki czasu, wyrzyta na każdej twarzy. Niekiedy dwóch mężczyzn, biegnących prędko, jak gdyby od pieszego ich wysciugu zależało zdobycie głównej wygranej, spotyka się nagle. Nie powitawszy jeden drugiego, rzucają sobie błyskawiczne, niecierpliwe pytania. Rozprawiając żywo, rozchodzą się po chwili, każdy w swoją stronę, nie uchyliwszy na pożegnanie nawet kapelusza.

Wczoraj odbyliśmy wraz z towarzy-

stwem naszym podróż Elbą wzdłuż portu. Małeńki statek śrubowy „Marta i Lili“ wioził nas między szeregami olbrzymich, jak piętrowe kamienice, okrętów. Ślicznie było na wodzie. Słońce zachodząc, różowiło drobne jej fale. Maszty parowców wyglądały zdaleka, jak rozpięta w powietrzu gipiura o powikłanych pionowo niteczkach. Drobny deszcz spadł na nas z drobnej, perłowej chmurki, gdyśmy podjeżdżali pod wielki most łukowy z herbami Hanzy; jednocześnie śruba statku, rozkołysawszy go, obryzgała nas pyłkami wody. Podwójny ten natrysk wprowadził wszystkich w znakomite humory: zaczęto śpiewać chórem...

Po raz pierwszy żałowałam, że jestem „*dal Braghi*“ i strzedz muszę gardło przed wilgocią, jak kataryniarz pudło katarynki...

Wszyscy śpiewali: ja nawoływałam o odwrot.

Dziś — „Piękniki“ moi przywieźli nas na obiad tutaj, do białego domku Jakuba, gdzie przyszła mi fantazyja napisania listu niniejszego.

Jechaliśmy cienistą aleją, usianą gmachami letnich willi. Każda z nich obwiedziona kobiercami szmaragdowych, w pasy strzyżonych trawników. Niektóre uderzają wdzię-

kiem stylu odrodzenia, inne—powagą gotyku, lub lekkością łuków romańskich. Otaczają je ogrody ze szpalerami z bzów, akacyi, klonów i kasztanów. Coraz to jakaś wieżyczka strzela w powietrze. Gdźieniegdzie z za zieleni krzewów wyłamują się tajemniczo domki murytańskie, o basztach w zęby uzbrojonych i fantastycznych konturach fasady.

Tu, w białym domku Jakuba, cicho, spokojnie, dobrze. Jasnowłosa Anna w blanke-nezyjskim czepeczku na głowie, nakrywając stół, kokietuje towarzyszy naszych szeregiem lśniących, perłowych ząbków i oczami młodej sarny...

Płowo-szarawe nurty Elby podmywają wzgórze, na którym jesteśmy w tej chwili. Srebrna łuska rzeki nęci gromady mew białych, które muskają ją wachlarzami rozpiętych skrzydeł. Płaty łąk zielonych, ciągnące się wzdłuż prawego wybrzeża, lśnią w promieniach słońca, jak roztopione szmaragdy. Łódki o spuszczonech lub rozpiętych żaglach, wąskie, małe, lekkie, chwieją się na wodzie, jak łupiny orzecha.

Nie umiem ci powiedzieć, jak mi dobrze teraz, jak jestem szczęśliwa! Czas cudowny;

słońce od rana, księżyc całemi długimi wieczorami, które spędzamy nad Alsterą.

Nawet nie pilno mi do występów. Przypuszczałam, iż kilka tygodni przed debiutem będę cierpiała na gorączkę, którą Niemcy nazywają „*Ruhmfieber*“. Tymczasem—nic z tego: tak mi jakoś dobrze, spokojnie, tyle równowagi i uczucia słodkiego dobrobytu mam w sobie, że wszystkich tem wprawiam w podziw.

„Piękniki“ organizują dla mnie wielką klakę. Całe czwarte piętro na „Cyruliku“ zajmą handlowcy. Reżyser, dobry i troskliwy o mnie, jak o swoją córkę, obiecuje powodzenie. Mam śpiewać ze znanym tu i uwielbianym tenorem — niegdyś dorożkarzem: to zabawne, nieprawda?

Martwi mię tylko dyrektor: zdaje się, że zakochany we mnie. Codzień odbieram od niego bukiety i cukierki. Jeżeli oświadczy mi się, będę miała moc nalegań ze strony rodziców, by wyjść za niego, a teraz—co innego mam w głowie. Muszę upić się sławą, jak wódką, aby nazajutrz po pijaństwie doznać *katzenjammeru* i... zatuszować może do spokojnego, bezbarwnego życia przeciętnej mieszczy.

Od kwadransa wołają na mnie: Anna wniosła już ulubioną moją zupełną windsorską. Wszyscy głodni i złorzeczą mamie, że kazała uczyć mnie kaligrafii.

Bądź zdrowa! Listy twoje czasami czytam, czasami daję je do przejrzenia matce i proszę, aby opowiedziała mi wiernie, co się w nich mieści. Pisuj jednak w każdym razie; może przyjdzie kiedy chwila, że rzucę się na nie z chciwością głodomora. Mam je wszystkie w oddzielnej skrytce podróżnego kufra.

Myśl o mnie teraz dużo, życząc mi powodzenia, albo nie myśl: przez sugestję mogłabyś mi udzielić coś z płaczliwej swej nerwicy, a ja—chcę być wesolą i figlarną Rozyną.

Do widzenia!

Stanisława,

Helena do Stasi.

Zdziwisz się, czy nie zdziwisz? Od pół roku jestem narzeczoną. Stało się to tak szybko i niespodziewanie, że dziś nie wiem sama, czy wierzyć szczęściu swemu, czy też uważać je za złudzenie.

Przyjechawszy ze wsi, marzyłam o tem tylko, aby wrócić tam jaknajprędzej. Rauty

i „skromne herbatki“ warszawskie zbrzydły mi do tego stopnia, iż płakałam na samo wspomnienie o nich.

Pomimo gwałtownego mego oporu, mama zaciągnęła mię, w parę dni po przybyciu mojem, na zebranie u krewnych naszych, tych samych, u których niegdyś posnałam Sławińskiego. Posłałam tam złą, nachmurzoną; zaklinałam się w duszy, że słowa jednego nie przemówię do nikogo.

Pierwszą osobą, jaką spotkałam w progu drzwi, był Edward Milewski, zwany ogólnie „młodym rejentem“, wysoki, przystojny szatyn o ciemnych, głęboko osadzonych oczach i słodkim, dobrym wyrazie twarzy,

Widywałam go dawniej już niejednokrotnie na rautach, koncertach, spacerach, w teatrze. Wydawał mi się zawsze najsympatyczniejszym z mężczyzn, jakich znałam dotąd. Myślałam nieraz, że jego jednego tylko mogłabym pokochać prawdziwie. Patrząc w jego oczy, doznawałam wrażenia słodyczy: było mi z tem dobrze; czułam się spokojną, szczęśliwą.

Edward ma lat trzydzieści. Dotąd trzymał się zawsze zdaleka od panien. Prześladowano go starokawalerstwem: nie miał żalu

o to—owszem—dowodził, iż rzeczywiście, nie ożeni się nigdy; kaprysy bowiem, stroje i nerwy kobiet przerażają go bardziej, niż tyfus, ospa, paraliż.

Starsze panie lubią grywać z nim w gryłasza lub rumelpikietę: mężczyźni wyciągają go na szachy lub winta; panny tylko próżno zawsze zerkają nań z ukosa. Stanowiąc pod każdym względem to, co zasługuje na miano, „dobrej partyi“, rozważny był i ostrożny. Głośno odzywał się niejednokrotnie, iż warszawianek nie lubi i że, gdyby jaka panna ze wsi oświadczyła mu się, to, kto wie, może, zważywszy korzyść uniknięcia kłopotliwych oficjalnych konkurów, namysliłby się w końcu na ożenek...

Ja przed wyjazdem swoim na wieś nie rozmawiałam z nim nigdy, dziwna rzecz jednak: żaden mężczyzna dotąd nie pozostawił w umyśle moim tak silnego i trwałego wrażenia, jak on. Nie patrząc na niego, mogłam dokładnie odtworzyć w pamięci każdy rys jego twarzy; stawał przed wzrokiem moim, jak żywy, byłabym mogła szkicować jego portret.

Na wsi nieraz, w chwilach gdy najwięcej rozmawiałam z Ewą, lub najgorliwiej pracowałam w ogrodzie, on, a raczej sylwe-

tką jego, wyryta w moim mózgu, przesuwiała się przedemną tak wyraźnie, iż otwierałam oczy szeroko, aby sprawdzić, czy to rzeczywistość, czy tylko halucynacya? Szczery, serdeczny i dobry, pełen pobłażliwości uśmiech, który błędził stale dokoła różowych ust jego, odsłonięte białe czoło, którego zmarszczka pionowa świadczyła o pracy i samodzielniem zdobywaniu niezależnego bytu, każdy najlżejszy gest jego, każde poruszenie oczów, twarzy, żyło w mej pamięci.

Czy przypominasz sobie scenę w ruinach, którą opisywałam ci półtora roku temu, kiedy, jak szalona, płakałam i śmiałam się naprzemian, wyciągając ręce do nieba, ziemi i słońca?...

Edward wtedy był przy mnie, czułam niemal jego oddech, muskanie ciemnych jego włosów, spojrzenie dużych czarnych oczu... A jednak... gdyby rok temu kto mi powiedział, że go kocham, wzruszyłabym ramionami powątpiewająco i prosiła, aby przestano mówić o tem,

Zbliżyliśmy się z Edwardem szybko, niespodziewanie. Ludzie nie mieli czasu obrzydzić nas sobie wzajemnem częstowaniem; „uderz do niej“ „wyjdź za niego!“

Stało się to prosto i niemal błyskawicznie. Spostrzegłszy mnie po roku niewidzenia w salonie, wśród tłumu panien o ufryzowanych i spudrowanych grzywkach, o zalotnych uśmiezkach, rzucanych z za wachlarzy, Edward przystąpił wprost do mnie; może dlatego właśnie, iż byłam milcząca i nie ścigałam go zalotnem spojrzeniem, że włosy tego dnia właśnie miałam gładko przyczesane nad czołem, że zerwałam z kokieteryą i sztucznem wabieniem mężczyzn.

— Jakie czary tak przeobrażają?—spytał, siadając obok mnie na błękitnej pluszowej kanapce, pod cieniem wielkiego chińskiego parasola, dokoła którego drgały niespokojnie zawieszone u każdego pręta ptaki egzotyczne.

— Rok temu—dodał—była pani tak podobną do całego szeregu panien, spotykanych na wieczorach, iż nie odróżniałem jej prawie od innych: dziś—dostrzegam w niej coś zupełnie odrębnego; sam nie wiem na czem odrębność ta polega?

I wzrokiem, pełnym zdziwienia oraz zaciekawienia, wodził po całej mojej postaci.

— Wieś nauczyła mnie wielu dobrych rzeczy: myślę dziś i czuję inaczej, aniżeli przed

rokiem; może to wyodrębnia mię cokolwiek— odrzekłam, nie patrząc na niego.

Mówiliśmy następnie o różnicy trybu życia na wsi i w mieście. Wyraziłam chęć jak najprędszego powrotu do „Jaskółek“, twierdząc iż Warszawa męczy mię i nudzi niesłychanie.

On z widoczną przykrością słuchał słów moich.

— Więc tylko wieś posiada przywilej wyrwania pani ze szponów nudy?—spytał ironicznie.

— Ktoś w „Jaskólkach“ musiał zawładnąć sercem pani, skora ono z taką niechęcią odwraca się od miasta i jego rycerzy — dodał, spoglądając mi w oczy badawczo.

— Bawiłam na wsi kilka miesięcy zaledwie: prócz chorego, od lat trzech nie schodzącego z łóżka wuja mego, kilku starych sąsiadów i sąsiadek, oraz kuzynki, z którą pokochałyśmy się szczerze, nie poznałam tam nikogo; sercu mojemu zatem nie groziło niebezpieczeństwo—odparłam krótko.

Rozmowa przeszła następnie na inny temat. Pod koniec wieczoru Edward, patrząc na mnie, z prośbą w oczach spytał:

— Czy pozwoli pani odwiedzać się jak najchęćiej i robić wszelkie starania, w celu

przywrócenia jej miejskich upodobań, a przede wszystkim, niedopuszczenia pierwszego ataku nudy, który mógłby zapędzić ją na wieś powrotnie?

Skinęłam głową twierdząco i nie wiem, dlaczego uczułam w tej chwili tętno krwi, zalewającej czoło, ramiona i szyję moją szybko, tak iż salon, pełen gości, zawirował mi w oczach, a gwar prowadzonych rozmów przeszedł w głuchy szmer, w którym nie mogłam rozróżnić ani słowa.

Edward, pochylony nademną, mówił coś jeszcze krótkimi urywanymi zdaniami: nie rozumiałem go dobrze, słyszałam tylko, że mówił o mnie: serdeczna, ciepła vibracja jego głosu budziła we mnie uczucie rzewnej słodyczy. Miałam ochotę wyciągnąć ku niemu obie ręce, spojrzeć w duże jego oczy i powiedzieć:

— Jesteś najpiękniejszy, najmiłszy z ludzi, jakich znałam kiedykolwiek.

Nie powiedziałam tego, naturalnie. Palce moje skubały niecierpliwie brzeg batystowej chusteczki. Z lękiem, z trwogą myślałam, czy słowa jego nie są grą pustych frazesów, rzucanych wieczorem w salonie, aby tem szybszemu zapomnieniu uległy nazajutrz, przy świetle dziennem?

— Pozwolą państwo złożyć sobie uszanowanie moje w jaknajkrótszym przeciągu czasu?—spytał Edward rodziców moich, żegnając ich przed progiem naszego domu.

— Prosimy, bardzo prosimy—brzmiała odpowiedź.

Nazajutrz o zmierzchu, gdy zamknięta w swoim pokoju marzyłam, nie wiem dobrze o kim czy o czym, lecz marząc, najwyraźniej czułam w powietrzu woń heliotropów i fiołków, jakkolwiek dokoła mnie nie było kwiatów,— w mieszkaniu naszym rozległ się głos dzwonka.

Edward wszedł do salonu, przepraszając, iż pierwszą wizytę składa nie według przepisów towarzyskiego regulaminu.

— Południa w dniu powszednie zajęte mam pracą, a do niedzieli daleko. Obawiałem się—rzekł, zwracając głowę w moją stronę, aby pierwszy atak spleenu pani nie przyszedł zbyt prędko. Jutro bardzo ładny koncert w resursie: może panie pozwolą wziąć bilety i towarzyszyć sobie? Pragnąłbym rolę impresarya zabaw, którą wziąłem na siebie, spełnić jaknajsumiennie i uzyskać całkowite zadowolenie władzy wyższej..

Oczy jego, patrząc na mnie, miały wy-

raz takiej słodczy, iż serce moje wezbrało rzewnem uniesieniem: byłabym z rokoszą oparła głowę o jego piersi i z przymkniętymi powiekami słuchała łagodnej vibracyi głosu, który pieścił mię i upajał...

Jesień minęła. Zima rozpostarła białe swoje skrzydła nad dachami domów i chodnikami ulic, nad pustymi przestrzeniami wielkich placów i ogrodów miejskich, nad zmarzniętą na skraju miasta rzeką i zaludnionemi rojem łyżwiarzy stawami.

Edward przychodził codziennie. Z początku, za każdym razem, proponował teatr, koncert, odczyt, lub publiczną jaką zabawę. Pod koniec jednak przestał przynosić bilety.

— Nadmiar przyjemności nudzi tak samo, jak brak ich zupełny—rzekł któregoś wieczora do mnie.—Bawiąc się codziennie, zatęskniłaby pani szybko do wiejskiej ciszy, a wtedy...

Szary zmierzch zalewał pokój, w którym nie było nikogo. Blask latarni, zapalonych na ulicy, rzucił bladawo-żółte refleksy na białe jego, lekką zmarszczką niepokoju przecięte, czoło.

— Nie nudzę się w mieście i nie zatęsknię za wsią, chyba...

Obie moje ręce szybko, jakby za rozka-

zem, przesłanym mi z zewnątrz, bez udziału świadomości, wyciągnęły się w stronę Edwarda.

— Chyba, gdyby pan stracił nadal chęć bronienia mnie od nudy—dodałam dźwiękiem głosu, którego vibracya zdziwiła mię samą.

— Tyś moja!—zawołał Edward, przyciągając mię do siebie.

Serce zabiło mi gwałtownie. W tej chwili na swoich ustach uczułam jego usta.

— Tyś moja, tyś moja! — powtarzał Edward z uniesieniem, całując ręce moje, oczy, włosy, ramiona.

Ciemno było w pokoju. Nagle mama weszła z lampą w obydwóch rękach.

Oczy nasze wpily się w arebeski dywanu, rozłożonego na podłodze.

Edward ocknął się pierwszy.

— Mateczko, chciej przyjąć mnie za syna—rzekł, podszedłszy do mamy, całując ręce jej, w których drżała lampa.

— Powiedz, że jesteś szczęśliwa—szepnął w godzinę potem do ucha mego.—Powiedz, że mnie kochasz i że nikt na świecie nie jest ci droższym nademnie...

— Kocham cię i jestem...

Utknęłam przy wyrazie „szczęśliwa“... Zdawało mi się, że, jeżeli go wypowiem,

szczęście to, które wibrowało w mej piersi wrażeniem żywej, cieplej rozkoszy, pierzchnie przedemną jak złudna mara, że nastąpi po niem noc smutków i niepokoju...

Placząc, oparłam głowę o ramię Edwarda, placząc myślałam:

— Czemu ja tak jak inni, nie mogę być szczęśliwą bez granic, bez miary? Czemu, gdy życie uśmiecha się do mnie, staje przedemną, jak widmo upiora, szereg przewidywanych zgryzot i goryczy? Czemu z mózgu swego nie mogę wypruć dręczących mię zabobonnych urojeń? Czemu jestem kaleką, jak daltonista, dla którego każdy przedmiot zaszuwa się barwą krepy? Czemu, czemu, czemu?..

Serce pękało mi z bólu. Łzy dławiliły mię, nie mogłam mówić. Edward nie rozumiał, co działo się ze mną, Chmurny, zasępiony, przypuszczał, że nie kocham go tak, jak on chciał być kochanym,

Rozstaliśmy się tego wieczora smutni, pogniębieni: on z żalem i nieufnością do mnie, przypuszczając, iż taję coś przed nim; ja z burzą złych przeczuć, z niewiarą w to, aby miłość nasza mogła przejść spokojnie, jak sielanka Zosi i Tadeusza.

Cmentarz i żałoba majaczyły mi tego

wieczora przed oczami, gdy kładłam się do snu. Zamiast płakać z radości, z nadmiaru szczęścia, które mrugało na mnie barwą złota i tęczy,—ja płakałam ze smutku... Grobowa płyta cisnęła mi piersi: nie miałam odwagi i siły zrzucić jej z siebie...

Pół roku minęło od tego czasu. Edward pogodnem swoim usposobieniem umiał oddziaływać na mnie zbawiennie. Ciemne myśli pierzchły. Dobrze mi. Jestem szczęśliwa. Przyszłość rysuje się przedemną złotą wstęgą rozkoszy. I tylko jedna trwoga dręczy mię: aby ponure moje urojenia nie wróciły kiedy znowu. Dziś zdobyłam władzę nad nimi i widzę, gdzie rzeczywistość. Jeżeli ulegnę im z czasem i one same staną się dla mnie rzeczywistością—szczęście nasze zatruje chimera...

Obecnie miewam niekiedy chwile strasznych lęków i niepokoju: czasami, gdy Edward spóźni się o kwadrans w oznaczonym terminie przyjscia swego, szaleję z obawy: zdaje mi się, iż spotkało go wielkie nieszczęście, że zachorował lub umarł w drodze do mnie. Słyszę wyraźnie szept żałobników, wnoszących go do bramy i szarpię na sobie ubranie z trwogi, z rozpacz. A gdy Edward w takiej chwili wchodzi do pokoju niespodziewanie

i, stanąwszy za mną, zasłania mi oczy rękami, jak to czyni zwykle, witam go z taką szaloną radością, z płaczem i śmiechem naprzemian, że on patrzy na mnie zdziwiony, nie wiedząc co się ze mną stało, przyciskając mię do serca łagodnie, jak chorą, którą trzeba uspokoić.

Za tydzień ślub nasz. Mam ogromnie wiele zajęcia. Zapomniałam ci donieść, że od pierwszej chwili powrotu swego ze wsi jestem bardzo zapracowana, mam bowiem dwóch uczniów: Jóźka, który skończył już lat dziewięć i zawsze jest bóstwem rodziców, oraz Władka, syna kucharki naszej; obydwóch ich przygotowuję do szkół. Lekcje będę prowadziła i nadal po ślubie. Edward, widząc, iż należę do rzędu jednostek, które próżniactwo i nuda wpędza w chorobę, nie tylko nie zniechęca mnie w postanowieniu mojem, lecz przeciwnie, utrwala mnie w niem.

Żegnam cię, droga moja! Następny list mój odbierzesz jako od mężatki, jeżeli... coś nie stanie na przeszkodzie projektom naszym...

Widzisz, jak jestem zabobonna: nawet w myśli nie powiem sama przed sobą nigdy: „tak będzie“, w obawie, iż to, czego pragnę, pierzchnie przedemną, jak złudzenie...

Czekam wieści od ciebie o karyerze twojej artystycznej. Dziś nie zazdroszczę ci niczego: jestem... jest mi bardzo dobrze.

Twoja *Helena*.

Helena do Stasi.

Dwa lata nie mając wieści od ciebie, nie pisałam. Przykro mi było, iż życzenia swoje w dzień mego ślubu przesłałam w suchym telegramie tylko. Miałam pewne prawo oczekiwać z twojej strony kilku ciepłych, serdecznych słów. Przebaczałam ci niejednokrotnie dłuższe milczenie, przebaczam je i teraz, jakkolwiek ze stłumionym żalem w sercu... Karyera artystyczna pochłania cię zapewne całkowicie, skoro nic już od siebie nie możesz dać przyjaciółom swoim. Próżno w pismach szukam wzmianki o tobie: próżno wyczekuję echa twojej sławy, które powinno dotrzeć do nas... Nie wiem dobrze gdzie jesteś? Piszę na ręce ojca twego, który, przypuszczam, list niniejszy ci prześle.

Ja od dwóch lat tedy jestem mężatką. Edward nazywa mię skarbem swoim, gołąbką, koteczką i codziennie w innej litanii odmienia moje imię. Pieści mię przytem, znosi tysiące

książek i łakoci dla osłodzenia chwil, które spędzam bez niego.

Nie przeczuwałam nigdy, że stosunek dwóch istot, obcych dla siebie nazwiskiem i pochodzeniem, a jednak tak ściśle związanych ze sobą wolą przeznaczenia, które je odszukało i połączyło, jak dwie połowy rozkrajanego i rzuconego na dwa krańce świata jabłka, że stosunek ich, to wzajemne poznanie się i odnajdywanie w sobie, że tak powiem, instynktu deterministycznego, który jedno pchał w objęcia drugiego, — tyle może mieć uroku!

Dwa ubiegłe lata minęły mi, jak jedna doba, której nie zdołałam nawet zapamiętać dobrze: tak godziny jej były szybkie i przełotne, a tak wszystkie podobne do siebie wrażeniem słodczy, jakie zostawiała...

Dziś—oswoiłam się już z położeniem swoim: dziś—w tej chwili właśnie—po raz pierwszy od lat dwóch nudzę się trochę, troszeczkę i może dla tego tak łatwo przebaczyłam urazę swoją, pisząc do ciebie...

Józiek i Władek od kilku dni chodzą do szkół, trzy godziny zatem, które im poświęcałam dotąd, mam wolne i nie wiem, co zrobić z niemi?..

Gospodarstwo na nas dwoje zabiera mi godzinę czasu dziennie zaledwie. Edward przychodzi z kancelaryi swojej o zmierzchu dopiero: nie liczę kilku chwil południa, kiedy wpada na śniadanie, które je stojący prawie... Czytanie książek przez dzień cały nuży; zresztą, jest to tylko rozrywka, a ja lubię widzieć cel praktyczny i produkcyjny zajęć swoich.

Dopóki nie znajdę znowu sympatycznego jakiego dziecka, które miałabym chęć uczyć, dopóty, pomimo miłości Edwarda, godziny będą wlokły się dla mnie jak wieczność.

Gdyby tak dobre losy zesłały mi chłopca o gęstej, czarnej czuprynce i ciemnych oczach Edwarda, o małym zadartym nosku i różowych usteczkach, jaka szczęśliwa byłabym wówczas!

Zazdroszczę sąsiadce mojej, którą dziesięć razy na noc budzi kontraltowy głos malca, domagającego się jej piersi. Wstawałabym do niego sama, znosiłabym najcięższe niewygody, aby tylko móżdż nazwać go moim własnym, drogim skarbem.

Edward śmieje się ze mnie i powiada, że nie rozumie pragnień moich, że, co do niego, ja wystarczam mu w zupełności, że nie marzy

i marzyć nie może o innem uczuciu nad to, jakie ma dla mnie: wypełnia mu ono serce i życie. Z tem wszystkiem, ponieważ ja tego sobie życzę, i on nie miałby nic przeciw temu, aby mieszkanie nasze, ozdobiła mała, piszcząca jak kociak, laleczka, którą kołysałoby się i cisnęło do piersi dzień cały...

Dopisek późniejszy.

Listu, zaczętego przed rokiem, nie wysłałam, sama nie wiem, dlaczego? Dziś, przeliczając teczkę z papierami, znalazłam go, odczytałam i nie umiem ci powiedzieć, jakie wrażenie zrobił na mnie...

To, czego tak gorąco pragnęłam, spełnione i jak wiernie, jak dokładnie!

Od trzech miesięcy mam syna z czarną stojącą czupryną na główce, z ciemnymi oczyma Edwarda, z zadartym, małym noskiem i różowemi, jak dwa płatki róży, usteczkami. Płacząc niskim, dzieciennym kontraltem, prosi mię o pierś, którą mu daje.

Jaka to rozkosz karmić samej! Za nic szczęścia tego nie ustąpiłabym nikomu...

Przyszedł na świat ze skulonemi piąstkami, które przyciskał do czoła, jak gdyby skarżąc się na kłopoty i utrapienia życia...

Po tygodniu już stracił czerwono-siny koloryt ciała, który u innych dzieci trwa tak długo; po miesiącu zaczął śmiać się i rozglądać, jak gdyby wszystko dokoła siebie rozumiał. Dreszcz upojenia przechodzi mię, ilekroć, zawieszony u piersi mojej, laskocze mię różowemi, aksamitnemi swemi paluszkami.

Edward zazdrosny o miłość moją dla niego, jakkolwiek kocha go bardzo.

Czy to nie dziwne, że przeznaczenie tak wiernie, tak dokładnie spełniło me życzenia?

Zaczynam się obawiać: zanadto, stanowczo zanadto jestem szczęśliwa!..

Na pogodnem niebie chmury gromadzą się nieraz długo, niepostrzeżone w perłowym swym blasku, dopóki naraz nie zbiją się w ciemną, ołowianą płatę, ziejącą zniszczeniem...

Oby nie było tak ze mną! Trwoga, jakiej doznaję w tej chwili, zabija mię!..

Czy wychowam Jerzyka? Czy wypielęgnuję tę wątłą roślinkę?

Pełne uszy mam opowiadań znajomych moich o kłopotach, zmartwieniach i przejściach, jakie miały z dziećmi. Jednej z nich trzyletnia córeczka zmarła na ospę, drugiej—dziesięcioletni chłopiec na tyfus, trzeciej—dwumiesięczne niemowlę na krup... Ostrzegają mię coraz to

przed jakąś inną groźną a nieuchronną chorobą, która jeżeli nie zabija odrazu, to zostawia po sobie kalectwo na całe życie...

Boże, czy ja go uchronię od tego wszystkiego!..

Helena do Stasi po dwóch latach.

Dlaczego list ten zaczynam pod twem wezwaniem? — Wiem, że go nie pošlę, że po napisaniu podrę kartki, lub spalę je nad płomieniem świecy...

Tem, co boli naprawdę, nie dzieli się z nikim, to zostaje przy nas, jak rana, której najzręczniejszy chirurg nie jest w stanie zagoić...

Długi czas przewidywałam nieszczęścia i przykrości, które zamącą mi życie. Aż oto przyszedł smutek, nie nagły, z burzą ciosów odbierających rozum, lecz cichy, powolny, stopniowy... Rósł on w mem sercu, jak wyrasta z ziemi kielkująca słabym pędem roślina, dopóki nie owładnął duszą moją i zmysłami.

Taki ciężar przygniata w tej chwili piersi moje, że oddychać nie mogę, a pióro kreśli niewyraźne zygzaki, jak w ręku pijaka.

Dziś nie po raz pierwszy powiedziałam sama przed sobą głośno, wyraźnie to, czego

przed rokiem przypuszczać byłabym się bała: Edward nie kocha mnie już. Miłość jego uleciała, jak motyl, nasycony lepem róży. Wpadł w życie hulaszczę, które go pochłania. Jestem mu obojętna: nie zna mnie; nie jest w stanie zrozumieć moich cierpień; a ja... ja gardzę nim...

Nieszczęście przyszło ze strony, z której nie oczekiwałam go nigdy; przyszło, gdyż przyjść musiało, gdyż życie nie może być jednym pasmem rozkoszy...

W trwodze mojej o Jerzyka, może zanudzałam Edwarda niekiedy smutnymi memi przeczuciami co do dziecka; może niepotrzebnie odzywałam się nieraz, gdy on, zmęczony i skołatany pracą, wracał do domu, aby odpocząć:

— Zobaczysz, on nam się nie wychowa...

I płakałam przy tem, jak gdyby coś rzeczywiście groziło malcowi, który wyrastał na zdrowego, dobrze wyglądającego chłopca, budzącego zazdrość w innych matkach...

Edward uspokajał mię. Tuląc głowę do moich piersi, mówił łagodnie:

— Jesteś dziecinna: kto słyszał wmawiać w siebie cierpienia bez przyczyny? Tyle dzieci wychowuje się na świecie bez takiej dro-

biazgowej opieki, jaką ma Jerzy: dlaczegóżby z nim właśnie miało być inaczej?

Któregoś dnia jednakże, zniecierpliwiony mojami wróżbami, nazwał je „krakaniem kruka na dyabła, którego nie widzi“ i wzruszając ramionami, zawołał podniesionym głosem:

— Zaczynasz być nudna w końcu z wiecznem swoim przewidywaniem złego! Dlaczego brać życie nie takim, jakim ono jest w rzeczywistości, lecz wymyślać sobie sztuczne udręczenia i gnębić niemi siebie oraz innych?

Może był tego dnia bardziej zmęczony, niż zwykle; miał przytem w biurze podobno krzykre przejście z jednym z pomocników, który nie spełnił danego mu zlecenia; dosyć, że, trzasnąwszy drzwiami z całej siły, zamknął się w swoim pokoju na cały wieczór.

Czułam już wtedy, że szczęście moje stracone na zawsze...

Od dnia ślubu było to pierwsze i prawdziwe nieporozumienie między nami. Edward, którego głos mój drażnił widocznie, nie wyszedł tego wieczora do mnie ani na chwilę. Herbatę kazał podać sobie w swoim pokoju: tam też przespał noc całą.

Nazajutrz rano, obudzwszy się w lepszym nastroju umysłu, chcąc zapewne w żart obró-

cić przeprowadę dnia poprzedniego, przystąpił do mnie z Jerzykiem na rękę i rzekł, uśmiechając się:

— Syn prosi matkę za ojca o przebaczenie mu kaprysów dnia wczorajszego, które nie powtórzą się już nigdy...

W milczeniu wyciągnęłam rękę do niego; w milczeniu podałam mu czoło do pocałowania. Czułam jednak, iż usta moje i oczy mówiły to, co myślało serce:

— Przebaczyć mogę, lecz zapomnieć — nigdy...

— Chodź ze mną do teatru, dziś wieczorem—rzekł Edward tego samego dnia przy obiedzie.—Dają po raz trzeci operę, której bylaś ciekawa; tenor włos, cieszący się wielkiem powodzeniem w Medyolanie, ma śpiewać tytułową rolę...

Spuściłam oczy przed spojrzeniem jego, które byłoby mnie może ulagodziło.

— Idź sam, jeżeli masz gwałtowną chęć spędzenia dzisiejszego wieczoru w teatrze: ja zostanę w domu, przy dziecku, które wymaga stałej mojej i troskliwej opieki — odrzekłam zbyt cierpkim może, krótkim i suchym tonem głosu; zanedto jednak przykre wrażenie pozostało mi z dnia poprzedniego, abym mogła

uspokoić się szybko, a tem bardziej—aby tenor włoski mógł zatrzeć troskę moją i kielkujące cierpienie.

Edward tym razem wstał od stołu zniecierpliwiony i wzburzony silnie. On, taki łagodny zwykle, odsunął krzesło z hałasem i nerwowym krokiem, ze zsuniętem nad brwiami czołem, zaczął chodzić po pokoju. Chwilami przystawał, jak gdyby chcąc coś powiedzieć: ilekroć wszakże spojrzał na mnie, zaciskał usta i przygryzał wargi. Gniewał go może wyraz niemej rezygnacyi, wryty na mej twarzy, nie byłam w stanie jednak przemódz się i okazać coś innego nad to, co czułam w tej chwili.

Jerzyk z kolan niańki wyciągnął ręce do ojca: ucałował go machinalnie i wybiegł z pokoju, nie spojrzawszy już nawet w moją stronę.

— Wrocę późnym wieczorem dopiero: powiedz pani, żeby na mnie nie czekała z herbata—rzekł do służącej, na którą zadzwonił, aby podała mu laskę, kapelusz i palto.

Zatrzasnął drzwi przedpokoju za sobą, a w sercu mojem coś jęknęło w tej chwili: miałam ochotę wybiedz za nim, powiedzieć mu:

— Czekaj, pójde z tobą!..

Zostałam jednak na miejscu. Ból niepokojący, jak klucie drobnych szpilek, ścisnął me piersi.

— Ha, trudno — powiedziałam sobie — muszę cierpieć, skazaną jestem na cierpienia, jak każdy człowiek...

Teraz dopiero życie roztoczyło się przedemną tak, jak je pojmowałam zawsze: we łzach i smutku. Dotąd—śniłam sen szczęśliwy, który nie mógł trwać wiecznie...

Od tego dnia rozpoczął się między mną a Edwardem szereg drobnych a bolących, jak nieszczęście, nieporozumień. Wywoływało je niekiedy jedno słowo, jeden giest, jedno spojrzenie, nieopatrznie przezemnie lub przez niego rzucone, a zawsze podejrzliwe i z wzajemnem uprzedzeniem przez obie strony tłómaczone.

Ilekroć odtąd Edward proponował mi, abym towarzyszyła mu do teatru, na koncert lub wizytę, za każdym razem odpowiadałam:

— Idź sam: ja zostanę przy dziecku... Czułam przytem, iż oczy moje dodawały to, czego nie domówiły usta:

— Wiem, że zabawisz się lepiej bezemnie. Wiem, że jestem teraz dla ciebie ciężarem, który dźwigasz przez poczucie obowiązku jedynie. Psuję twoją wesołość, wolę zostać...

Od roku Edward bywa sam wszędzie. Jeżeli którego dnia przypadkiem pozostaje w domu, wieczór schodzi nam dziwnie jednostajnie, długo i nudno. Jerzyka układam do snu przed dziewiątą, po herbacie zatem spędzamy parę godzin sam na sam, w milczeniu i zakłopotaniu, jak gdyby nic już nie łączyło nas ze sobą... Jeżeli on pyta mnie o co, odpowiadam mono-sylabami; jeżeli wyciąga do mnie ręce, aby uścisnąć lub pocałować, nie usuwam mu się, lecz pieszczotę nie odpowiadam na pieszczotę.

Wiem dobrze, iż czułość jego teraz--- zdawkowa moneta, która przeszłości nie wskrzesi...

Wieczór schodzi nam na milczącym przeglądaniu pism lub czytaniu książek. Edward wstaje zwykle od stołu pierwszy, ziewając, i albo wybiega jeszcze na miasto, aby wrócić w nocy dopiero, albo też zamyka się w swoim pokoju, z kąd dolatuje głos szybkich, równomiernych jego kroków.

Przechadza się godzinami całemi: niekiedy przystaje u drzwi moich, a mnie — sama nie wiem czemu—serce bije wówczas jak młotem.

Cofa się najczęściej i chodzi znowu długo w nocy, a ja — płacząc, zdaje mi się nieraz, że piersi pękają mi z bólu.

Parę miesięcy temu wszedł do mnie. Siedziałam nad robotą sama. Jerzyk spał już od godziny. Czerwony odblask lampy, przysłoniętej abażurem, padał krwawą smugą na palce moje i na fałdy sukienki, którą szyłam dla dziecka.

Wszyscy mówili mi od pewnego czasu, że żem zmizerniała i zeszczupełała bardzo. Sama przeraziłam się kiedyś, spojrzawszy na siebie w lustrze uważniej. Oczy moje wpadły głęboko: podkrążyły je sine, a raczej prawie czarne obwódki. Rumieńce zniknęły z policzków moich zupełnie. Pionowa zmarszczka, której dawniej nie miałam, wryła się w czoło głęboko.

Edward, usiadłszy przy mnie, objął mnie w pół rękoma i przycisnął do swych piersi.

Czułam iż krew zalewa mi czoło w tej chwili.

— Co tobie? — spytał miękkim, łagodnym głosem.—Jesteś chora od pewnego czasu, albo też masz wielki jakiś żal do mnie.—Powiedz, powiedz wszystko: nie jesteśmy dziećmi; przyrzekliśmy sobie szczerą wzajemność...

Miałam ochotę zarzucić mu obie ręce na szyję i wyszeptać drżącymi ustami:

— Sądziłam, że mnie już nie kochasz,

że poemat uczuć między mną a tobą skończony na zawsze, że nie odzyskam ciebie nigdy... Jeżeli tak nie jest, będę napowrót spokojna i szczęśliwa...

Jakis głos jednak ostry i przekorny szepnął wewnątrz mnie:

— Nie mów tego; on gra komedię przed tobą!..

— Cierpienie moje nie skończy się tak prędko i skończyć się nie może. To, co było mi drogie, straciłam na zawsze, bez szans powetowania straty kiedykolwiek. Życie jest smutne: rodzimy się po to, aby dławili nas ból wieczny — odparłam krótko, sucho, nie patrząc na Edwarda.

W oczach moich mignął w tej chwili cały szereg żałobnych obrazów, któremi przywyłam karmić swój umysł.

Zapłakałam. Życie wydało mi się jedynym wielkim grobowcem, który pochłania i czarną ziemią przysypuje nie tylko drogie sercu istoty, lecz także nadzieje, uczucia i skarby marzeń naszych. Czułam się nieszczęśliwą, osamotnioną, nie rozumianą przez nikogo.

— Czy to ostatnie twoje słowa? — spytał Edward, zsuwając głowę moją ze swych piersi powoli.

Zaczęłam mówić o cierpieniach swoich. Miałam ochotę mówić długo, wyskarżyć się i wyżalić na wszystkie bóle, na żalobę zawiedzionego serca. Lubowałam się tym wielkim smutkiem, który napelniał mą duszę.

Edward nie okazywał skłonności wysłuchania rozprawy mojej na ten temat.

— Jeżeli zarzucisz mi coś pozytywnego, faktyczne jakieś wykroczenie przeciw tobie — rzekł stanowczym, lecz cokolwiek zniecierpliwionym głosem — w takim razie podejmę wątek rozmowy. Będziemy dysputowali. Potępię lub obronię siebie. Skargi twoje jednak na cierpienie, którego nie doznajesz, gdyż nie masz powodu doznawania go, wydają mi się sentymentalnem, na ton minorowy nastrojone zawołaniem Aldony... Nie jesteś osadzona w pustej wieży, życie uśmiecha się do ciebie; nie powinnaś malować na czarno tego, co ci ono w jasnych daje barwach. Małżeństwo, jak każdy związek dwóch lub kilku osób, jest twardą szkołą bytu. Bez miłości, dobrej woli i rozsądku stron obydwóch nie ma zgodnego pożycia. Drobne sprzeczki powinny ulegać zapomnieniu natychmiast po ich wybuchu, jak płomień zapalki: inaczej — tworzy się cała przepaść żalów, przedawnionych, a za-

tem—już nie do rozstrzygnięcia, gdyż zanadto przez cały czas swego trwania jątrzyły duszę. — Czy czujesz w sobie, odrobinę tej dobrej woli i trochę uczucia dla mnie, aby zatrzeć w umyśle ślady dawnych nieporozumień i nie dopuścić do nowych?

Ująwszy obie moje ręce, spojrział mi w oczy badawczo.

I znowu miałam ochotę objąć go silnym uściskiem; całując usta jego, chciałam zawołać:

— Kocham ciebie dziś tak samo, jak rok i dwa lata temu; nie przestanę kochać cię nigdy...

Znowu jednak ten sam głos uparty, buntowniczy, szorstki, szepnął mi wprost do ucha:

— Nie mów tego...

— Czas okaże, czy pożycie nasze w dalszym ciągu zmienić się może na lepsze? Co do mnie, — mam dobre chęci, to jednak nie wystarcza: pobudki z zewnątrz muszą działać wspólnie z niemi — odpowiedziałam chłodno, sztywno, nie usuwając rąk swoich z rąk Edwarda, lecz nie zdradzając ciepłym, serdecznym uściskiem, że dobrze mi, gdy czuję tętno krwi jego w swej dłoni.

— A zatem — kiedy nie masz nic więcej do powiedzenia, rozmowę naszą na temat, który sam obrałem, uważam za ostatnią. Sądziłem, iż zachowasz się względem mnie inaczej, że okażesz mi choć odrobinę uczucia... Jeżeli miłość dla mnie wygasła w twym sercu zupełnie, w takim razie całe lata traktatów i porozumiewań nie doprowadzą do niczego. Ostrzegam cię tylko przed jednym: nie stwarzaj sobie dobrowolnych, urojonych smutków; to gra niebezpieczna...

Spojrzał na mnie raz jeszcze badawczo... Głowę miałam spuszczoną. Na końcach rzęs moich drgały łzy. Przygryzłam wargi, aby stłumić spazmatyczne łkanie, które rozrywało mi piersi.

Edward stał chwilę, czekając sama nie wiem, na co. — Może sądził, iż powiem coś jeszcze do niego, lub zwrócę się ku niemu z pieszczotą?

Ręce moje, drżąc, ujęły rzuconą przed chwilą na stół robotę. Szylałam, płacząc. Czerwone błyski światła ześlizgiwały mi się po palcach, jak smugi krwi.

Odwróciwszy się szybko, Edward wyszedł. Nie upłynął kwadrans, gdy głośno,

z hałasem, zatrzasnął drzwi przedpokoju za sobą.

Słyszałam kroki jego w bramie. Słyszałam je a raczej goniłam wyobraźnią, gdy biegł wzdłuż asfaltowego chodnika po białej, szronem przypruszonej ulicy.

Serce moje ścisnął ból gwałtowny. Wstałam. Z odkrytą głową, w cienkich pantofelkach, w lekkim flanelowym szlafrocuku, jaki miałam na sobie, chciałam wybiec, dogonić go, zawrócić.

Służąca zatrzymała mnie w przedpokoju.

— Ja pójdę po pana — rzekła, śpiesząc do drzwi.

— Zostań! — jęknęłam głucho. W piersiach moich weszła cały potok żalu i zrozpaczenia.

Padłam na kanapę w ciemnym pokoju Edwarda i płakałam.

Jerzyka bezemnie tego dnia ułożono do snu. Nie widziałam nawet, kiedy niańka przyniosła go do mnie, aby na dobranoc ucałował moje ręce.

Edward tym razem całą noc spędził po za domem. Gdy nazajutrz rano, wstydząc się służby, sama otworzyłam mu drzwi, aby wpuścić go do mieszkania, spostrzegłam, jak

zataczał się i nie mógł trafić do swego pokoju. Wzrok miał błędny, wyraz twarzy pełen oglupienia, oddychał przykrym, dławiącym oddechem człowieka, który pił noc całą.

Ze wstrętem patrzyłam nań, gdy chwiejnym krokiem, zginając nogi w kolanach, minął próg przedpokoju i całym ciężarem bezwładnego ciała padł na kanapę, aby zasnąć po chwili, snem pijaka z dławiącym rżeniem w gardle.

— Nie cierpię, nienawidzę ciebie: napelniasz mię ohydą i wstrętem — myślałam, krzątając się nazajutrz koło ciepłej kąpieli dla niego.

On patrzył na mnie błagalnie.

— To się nie powtórzy — rzekł w końcu, całując moje ręce. Głos jego brzmiał pokorą winowajcy, błagającego o przebaczenie.

— To się powtórzy i powtarzać będzie coraz częściej — odparłam, zaciskając wargi — Kto raz wszedł na tę drogę, nie zejdzie z niej prędko...

Tego dnia Edward został w domu, pokorny, onieśmielony.

Nie mówiliśmy nic ze sobą. Po herbacie zaraz kazałam rozebrać mu łóżko.

— Jesteś zmęczony zapewne po wczorajszym dniu i pragniesz położyć się wcześniej — rzekłam sucho.

Edward podał mi czoło do pocałowania. Dotknęłam go zlekka chłodnymi wargami. Chciałam zdobyć się na serdeczniejszą pieśczętę, nie mogłam jednak; głos wewnętrzny mówił mi:

— Struna, raz pęknięta, nie da nawiązać się powtórnie: to, co było, nie wróci już nigdy...

Edward wpadł w wir hulaszczy, który teraz pochłonął go całkowicie. Jeżeli którego wieczora, zmęczony kilkoma dłuższymi nocnymi siestami, chce zostać w domu dla odpoczynku, — natychmiast listy, bileciki, natrętni posłańcy kolegów i przyjaciół, którzy przywykli grywać z nimi w karty, pić i bawić się codziennie, wyciągają go na miasto.

Nie rozumiem, jak życie takie nie znudzi go w końcu. Zmienił się teraz do niepoznania. Wesóły dawniej, swobodny, spochmurniał. Milczy godzinami całymi, a jeżeli ktoś zagadnie go o przyczynę tego milczenia, wpada w złość, graniczącą z furją. Ściąga jego twarz nabrzmiewa z dniem każdym, przybierając niezdrową limfatyczną cerę człowieka,

który noce całe trawi przy grze i kieliszku. Powieki czerwienią się, nabrzękle. Na policzki codzień nad wieczorem występują gorączkowe wypieki. Zaczyna kaszlać, a nie zwraca na siebie uwagi. Zimą wychodzi w jesiennym, lekko podwatowanym palcie. Z biura, często nie zajrzawszy nawet na chwilę do domu, biegnie na miasto, aby ułożyć wraz z kolegami program wieczornych rozrywek.

Jeżeli który z dawnych jego przyjaciół zwraca mu uwagę, mówiąc: „szanuj się!“ — macha ręką niecierpliwie, śmieje się szyderczo, ironicznie i hula w dalszym ciągu.

Co to wszystko znaczy? — Nie rozumiem zupełnie. Edward stał się dla mnie obcym człowiekiem, z którym łączy nas dziś tylko dziecko, wspólna własność nasza, której ani on, ani ja wyrzec się nie chcemy... Niekiedy, patrząc na niego w chwili, w której on spojrzeń moich dostrzedz nie może, pytam sama siebie:

— Ktoś ty? Jakim sposobem spotkałam ciebie na drodze swego życia?

Kontury jego twarzy rysują się przed wzrokiem moim jakoś dziwnie nie te, jakie

niegdyś kochałam, nie te, jakie nosiłam w sercu z pieszczotą...

Dziś — taką wzgardę czuję dla niego, że imię jego brzmi w moich uszach, jak zgrzyt fałszywego akordu. Dziś — chciałabym znaleźć tylko jedno, dwa słowa, któremi bym tę wielką wzgardę swoją cisnąć mu mogła w oczy... W stanie zbydlęcenia, w jakim żyje obecnie, nie rozumie pocisku moich spojrzeń, szyderczego drżenia warg, jakeimi witam go, gdy z rana, po hulaszczey nocy, nabrzmiały, z czerwonymi powiekami, wchodzi do pokoju dziecka, aby popatrzeć na nie zdaleka. — Nie całuje go, gdyż nie śmie zatrutym swym oddechem kalać ust i czołka jego.

Niekiedy pytam siebie: może zawiniłam względem niego, nie usiłując sprowadzić go z drogi, na którą wszedł tak szybko, z takim zapomnieniem obowiązków swoich?...

Co miałam zrobić? Jak postępować? Cierpiałam i cierpię w milczeniu. Szczęście moje nie mogło trwać wiecznie. Los srogą pokutę nakłada na tych, co przeżyli kilka dni słonecznych...

Dopisek w pół roku później.

Edward od dziesięciu dni kaszle nocami całemi: kaszel ten rosadza mi głowę...

Kilkakrotnie z lekarstwem w ręku podchodziłam do drzwi jego pokoju, zawsze jednak stawałam przed progiem, jak wryta, nie mając odwagi postąpić dwóch kroków naprzód. Co może obchodzić mię dziś ten człowiek? Jego ból fizyczny nie jest moim bólem; jego cierpienia nie ranią moich piersi; pokutuje za życie, jakie prowadził, za skłonności, które pchały go ku złemu...

Za każdym razem wracałam do siebie, nie dotknąwszy nawet ręką klamki drzwi jego. Wciskałam głowę w poduszki, aby nie słyszeć kaszlu, który kaleczył uszy moje, jak suwanie żelaza po szkle.

Dziś kaszel ten trwał dłużej i uparciej niż zwykle. Stałam pół godziny, może dłużej pod drzwiami pokoju Edwarda ze świecą w ręku i kilku kroplami opium na łyżeczce, gdy w tem kaszel przeszedł w ciche lecz męczące krztuszenie, które przerwał nagle okrzyk „wody!...” wyrzucony matowem brzmieniem głosu z zadławionej krtani.

Nie wahając się dłużej, pchnęłam drzwi obiema rękami i wpadłam do pokoju, jak szalona.

Edward leżał na kanapie, z głową wciśniętą w poduszki. Z ust jego sączył się strumień krwi. Wzrokiem, pełnym trwogi, wzywał ratunku.

Rzuciłam się ku niemu i twarzą swoją zasłoniłam jego usta, aby zatamować krew, która kilkoma ciepłymi kroplami spłynęła po szyi mojej.

Odrzucił mnie, poruszeniem ust wzywając lekarza.

Lekarz przyszedł i po kwadransie pracy przerwał krwotok.

— Mąż pani nie musiał prowadzić regularnego życia — rzekł do mnie, zapisując lekarstwo. — Tego rodzaju organizmy brak systemu i ciągłego baczenia na siebie niszczy szybko...

Zalecił jak najdłuższy wypoczynek w zupełnej ciszy i spokoju. Na zapytanie moje, czy polepszenie nastąpić może prędko, odpowiedział:

— Przewidywania lekarzy bywają niekiedy w sprzeczności z prawami zdrowej, silnej, samouzdrawiającej się natury ludzkiej:

pragnę gorąco, aby tym razem ona zwyciężyła... Cisza, spokój — dodał, wychodząc — to najkonieczniejsze, niezbędne warunki lecznicze w danym wypadku...

Dopisek po dwóch dniach.

Dziś i wczoraj krwotok nie powtórzył się. Dziś Edward wstał z łóżka i — przy pomocy mojej — osłabiony bardzo, przeszedł kilka razy przez pokój. Mówi, iż dziwną zmianę czuje w całej swej istocie: siły jego opadają, umysł opanowywa wielkie, przygniatające zwątpienie, i jednocześnie coś rwie się w nim do życia. Głowa jego opada bezwładnie na piersi, lecz — wysiłkiem woli — trzymając się sztywno, powtarza co chwila:

— Lepiej mi, daleko lepiej dziś, aniżeli wczoraj...

Ja mówię za nim:

— Lepiej ci, sama widzę, że ci lepiej...

Wzrok mój ślizga się po zmienionej jego twarzy, po wydłużonych, wklęsłych policzkach i podkrążonych oczach, po zapadniętych skroniach i osiwiiałych nagle, przez jedną noc, włosach, jak po obrazie, który ma zniknąć za chwilę, aby odtworzyć się w ciepłym, pełnym blasku kolorycie.

Nie wierzę, aby Edward miał być chorym na prawdę.

Uczucie, które—sądziłam—zmarło w sercu mem zupełnie, dziś odzywa się z taką siłą, iż życie bez niego wydaje mi się cmentarzem, grobem.

Całując ręce jego w chwilach, gdy śpi i pocałunków tych nie czuje, mówię sobie:

— On wyzdrowieje niedługo, za dni kilka; rozpoczniemy wtedy nowe życie. Wybaczywszy sobie wzajemne żale nasze, będziemy unikali dalszych nieporozumień; pokochamy się na nowo i musimy, musimy być nadal szczęśliwi!...

Diwnie: teraz, kiedy choroba Edwarda mogłaby rzucić na wzrok mój widmo żaloby, ja wyobraźnią gonię tylko obrazy szczęścia...

W lecie wyjedziemy na wieś. Jerzyk będzie rozweselał ojca rozkosznym swoim szczebiotaniem. Weźmiemy dużo książek: ja będę czytywała głośno Edwardowi; nie dopuszczę do tego, aby miał tęsknić za miastem...

Gwałtowne ataki kaszlu Edwarda przechodzą chwilami w męczące krztuszenie i pochrząkiwanie bez przerwy. Głos jego nabrał matowego brzmienia. Mówi cicho, powoli,

z tym krótkim, przerywanym oddechem, który zdradza silne osłabienie.

Niania Jerzyka odezwała się do niego wzoraj:

— Ojciec twój nie pożyje: zostaniesz sierotą...

Mnie ogarnęła pasja, gdy Jerzyk z płaczem wpadł do mnie, powtarzając mi te słowa. Uderzyłam w ramię bezczelną niankę i kazałam jej w tej chwili opuścić służbę.

Nieźnośni, niegodziwi ludzie! Kraczą mi nad głową, jak wrony, że czeka mię nieszczęście... kiedy ja w to nie wierzę...

Dopisek po tygodniu.

A jednak—widzę sama, że siły Edwarda upadają z dniem każdym, że z każdym dniem, z każdą niemal godziną chudnie, mizernieje: ciało jego zanika, cera twarzy nabiera przejrzystości opłatka; oczy tylko świecą ogniem, który mię przeraża...

W trzy dni po pierwszym krwotoku nastąpił drugi, trzeci, czwarty i cały ich szereg. Po każdym z nich biedny mój chory zapada w wielką senność. Niekiedy, walcząc z bezwładnością i ociężeniem, jakie go opanowywa, podnosi powieki i mówi do mnie:

— Nie daj mi śpać: boję się tego snu, który czuję na oczach. Przeczytaj mi co albo opowiedz, — albo lepiej jeszcze — każ przyjść Jerzykowi: niech zadeklamuje mi ten wierszyk, którego nauczyłaś go dla mnie.

Biorę książkę i czytam, pierwsze słowa moje przerywa jednak, mówiąc:

— To mię męczy; daj pokój...

Jerzyka, którego wzywam na jego żądanie, odprowadza, nim stanie na progu pokoju, twierdząc, iż nie znosi obecności dwóch osób przy sobie...

Dopisek w dwa miesiące później.

Dziś mamy pierwszy dzień wiosny. Lekarz, na zapytanie moje, jak ocenia stan chorego i prośbę o szczerą opinię, odpowiedział:

— Nie ma nadziei: kwestya czasu jedynie...

Zmieniłam się w żmiję, usłyszawszy te słowa. Taki szal gniewu, rozpacz, żalu i oburzenia zawrzał w mej piersi, iż, wskazując drzwi lekarzowi, zawołam głośno:

— Proszę wyjść natychmiast: nie trzeba

mieć litości, aby w podobny sposób odzywać się do kobiety, której całe szczęście wisi na włosku tego jednego, biednego życia...

Doktor, nie odpowiedziałszy ani słowa, skłoniwszy się sztywno, grzecznie, przygryzając wargi z lekka, wyszedł z salonu.

Jak wstrętnym wydał mi się w tej chwili ten niby protektor biednych, upośledzonych fizycznie, ten apostoł łagodnej, tkliwej opieki, ewangelista braterskiej pomocy, anachoreta w kangarnowym tużurku, w brylantach na piątym palcu, z trzyrubłówką, którą wcisnęłam mu w rękę, za słodkie jego, rzewne ostrzeżenie!...

Zapowiedziałam służącemu, aby nie wpuszczał go nazajutrz, gdyby o zwykłej porze zadzwonił do drzwi, rozpisałam natomiast listy do innych, może bardziej ludzkich lekarzy, do lekarzy-ludzi, liczących się z tem, co może przenieść słaba, pragnąca szczęścia swego kobieta...

Edward musi żyć. Nieprawda, aby mogło być z nim źle; on musi, musi żyć, inaczej—ja umrę chyba z nim razem...

Los nagradza każde cierpienie najsłabszym choćby promykiem rozkoszy. Ja przez ból, jaki przesłama, zdobyłam sobie prawo

nagrody. Żebrak uliczny, upiwszy się za groszaka, który mu rzuca przechodzień, sądzi, że jest królem i w złudzeniu swoim ma chwilę wielkiej radości. Ja nie jestem żebrakiem: dlaczegóż miałabym wyrzec się szczęścia? Dziś—wiem już jak je oceniać: dziś, dziś—treść życia przedstawia mi się, jak jeden promyk słońca, za którym gonić powinien człowiek. Raz zdobywszy małą, złotą strzałkę, trzeba pielęgnować ją i pieścić, jak skarb zaklęty. Na szczęście swoje, jak na bogactwo, tytuły i honor należy pracować rozumną wolą i szczerem uczuciem: inaczej—pierzchnie z niedołężnych rąk naszych i może nie wrócić już nigdy...

Helena do Stasi po trzech latach.

Piszę, piszę i piszę... Wiem, że listy moje nie dochodzą rąk twoich: drę je, palę, lub rzucam, zmięte, na ziemię, potrzebuję piśać jednakże i dlatego codzień z myślą o tobie siadam przed biurkiem...

Wczoraj słyszałam, jak lekarz, którego, niewiadomo po co, sprowadzają do mnie co tydzień, szepnął mamie do ucha:

— Nie zabraniajcie jej tego: to taka nieszkodliwa mania!...

ojciec twój chory!... a on teraz narobił hałasu.

Na palcach przystąpił do ojca, objął go za szyję, pocałował w rozpalone gorączką policzki i wyszedł, rzucając na mnie trwożliwe, pytające spojrzenie.

Z drugiego pokoju doleciał głos jego, w chwili, gdy mówił do bony:

— Bądź grzeczna, nie hałasuj i nie kłóć się ze mną: ojczulek chory.

Usiadł następnie w kącie i, wycinając papierowych żołnierzy, bawił się spokojnie.

Edward tego dnia był bardziej rozgądkowany i niecierpliwy, niż zwykle. Z łóżka co chwila kazał przeprowadzać się na fotel, z fotelu na kanapę. Ręce jego drżały, oczy pały dziwnym blaskiem.

— Hela!—zawołał na mnie tym matowym, bezdźwięcznym głosem, który zdradza silne osłabienie płuc, lub zanik ich zupełny.

— Hela!—powtórzył.

Przygotowywałam w tej chwili lekarstwa, przepisane przez doktora: jedno z nich miałam podać mu zaraz. Gdy podeszłam ku niemu z łyżką, pełną różowego płynu, on kiwnął ręką i rzekł złamanym szeptem:

— Nie męcz mnie; nie mam ochoty na

lekarstwo: chcę pomówić z tobą; usiądź przy mnie.

Ręką wskazał na krzesło, stojące tuż przy fotelu.

Usiadłam, pełna trwogi, lekarz bowiem zalecał choremu spokój i zabraniał mu mówić, on zaś dziś od rana w dziwnie gadatliwym był usposobieniu. Ilekroć prosiłam go: „nie mów tyle!” okazywał silne rozdrażnienie. Łagodny dotąd, spokojny w chorobie swojej, dziś nie znosił oporu.

— Powiedz, Hela — odezwał się — dziś, gdy mówimy ze sobą może po raz ostatni, powiedz, czy nie dobrowolnie popsułaś szczęście nasze?

Osunęłam mu się do kolan, błagając:

— Edwardzie, nie mów tyle!...

On, wyprostowawszy się w fotelu, zmarszczył brwi, czoło i z wysiłkiem stanowczej woli zawołał:

— Muszę mówić: jeżeli nie chcesz słuchać, zostaw mnie samego.

Umilkłam. Usiadłszy na krześle, oparłam głowę o poręcz fotelu i słuchałam słów jego, z których każde, ulatując, zdawało się porywać ze sobą część niknącej ludzkiej istoty.

Edward, wpatrzony w smugę światła, która padała od strony okna na białą framugę drzwi, mówił:

— Zastanów się, czy nie dobrowolnie zniszczyłaś szczęście nasze? Czy nie ty postępowaniem swoim doprowadziłaś mnie do trybu życia, który podkopał siły moje i zniszczył organizm.

Głos jego to podnosił się chwilami, przerwany gwałtownym krztuszeniem, to opadał, przechodząc w głuchy szept.

— Kochałem ciebie — ciągnął dalej — ty nie ufałaś mi; podejrzewałaś mnie ciągle... Przeczuwałem myśli twoje, jakkolwiek nie wypowiadałaś mi ich... Byłem dobry dla ciebie; szukałem twego towarzystwa: ty unikałaś mnie... W spojrzeniu twem czytałem żal do mnie, w wyrazie ust twoich widziałem rezygnację niemego cierpienia... Ta rezygnacja, ten milczący żal do mnie wprowadzał mnie w szal gniewu i oburzenia. Uciekałem z domu i piliem z kolegami, aby nie patrzeć na ciebie... Wmawiałaś w siebie cierpienia: nie miałaś dla nich racjonalnego, słusznego umotywowanego powodu. Podejrzenia, jakimi obrzucałaś mnie, trawiąc bezprzyczynowy swój smutek, byłyby się rozwiały, jak mgła

w powietrzu, gdybyś chociaż raz jeden chciała pomówić ze mną szczerze, serdecznie... Przypomnij sobie, jak często chciałem zmusić do spowiedzi milczące twoje usta... Nie miałem bynajmniej zamiaru odegrania roli rozgrzeszającego kapłana; przeciwnie, uważałem się wobec ciebie raczej za pokutnika, który myślał:

— Musiałem ją czemś dotknąć, musiałem obrazić najdrażliwsze struny jej uczuć...

I nic więcej nie pragnąłem, jak tylko wiedzieć ze szczerych, otwartych twoich wyznań, czem cię dotknąłem, czem obraziłem?

Tys milczała. Niemota twoja, wobec biernej rezygnacyi i bólu, wrytego na twarzy twojej, obrzydzały mi życie. Piłem, hulałem, nie szczczędząc sił i zdrowia, targając je umyślnie...

Gwałtowny kaszel przerwał ostatnie jego słowa, wypowiedziane z wysiłkiem. Ruchem ręki wskazał, aby przeprowadzono go na łóżko, stojące na środku pokoju w pełnym blasku zachodzącego słońca.

Podniosłem go i, jakkolwiek opierał się na mnie całym ciężarem bezwładnego ciała, sama, bez pomocy służącego, podprowadzi-

łem go ku łóżku, ułożyłam głowę jego na poduszkach i okryłam go ciepłym szalem.

Wodząc pół otwartemi oczyma dokoła, skinął na mnie:

— Usiądź przy mnie jaknajbliżej! — szepnął, dotykając palcami krawędzi łóżka.

— Nie odchodź, choćbym spał—dodał—chcę być z tobą...

Godzinę przeszło siedziałam, zahaczona o krawędź łóżka. Bałam się poruszyć, aby szelestem nie zbudzić Edwarda.

Żółtawy odblask latarni, zapalonej na ulicy, padał na woskową twarz jego. Ciszę w pokoju przerywało tylko cykanie zegaru. Zresztą, znikąd nie dolatywał szmer najłżejszy.

Plakałam. W piersiach moich jęczał żal głuchy. Dotąd—jeżeli czułam się nieszczęśliwa, potępiałam los za to: teraz — Edward podsunął sumieniu mojemu straszne, pełne grozy oskarżenie:

— Tys winna!

Zahaczona o krawędź łóżka, lkałam cicho.

Łkanie moje obudziło w końcu Edwarda. Otworzywszy oczy, słabym, złamanym głosem zażądał wina. Gdy mu je podałam, zaledwie dotknął kieliszka ustami, już ruchem

ręki wskazał, że ma dosyć i nie chce pić więcej; prosił natomiast, aby podnieść go cokolwiek wyżej na poduszkach.

— Teraz dobrze — rzekł, gdy okrywszy go szalem, urządziłam mu ciepłe, wygodne i miękkie oparcie.

— Dlaczego tu tak ciemno? — spytał po chwili. — Gdy zasypiałem, świeciło jeszcze słońce.

— Już wieczór — odpowiedziałam — a dzień teraz krótki...

Kazał zapalić światło. Kiedy wniesiono lampę do pokoju, skrzywił się boleśnie: blask raził osłabione jego oczy.

— Postawcie ją dalej, jaknajdalej, w samym rogu pokoju — powiedział szeptem.

Spełniłam natychmiast jego życzenie. Lampa, przysłonięta zielonym abażurem, rzuciła mdły światłocień na środek pokoju, na którym stało łóżko Edwarda i stolik z szeregiem lekarstw.

— Przesuńcie mnie bliżej do okna: nie mogę tak leżeć na środku pokoju, jak w trumnie... Tam, przez okno, wyjrzę przynajmniej na ulicę...

Przy pomocy służącego przesunęłam łóżko powoli, ostrożnie, za każdym skrzypnię-

ciem jego jednak Edward zaciskał wargi, marszczył brwi i mrużył oczy, jak gdyby uczuwał ból dotkliwy.

— Podajcie mi ręce: chcę przejść się trochę po pokoju — rzekł, skoro łóżko stanęło już pod oknem, przez które zaglądała szara noc bezksiężycowa.

Ostrożnie i trwożliwie nasunęłam szal na ramiona jego. Zgiął się i pochylił pod ciężarem miękkiej welny.

— Prowadźcie mnie — szepnął głosem, który rwał się i łamał za każdą zgłoską. — Usiądę trochę w fotelu... tam... przy lampie.

— Dziś mi lepiej... Czuję wracające powoli siły... Kilka dni temu ciąglą mgłę miałem na oczach... Teraz widzę dobrze... Nawet, zdaje mi się, że tu jasno, bardzo jasno... Ta lampa tak się pali, jak gdyby miała kilka płomieni... Przykręćcie ją cokolwiek i przenieście na drugi róg pokoju — ot, tak, dobrze... dobrze...

— Jak wyzdrowieję, urządzimy się zupełnie inaczej: zmienimy przedewszystkiem mieszkanie... Tu ciasno, duszno, niewygodnie...

— Gdzie Jerzyk?... Niech przyjdzie: chcę go zobaczyć — tylko... żeby nie hałasował...

Posłałam po Jerzyka. Edward posuwał się zwolna ku fotelowi, prowadzony przeze mnie i przez służącego. Głos jego przycichał stopniowo w miarę mówienia: ostatnie zdania wyszeptał niedosłyszalnie prawie, poruszeniem warg, które drżały silnie.

Naraz stanął. Nogi jego zeszytywniały, ręce, któremi obejmował szyję moją, zwisły bezwładnie: całym ciężarem ciała padł na fotel, do którego dociągnęliśmy go.

Gdy Jerzyk wszedł, ojciec spojrział na niego szklistym, przerażonym wzrokiem, w orbitach którego nie drgało już życie...

* *

Tak dawno, tak dawno stało się to wszystko! Straciłam pojęcie czasu: może to lepiej, a może gorzej dla mnie; chyba gorzej, nie mogę bowiem zliczyć, ile dni przeżyłam i zdaje mi się, że przedemną jeszcze niezgłębiona otchłań życia...

Codzień od śmierci Edwarda chodzę na cmentarz. Dziś pierwszy raz spostrzegłam kilku przechodniów, których minęłam; pierwszy raz spostrzegłam, że nad głową moją świeci słońce...

Dotąd nie widziałam nic i nikogo...

Mówią o mnie, że jestem jak automat, to znaczy, że poruszam się, chodzę, mówię sztucznie. Być może. Niekiedy doznaję wrażenia, iż mózg mój, wzrok i słuch zamarły, że cokolwiek zrobię, pomyszę, lub powiem, czyn mój, każde pojęcie moje, każdy wyraz stanowią echa dawniej nabytych impulsów, działających we mnie, jak działa maszynerya zegara, który ma stanąć za chwilę.

Lekarz i rodzice nazywają to stanem „biernej rezygnacyi:” mniejsza o nazwę; życie moje już skończone; nie ma dla mnie nadziei...

Ludzie twierdzą, iż Jerzyk, który wychowuje się i rośnie pod moim bokiem, powinien być pociechą moją: może byłby nią, gdyby nie świadomość, która jest zarazem ciężkim bólem serca...

Co ja mu dać mogę? Codzień, gdy wraca ze szkoły, całuję go w oczy i w usta na powitanie, lecz pocałunek mój chłodny, martwy, jak śmierć... Szczepiot jego razi mię, czasami nie słyszę go wcale, choć siedząc na kolanach moich, mówi coś do mnie...

Wzrok mój lubi wpatrywać się w jeden punkt bezmyślnie: cierpię, jeżeli mi go w in-

ną stronę zwrócić wypadnie... Mówią, że jestem automatem, więc mają słuszość. Dawne bodźce, przyzwyczajenia lat poprzednich dyktują mi nieraz czyi jakiś, jako akt ciężącego na mnie, lecz niespełnionego obowiązku, sama nie wiem, jak przychodzi do tego, że go wykonywam... Każdy ruch dowolny, każdy z konieczności, musowo wypowiedziany wyraz — dławią mię w gardle, jak nie przelknięta kula piasku... Zamykam się nieraz na cały dzień w swoim pokoju: miałabym ochotę zasłonić okna i ściany czarną krepą, nie robię tego jednak, z obawy, aby nie pomyślano, że jestem waryatką...

Dziś — pierwszy dzień wiosenny po długich slotach i szarugach zimowych ocucił mię z odrętwienia. Mijając kręte ulice cmentarza, podawałam czoło, ramiona i szyję promieniom słońca: ciepło ich rozgrzewało zastygłą krew moją; po raz pierwszy oddawna, patrząc w niebo, doznałam wrażenia odległych, bardzo odległych wspomnień. Przyszło mi na myśl, że mogłabym pojechać do Ewy, która kocha mię zawsze, ale... to tak daleko!... Zdaje mi się, że nie dowiezionoby mnie tam! Męczy mię samo wyobrażenie

takiej wielkiej nieskończonej podróży, a przytem—pól, łąk i lasów bez końca...

Twarz Edwarda, zawieszona na cieniutkiej niewidzialnej niteczce w powietrzu, gdziekolwiek jestem, przesuwają się przedemną ze smutnym wyrazem ust i oczów, które mówią:

— Tyś winna: tyś mię zgubiła!...

Wizya ta dokucza mi dniami i nocami całemi: dziś nie miałam jej przez chwilę, kiedy, wychodząc z cmentarza, usłyszałam wyraźnie świegot ptaków, szelest gałęzi i brzęczenie małych, jak lebki szpilek, muszek w powietrzu....

Ktoby był patrzył na mnie w tej chwili, byłby mógł przypuszczać, iż jestem blizką obłędu: czułam, że wzrok mój wyraża zdumienie, a usta poruszają się lękliwie...

Szybko zaczęłam przeciskać się przez szeregi przechodniów; hałas uliczny, którego dotąd nie słyszałam, naraz uderzył mię, jak warczenie burzy...

Wróciłam do domu zmęczona. Pisząc teraz, czuję niezręczne, koszlawe zakręty pióra: w prawą skroń ktoś, może duch jaki, wbija mi kłujące gwoździe; jednocześnie czaszka moja ciąży w tył, jak gdyby ciągnięto ją ku ziemi...

Twarz Edwarda pochyla się nademną:
słyszę gorzki wyrzut i płaczę...

Oh, gdyby nie te lzy, życie byłoby ciężkie i nie do przeniesienia!

Stasia do Heleny.

Od wczoraj bawię w Warszawie. Nie przychodzę dziś do ciebie sama, gdyż wolę uprzedzić cię listownie, iż zmieniłam się bardzo, zestarzałam i zbrzydłam; proszę jednak, abys za widzeniem nie dała mi tego poznać i unikała, o ile możności, wykrzykników w rodzaju:

— Co się z tobą stało? Jak mogłaś przyjść do podobnego stanu?...

Wybuchy współczucia dawnych moich znajomych doprowadzają mię do wściekłości. Nie chcę posprzeczać się z tobą na samym wstępie, po tylu latach niewidzenia, to też—dla uniknięcia nieporozumień—uprzedzam cię z góry, iż osobą, która stawia się jutro w południe w progach twego domu, będę ja, twoja Stasia, kwalifikująca się wprowadzić z pozółkłą swoją twarzą i pomarszczonem czołem na prezesa klubu „Piękników,” leczę z tem wszystkiem — nie rezygnująca jeszcze z toroszy tego świata.



86311

Les 110 544
8. 8. 17

60

po J. G. Schiller

Opis

M. L. ...

...